

Nowy, przerażający thriller autora,  
który podbił listy bestsellerów

Bestsellerowa  
seria

ŚLEPIEC

Potwór czekał. Był cierpliwy.

WINA

MAX  
CZORNYJ

FILIA

MAX CZORNYJ

WINA

FILIA

# Spis treści

Strona tytułowa

Dedykacja

Cytat

\*\*\*

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

13

14 DZIEŃ KOLEJNY

15

16

17

18

19

20

21

22

23

24

25

26

27

28

29

30

31

32

33

34

35

36

37

38

39

40

41

42

43 DZIEŃ KOLEJNY

44

45

46

47

48

49

50

51

52

53

54

55

56

57

58

59

60

61

62

63

64

65 NOC

66

67

68

69

70

71

72

73 NIECO WCZEŚNIEJ

74

75

76

77

78

79

80

81

82 TRZY DNI PÓŹNIEJ

83

POSŁOWIE

Karta redakcyjna

*Z rodzinami jest jak z książkami.  
Nie muszą być duże, byle były dobre.  
Mojej powiększonej Rodzinie –  
wszystkiego, co najlepsze.  
Wyłącznie pozytywnej treści.*

„To mówi Pan: »Oto Ja wywiodeę przeciwko tobie nieszczęście z własnego twego domu, żony zaś twoje zabiorę sprzed oczu twoich, a oddam je twojemu współzawodnikowi, który będzie obcował z twoimi żonami – wobec tego słońca. Uczyniłeś to wprawdzie w ukryciu, jednak Ja obwieszczę tę rzecz wobec całego Izraela i wobec słońca«. Dawid rzekł do Natana: »Zgrzeszyłem wobec Pana«. Natan odrzekł Dawidowi: »Pan odpuszcza ci też twój grzech – nie umrzesz, lecz dlatego, że przez ten czyn odważyłeś się wzgardzić Panem, syn, który ci się urodzi, na pewno umrze«”.

2 Sm 12, 11-14<sup>1</sup>

---

<sup>1</sup>Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pallotinum, Poznań 2003.

\* \* \*

Pstryk.

Zdjęcie zostaje zrobione. Obrzydliwe? Obrzydliwość to przecież wyłącznie kwestia perspektywy, tak samo jak dobro i zło, jak piękno i ohyda. Niektórzy mogliby pomyśleć o odbiorcach jako o zboczeńcach albo o degeneratach. Ale czy w tej sprawie w ogóle istnieje demokratyczny wybór? Czy demokratycznie można stwierdzić, co jest zboczeniem, a co normą?

Niektórzy, wiedzeni impulsem przekory, powiedzą, że absolutnie nie. Będą mieć rację. Swoją.

Inni zgodzą się, że należy wyznaczyć demokratyczny standard zboczeń, degeneracji i ohydy. Oni również się nie pomylą. W końcu mówimy o kwestiach ocennych, o gustach oraz estetyce.

Czy zbrodnia może być kwestią oceny? Czy gdyby demokratyczna większość zdecydowała, że obcowanie z ludzkim trupem jest normą, byłoby to rzeczywiście akceptowalne? Dla kogo? Społeczeństw czy dla jednostek? W końcu, w zależności od kultury, do śmierci zawsze podchodzono w różny sposób. Ba! Podchodzi się do niej rozmaicie po dziś dzień. W Polsce mało kto zniósłby meksykański zwyczaj wyciągania co roku zwłok bliskich z grobu i przewijania ich w nowy całun. Do momentu, aż rozłoży się mięso oraz odejdą wszystkie płyny ustrojowe, a jedynym, co pozostanie z człowieka, będą wyschnięte, czyściutkie kości.

Pstryk.

Zdjęcie zostaje zrobione pod kolejnym kątem. Estetyka śmierci dla jednych, jest dla drugich równoważna ze śmiercią estetyki. Równie dobrze można fotografować największe kurioza świata. Bliźnięta syjamskie, kobiety o brodach biblijnych mędrców, garbate karły – zawsze fascynowały świat kultury oraz sztuki. Jednak estetyka to słowo na wyrost.



Zazwyczaj chodziło o rozmaite pobudzenia oraz emocje. Filie, podniety, bodźce. A czasem jedynie o skandal.

Pstryk.

Zdjęcie jest wykonane z jeszcze innej perspektywy. Sprzeda się dobrze. Zawsze jest na nie popyt, choć oficjalnie nabywca zapewne nigdy nie przyzna się, że wszedł w jego posiadanie. Pójdzie do pracy, a po powrocie do domu ukradkiem wyciągnie je z którejś z książek, spod jakiegoś mebla lub ze schowka – zza kaloryfera. Wszyscy mamy takie tajemnice. I to właśnie one czynią nas prawdziwymi ludźmi.

A potem, gdy przyjdzie Sąd Boży... Wszyscy o wszystkim dowiedzą się wszystkiego. I będzie płacz i zgrzytanie zębów.

Ta myśl sprawiała mu głęboki, fizyczny ból. Mimo to przede wszystkim był wściekły.

## 1

Śmierć miała być bardzo bolesna. Powinna przyjść na zawołanie i przynieść mu spokój. Przynajmniej miał taką nadzieję. O nie, bez wątpienia nie było w tym żadnej sprzeczności.

Wszystko wydawało się takie proste, a jednak drżały mu dłonie. Cóż. Takie jest prawo pierwszych razów. Rozejrzał się po ciemnej ulicy i upewnił się, że nikt nie znajduje się w zasięgu wzroku. Drzwi do jednego z domów właśnie cicho się zamknęły, a padająca ze środka smużka światła została brutalnie odcięta. Wokół zapanował całkowity mrok.

Poprawił kaptur płaszcza przeciwdeszczowego, choć od paru godzin nie padało. Zasunął zamek błyskawiczny i po chwili ponownie go rozpiął. Była to tylko gra na zwłokę. Jakiś głęboko tkwiący w nim pierwiastek nie był przekonany do tego, co zamierzał zrobić. Protestował, pobudzając kotłowaną myśl. Pozór wątpliwości mógł zburzyć konstrukcję tworzoną przez niego z mocnych argumentów od bardzo dawna. A może nie były to

argumenty, lecz jedynie emocje? Każdy ma do nich prawo, choć on starał się sam go pozbawić. Obedrzeć z praw, przesądów oraz naleciałości człowieczeństwa.

– Zrób to – syknął sam do siebie. – Do diabła, zrób to, durniu!

Pociągnął nosem i niezgrabnym krokiem ruszył w stronę domu. Przemknął obok dwóch starych SUV-ów, po czym zatrzymał się przy zaparkowanej na chodniku skodzie kombi. Działał tak sprawnie, jak tylko potrafił. Na szczęście był dobrze przygotowany.

Z całej siły wepchnął cienki drut nad szybę tylnych drzwi. Udało się to zrobić zaskakująco łatwo, a uszczelka wydała jedynie ciche cmoknięcie. Wtedy kucnął i szarpnął drut w dół. Rozległ się nieprzyjemny zgrzyt, ale nic się nie stało.

Cicho zaklął. Mógł to przetestować na innym aucie i w innych warunkach. Jednak teraz już było zbyt późno. Nie istniała żadna możliwość ucieczki ani wycofania się.

– Będzie, co ma być. Kropka.

Nie wiedział, czy to powiedział, czy słowa jedynie wybrzmiały w jego umyśle. Jednocześnie ponownie szarpnął drut. Tym razem coś jęknęło i szyba opuściła się o kilka centymetrów. Udało się!

Zerwał się z klęczek i wsunął palce w szczelinę. Był bardzo silny, ale mocniejsze otwarcie szyby okazało się trudniejsze, niż sądził. Poza tym musiał diabelnie uważać, aby niczego nie uszkodzić. Nie mógł stłuc szyby ani zostawić na niej śladów. Zaciskając szczęki, zapierał się dłonią owiniętą w gruby materiał. Wreszcie otwór był taki, jakiego potrzebował. Musiał uważać, aby nazbyt go nie powiększyć. Gdyby przesadził, wszystko mogłoby się skomplikować, a jego pierwszy raz okazałby się niewypałem.

– Ha, ha... – szepnął z ponurą kpina. – Bardzo zabawne.

Odciągnął połę płaszcza przeciwdeszczowego i sięgnął do wewnętrznej kieszeni kurtki. Wyciągnął z niej niewielkie zawiniątko. Przez chwilę się wahał, lecz wreszcie wstrzymał powietrze i cisnął zawiniątko do środka auta. Upadło między tylnymi fotelami a fotelem kierowcy, dokładnie tam, gdzie chciał. Skoro sprzyjało mu szczęście, może właśnie to było im wszystkim pisane. Los? Bzdura. Historię i losy ludzkie tworzyli ludzie.

Nie zamierzał się teraz nad tym zastanawiać. Śmierć miała przynieść przede wszystkim spokój. Jemu i im.

Poprawił kaptur, po czym nie śpiesząc się, zawrócił ku miejscu, gdzie wcześniej czekał. Żałował, że ma słaby wzrok i nie nosi okularów. Teraz chciałby widzieć wszystko jak najlepiej. Mimo pogody i mimo ciemności. Jak sowa. W końcu nie bez powodu ten dziwny ptak był symbolem nadchodzącej kostuchy.

Raz. Dwa.

Słyszał, jak śmierć zbliża się w tę stronę. Poczul przyjemny dreszcz. Sowa zahukała, zwiastując rychły kres.

## 2

Skrzypnięcie drzwi, plamka światła i cień wychodzący z budynku. Potem szcęk kroków oraz błysnięcie latarni, która zapaliła się tylko po to, by po sekundzie zgasnąć. Ujadanie psa na niedalekiej posesji.

Jednak on, niczym zahipnotyzowany, stał nieruchomo. Lekko pochylony, wydawać by się mogło, że w niewygodnej pozycji, przypominał bajkowe straszidło. Szpiczasty kaptur płaszcz deszczowego upodabniał go do stroju inkwizytorów, ale przecież był to jedynie przypadek. Nie o religię chodziło. Nie chodziło o wyroki boskie ani o kwestię wiary w cokolwiek. No, może poza wiarą w samego siebie.

Nagle zerwał się wiatr i poniósł po ulicy metalową puszkę. Nieprzyjemne brzęczenie jeszcze bardziej rozwścieczyło ujadającego psa. Tymczasem postać, która podeszła do auta, zwolniła kroku. Wreszcie się zatrzymała i spojrzała na uchyloną szybę. Na szczęście nie zajrzała do środka. Zimne, mocne powiewy wiatru zwiastowały, że lada moment ponownie może lunąć deszcz.

Szczęście naprawdę mu sprzyjało. Obserwowana postać pośpiesznie otworzyła samochód i schowała się w jego wnętrzu. Po chwili zapaliły się

światła, a turbodoładowany silnik nieprzyjemnie zabuczał. Gdy obroty się wyrównały, kierowca powoli wycofał i zjechał z chodnika. Musiał uważać, aby nie zahaczyć o bok jednego z ogromnych SUV-ów. Manewrowanie wymagało sporo umiejętności, lecz udało mu się to zrobić bez większego problemu.

Wreszcie skoda wyjechała na ulicę. Była to wąska, tylko teoretycznie dwujezdniowa osiedlowa dróżka. Stojące na poboczu auta zmuszały kierowców jadących z naprzeciwka do wzajemnego przepuszczania się. Jednak teraz nikt inny nie znajdował się w pobliżu. Skoda była jedynym autem poruszającym się ulicą, a w zasięgu wzroku nawet nikt nie spacerował. Okolica wydawała się całkowicie wymarła.

Następny dowód, że sprzyjało mu szczęście. Po raz kolejny poprawił kaptur i bez zbędnego zastanawiania się sięgnął do kieszeni. Wyjął z niej urządzenie przypominające pilot telewizyjny. Właściwie kiedyś nawet nim było, lecz po kilku modyfikacjach miało służyć do czegoś całkowicie innego.

Nieoczekiwanie znów się zawahał. Jego pokrzywiony palec zawisnął tuż nad jednym z guzików. Zdeformowana dłoń drżała, jakby miotła nim febra. Mimo to nie mógł zwlekać ani chwili dłużej. Auto oddalało się i za moment miało wyjechać poza zasięg sygnału.

– Stało się – wyszeptał, nacisnąwszy przycisk.

Nie wydarzyło się całkowicie nic. Tak starannie opracowywany sprzęt nie zadziałał. To przecież było niemożliwe, testował go i...

Wtem wewnątrz skody błysnęło, jakby zapalono w nim dziesiątki bardzo mocnych żarówek. Sekundę później rozległ się przeraźliwy huk. Całe auto się zapaliło i wyleciało w powietrze. Siła eksplozji oderwała je od powierzchni ulicy, po czym cisnęła na bok. Skoda uderzyła o zaparkowaną na poboczu furgonetkę, a potem przeokoziółkowała. Kolejne błyski oświetlały ulicę. Z kilku pobliskich aut wypadły szyby i nagle wszystko zasnuł kłęb gęstego, gryzącego dymu. Przewrócony na bok pojazd wreszcie się zatrzymał, lecz z jego środka coś się wytoczyło.

Była to ludzka głowa. Włosy paliły się, roznosząc obrzydliwą woń spalenizny. Monstrum bez zastanowienia pobiegło w jej stronę. To

mogłoby być najlepsze trofeum.

### 3

– Wtedy pocałowałem komisarz Langer, choć oficjalnie powinniście nazwać to resuscytacją...

Wypowiedziawszy te słowa, Orest Rembert uśmiechnął się i łypnął na Lizę. Langer przewróciła oczami. Znajdowali się na niewielkiej scenie przed blisko setką gości – dziennikarzy, wykładowców szkół policyjnych oraz rozmaitych oficjeli. Od dwóch tygodni, objeżdżając kraj, prowadzili cykl spotkań, w którym opowiadali o swoich najciekawszych sprawach kryminalnych. Oczywiście wisienką na torcie pośród relacji była ta najbardziej makabryczna, sprzed niespełna kwartału. Choć teraz robili dobrą minę i sobie żartowali, jeszcze miesiąc temu oboje leżeli w szpitalu. Przynajmniej objazdówka dobiegała końca, a ich ostatni występ odbywał się w Gdańsku.

Publiczność wybuchnęła śmiechem. W jednym z ostatnich rzędów siedział mężczyzna w garniturze, który starannie wszystko notował. Jeszcze raz uniósł pióro i ponad zapiskami dotyczącymi ostatniej sprawy duetu, nakreślonymi niczym zarys fabuły książki, zanotował pojedyncze słowo „Mord”. Jednak ani Rembert, ani Langer nie mogli tego widzieć. Komisarz odwróciła się do profilerka plecami i przeszła przy punktowym reflektorze. Zatrzymała się na samej krawędzi sceny. Przez chwilę stała, wpatrując się przed siebie, jakby zbierała myśli. Miała delikatną urodę, choć jej rysy zdradzały osobowość kogoś o mocnym poczuciu własnej wartości oraz pewności siebie. Nie musiała robić nic niezwykłego, by zapanowała całkowita cisza. Wszyscy oczekiwali tego, co za chwilę powie, jakby miały to być słowa jakiegoś guru. Langer jednak nie chełpiła się tą chwilą. Nie sprawiała wrażenia ani przesadnie szczęśliwej, ani ukontentowanej reakcją publiki. Przynajmniej na zewnątrz.

– Czasem najwięksi pajace bywają naprawdę dobrymi specjalistami – stwierdziła całkowicie poważnie. Jej słowa niemal natychmiast wywołały kolejną salwę śmiechu, który poniósł się po sali. – Wbrew temu, co mówi ten człowiek, w naszym zawodzie nie może być mowy o zbyt bliskich relacjach.

– Naprawdę? – Rembert natychmiast znalazł się tuż przy niej. Wytrzeszczył wielkie, błękitne oczy i teatralnie rozłożył ręce. – I dowiaduję się tego właśnie teraz? Nie mogłaś mi tego powiedzieć rok temu, gdy zamiast ścigać mordercę, uklękłaś, by sprawdzić, czy nie zwicznąłem sobie kostki?

Liza odwróciła się do niego i zdobyła się na uśmiech. Przeszła tuż za nim. Wtedy, gdy publiczność nie mogła jej widzieć, wyszeptwała:

– Nie pozwalaj sobie. To nie cyrk. Ale jeśli bardzo tego pragniesz, mogę dać ci w pysk.

Rembert nic sobie z tego nie zamierzał robić. Strzepnął z rękawa marynarki niewidoczny pyłek i zaczesał dłonią kosmyk blond włosów.

– Mógłbym państwu opowiedzieć wiele sekretnych historii, ale ta kobieta ma pozwolenie posiadania broni. A to każe mi się zastanowić dwa razy.

– Oreście...

W rzeczywistości Langer wcale nie była tak poważna, jak by się mogło wydawać. Z trudem powstrzymywała uśmiech, lecz coś kazało jej przynajmniej zachowywać pozory. Zazwyczaj po części merytorycznej wystąpien Rembert plótl trzy po trzy, co podobało się przybyłym i pokazywało, jak wielki ma talent sceniczny. Jednak ministerstwo nie płaciło im za urządzenie kabaretu. Specjalnie dotowany cykl spotkań miał na celu przybliżenie pracy policji oraz przyciągnięcie do służby nowych adeptów.

– Właśnie! Jakże wspaniale przywodzisz nas, Oreście, do meritum – odezwała się, zatrzymawszy się niemal dokładnie pośrodku sceny. – Gdyby ktoś z państwa pragnął zdobyć pozwolenie na broń i wstąpić do policji...

Przerwało jej trzaśnięcie drzwi. Na salę wpadły dwie rośłe postacie, lecz ze swojej perspektywy Liza widziała jedynie zarys ich sylwetek. Jednak po samym sposobie poruszania się wysnuła paskudne przypuszczenia co do tożsamości przybyłego. Jego głos rozwiął wszelkie wątpliwości.

– Koniec zabawy. Złazcie ze sceny i chodźcie ze mną. Jesteście mi cholernie potrzebni.

Inspektor Siwecki, ich bezpośredni przełożony, wydawał się czymś bardzo przejęty. Bez zbędnych ceregieli wbiegł na podwyższenie, po czym skinieniem głowy dał znać, by poszli za nim za kulisy. Nie zamierzał dawać im czasu na pożegnania ani oklaski.

## 4

– Nie sądziłem, że aż tak bardzo nadajecie się do cyrku. Moglibyście tworzyć naprawdę wspaniały duet. Odkąd wszedłem do budynku, słyszałem rzenie publiki.

Siwecki z irytacją pokręcił głową i zacisnął usta. Był dobrze zbudowanym policjantem, o szpakowatych włosach oraz kwadratowej szczęce. Nosił eleganckie garnitury, a okulary w złotej oprawce miały spore logo jednej z najbardziej luksusowych marek. Choć swego czasu chodziły słuchy o tym, że prowadzi jakieś lewe interesy, że miał układy z politykami oraz prokuraturą, był jednocześnie dobrym i wyrozumiałym szefem. Teraz zdawał się jednak nadzwyczaj poruszony. Jako że przeżył naprawdę wiele, Rembertowi i Lizie wydawało się to szczególnie interesujące. Od razu, gdy wsiedli z nim do służbowego auta, zapięli pasy, po czym w milczeniu wyczekiwali jakichkolwiek wyjaśnień. Jednak zanim te nadeszły, przyszedł czas na drwiny. Wreszcie inspektor zabębnił palcami w kierownicę i głośno parsknął.

– Czy w tym mieście nie może być spokojnie? – zapytał, po czym, nie czekając na niczyją odpowiedź, mówił dalej: – Ledwo w tamtym tygodniu dwóch żuli pobiło się na melinie tak zawzięcie, że jeden skończył z osiemnastoma ranami kłutymi.

– Nic o tym nie słyszałam – zdziwiła się Liza.

– Bo też nie było o czym słyszeć. Gdyby nie raport, który wylądował na moim biurku, ja również o niczym nie chciałbym wiedzieć. Bo po co? Co to zmienia?

– Czego oczy nie widzą, tego sercu nie żal – sentencjonalnie stwierdził Orest. – Sprawca się przyznał?

Siwecki łypnął na niego kątem oka, po czym ponownie skupił się na prowadzeniu.

– Gdzie tam. Niczego nie pamięta. Ale na trzonku noża są jego odciski palców, a poza tym znaleziono go śpiącego na tamtym trupie. To chyba wiele wyjaśnia.

– Zawsze się obawiam podobnych oczywistości. Są zbyt banalne.

– Naprawdę marzę o tym, by wszystkie sprawy takie były. Poza tym...

Liza znacząco odchrząknęła, przerywając wymianę zdań mężczyzny. Przez ostatnie minuty bacznie rozglądała się, obserwując, dokąd jadą. Minęli Arenę, galerię handlową Manhattan, po czym zjechali z ekspresówki ku osiedlom domów jednorodzinnych na Wrzeszczu. Siwecki skręcił w boczną uliczkę zapewne w pobliżu terenów zielonych, gdyż w nocy stanowiły jedynie ciemną plamę na tle krajobrazu.

– Skoro tamta sprawa nie budzi pańskich wątpliwości, zapewne nasz wybitny show został przerwany z innego powodu? – Langer, widząc w oddali błyskające światła radiowozów oraz pojazdów straży pożarnej, splotła ręce na piersi. Głęboko wciągnęła powietrze i zmarszczyła czoło. – Zabójstwo? Czuję swąd spalenizny, i to wyjątkowo charakterystyczny. Podpalenie domu? Mieszkania? Nie, chyba nie w tym rzecz...

– Naprawdę? – Siwecki zwolnił i zjechał na wąskie poboczne przed szeregiem starych willi. – Nawet nie wiesz, jak bardzo mi brakowało twojej niezwyklej dedukcji.



– Na razie wystarczył jedynie mój węch.

– Jesteśmy gorsi niż psy gończe, prawda? Niczym więcej.

Inspektor pchnął drzwi, po czym energicznie wysiadł z radiowozu. Langer i Rembert wymienili spojrzenia. Orest otworzył usta, by coś powiedzieć, lecz Liza go ubiegła.

– Zamknij się i nie próbuj filozofować. Obserwuj, zapamiętuj, a przede wszystkim nie odzywaj się zbyt wiele.

– Ale...

– Powiedziała, nie komplikuj. Za każdym razem, gdy zaczynasz snuć swoje wynurzenia, sprawy okazują się kompletnie pochranione. Dzieci i ryby głosu nie mają.

Langer trzasnęła drzwiami, po czym ruszyła w kierunku zaparkowanych pojazdów. Od razu spostrzegła młodego strażaka, który popijał podaną mu przez kolegów wodę. Być może była to jego pierwsza gorsza akcja, a może na miejscu czekało ich prawdziwe piekło. Langer zawsze skłaniała się ku gorszej możliwości. Najbardziej nie lubiła rozczarowań.

## 5

– Bomba? – Langer wessała dolną wargę i cicho cmoknęła. W jej oczach pojawił się błysk zainteresowania.

Z odległości kilkunastu metrów przyglądała się kompletnie spalonemu i pogiętemu wrakowi skody. Auto leżało na boku, jego drzwi były wycięte, a obok ustawiono policyjny parawan osłaniający miejsca wypadków. To za nim pracowali technicy. W zasięgu wzroku nie było żadnej karetki, więc wszystko zgrywało się w spójną całość.

Langer kilkakrotnie głęboko wciągnęła powietrze i potarła palce, jakby sprawdzała, czy się nie kleją. Ponownie głośno mlasnęła.

– W dymie jest mnóstwo substancji tłustych – stwierdziła. – To nie jest zwykła spalenizna po eksplozji benzyny albo ropy... Nie czuję też, by dominowała siarka.

– Niestety, strażacy mają bardzo podobne spostrzeżenia – skwitował Siwecki, który stanął tuż obok niej. – Poza tym siła wybuchu była naprawdę spora. Mimo to auto nie tyle zostało rozerwane na strzępy, co spłonęło.

– Materiały wybuchowe domowego wyrobu. Zazwyczaj używa się do ich produkcji substancji dostępnych w kuchni oraz aptece. Amerykanie nazywają je kitchen bombs. W takim razie może chodzi o porachunki gangsterskie?

Rembert z dezaprobatą pokręcił głową. Wziął sobie do serca prośbę komisarz, aby odzywał się jak najmniej. Nie chciał zapeszać. A przede wszystkim nie chciał, żeby to ona pomyślała, że zapesza. Właśnie w ten sposób działała ludzka psychika i byle zbieg okoliczności mógłby ją do niego zrazić. Skomplikowany konstrukt myślowy wymagał zgłębienia, ale słowa zbyt mocno cisnęły mu się na usta.

– Mało który gangster jeździ starą skodą. Poza tym – Orest uniósł palec – ten specyficzny smród to mieszanina jakiejś tandetnej nitrogliceryny oraz gazu. Auto wyleciało w powietrze, bo eksplozja rozerwała butlę gazową. Ten nasz mafiozo był wyjątkowym tandeciarzem, skoro jeździł bryką na LPG.

– Mamy inflację – parsknęła Liza. – Czasy oszczędzania, nie słyszałeś o tym?

– Po co być mafiozem, skoro trzeba oszczędzać?

– Mówiłam, żebyś się zamknął.

– Dość! – Siwecki przerwał ich wymianę zdań. Włożył ręce do kieszeni i skinął głową w stronę wraku. – Ofiara wyszła z pobliskiego domu, gdzie prowadziła wywiad środowiskowy. To konsultant społeczny, a nie jakiś cholerny mafiozo.

– No więc właśnie – tryumfalnie dodał Rembert. – Ale dość tego... Wydaje mi się, że nie tylko wrak jest w tym przypadku interesujący.

Materiałami wybuchowymi zajmie się laboratorium, ale moją uwagę zwraca coś zupełnie innego.

Orest, nie bacząc na krzywe spojrzenie Lizy, ruszył w stronę parawanu. Minał dwóch policjantów, po czym zatrzymał się nad częściowo zwęglonymi zwłokami. Odruchowo wstrzymał oddech.

## 6

Bezgłowe zwłoki leżały na boku. Spalona koszula stopiła się i skleiła ze skórą martwego mężczyzny. W ostrym świetle reflektorów ustawionych przez techników skrzyła się, jakby wykonano ją z plastiku. Jedna ręka została oderwana pod łokciem, ale mogło to stanowić rezultat rozbicia auta, a nie samej eksplozji. Kikut sprawiał wrażenie niemal rozartego, jakby nadzwyczaj białą kość starto na drobnej tarce. Strzępy ścięgien mieszały się z kawałkami mięśni oraz żółtawą papką tłuszczu zbrylonego na brzuchu. Mężczyzna był niski, ale dość szeroki w ramionach. Jego jeansy były kompletnie podarte, lecz nogi wydawały się częściami ciała, które najlepiej zniosły eksplozję – o ile w tej sytuacji można było na ciało w ogóle patrzeć w takich kategoriach.

Orest przytknął dłoń do nosa i powoli wypuścił powietrze. Przeniósł wzrok gdzieś w dal, po czym kilkakrotnie zamrugał. Po chwili ponownie zerknął na zwłoki.

– Maści mentolowej? – zagadnęła techniczka, która właśnie skończyła robienie zdjęć. Była ubrana w kombinezon ochronny, choć miała zdjęty kaptur. Włosy skryła pod specjalną siateczką. – Cuchnie tu jak diabli, mam wrażenie, że ten odór oblepia mnie od środka.

– Nie, dzięki!... – Orest ostentacyjnie wziął głęboki oddech. – Zapach bywa nadzwyczaj przydatny.

– W jakim celu?

– Zrozumienia.

– Zrozumienia?

– My, psycholodzy, często bywamy dziwni, ale nie oczekuję, żeby mnie zrozumiano. Profilowanie to działka nauki, lecz również sztuki.

Rembert nawet nie zerknął na kobietę. Zamyślony, uporczywie wpatrywał się w zwłoki. Wreszcie przeniósł wzrok na wrak samochodu, po czym powoli kiwnął głową.

– Eksplozja rozerwała tył auta – stwierdził. – Tam należy szukać resztek materiałów wybuchowych.

– Psycholog i prorok – skwitowała Langer, która właśnie stanęła tuż przy nim. – Ale fałszywy. Nie trzeba żadnych paranormalnych zdolności, by pojąć, że siła wybuchu rozgięła tylne drzwi samochodu i że właśnie tam ślady ognia są najmocniejsze. Obrażenia trupa potwierdzają tę tezę. Fotel ochronił go przed skutkami fali uderzeniowej, jednocześnie ta wypchnęła go do przodu, uruchamiając pasy bezpieczeństwa. Te zostały wyciągnięte na całą długość.

Liza niedbale wskazała w stronę wraku. Nie zważając na zaintrygowane spojrzenie techniczki i wymowny uśmiech Remberta, mówiła dalej:

– Fala uderzeniowa przypomina potężne chluśnięcie wodą. Nawet jeżeli wydaje się nam, że jedynie obmyła jakiś przedmiot, okazuje się, że jest on całkowicie przemoczony. Na tej zasadzie przeniknęła fotel i zapewne kompletnie rozerwała organy wewnętrzne trupa. Dlatego jego brzuch jest tak nienaturalnie wydęty oraz przysmażony. Wtedy też fala uderzeniowa poszła w górę, zarówno od strony tułowia, jak i zagłówka, a skumulowała się mniej więcej na karku tego nieszczęśnika.

– Dlatego urwało mu głowę – skwitował Rembert.

– Dokładnie tak. Widzieliśmy to na wielu filmach z Iraku i Afganistanu, gdy wybuchały miny pułapki...

Orest uniósł brwi, jakby chciał zaprzeczyć, by kiedykolwiek oglądał podobne filmy, lecz się nie odezwał. Przystąpił z nogi na nogę i rozejrzał się dokoła. Szybko dostrzegł kolejnego technika, robiącego właśnie w niemal leżącej pozycji zdjęcie oderwanej, nadpalonej głowy. W pobliżu

stały już dwie tabliczki dowodowe. Rembert natychmiast podszedł w ich stronę.

## 7

– Nie znoszę urwanych głów.

Orest się skrzywił i odkaslnął. Ponownie przytknął dłoń do nosa. Uklęknął nieopodal nadpalonej czaszki, z której miejscami oblażyły pomarszczone strzępy skóry. W oczodołach nadal tkwiły gałki oczne, choć pod wpływem ciepła przypominały ścięte białko. Włosy zostały w znacznej części spalone, a nos zmiądzony, zapewne na skutek uderzenia o podłogę lub deskę rozdzielczą samochodu. Usta były rozwarte i ukazywały dwa szeregi równego uzębienia, które wydawało się tym okazalsze, że dolna warga zwisała niemal na długość palca, stanowiąc ze skórą podbródka jeden strzęp mięsa.

– Nasza teoria ma potwierdzenie – skwitowała Liza. – Czoło jest najlepiej zachowane i prawie nie widać na nim śladów ognia.

– Aha – przytknął Rembert. – Butla gazowa istotnie spotęgowała siłę eksplozji.

– Być może. Ale to wszystko przypomina mi paskudny zamach i tyle. Robiła to IRA, robili to dżihadyści, a nawet Baskowie i Katalończycy.

– Sądzisz, że zabity sam odpowiada w oczach sprawcy za swoją śmierć? Że to jego wina? Właśnie do tego zmierza twój wywód, prawda?

Liza wzruszyła ramionami. Sięgnęła do kieszeni i wyciągnęła truskawkowy lizak. Odkąd po pobycie w szpitalu usiłowała rzucić papierosy, ssanie lizaków stało się jej małą obsesją. Zdjęła folię, po czym ostrożnie schowała ją do kurtki. Wolała nie zaśmiecić miejsca zbrodni.

– Mówiłeś, że coś cię zainteresowało – odezwała się po chwili. – Zanim ruszyłeś w tę stronę, wyglądałeś, jakbyś doznał jednego ze swoich

objawień. Chyba nie chodziło o jakość wykonania policyjnego parawanu? Na plaży znajdziesz znacznie porządniejsze.

Rembert wyprostował się i odruchowo przyglądał spodnie na kolanach.

– Chodziło mi wyłącznie o statystykę – stwierdził oschle.

– Statystykę? Naprawdę? – Liza parsknęła. – Możesz powiedzieć to jaśniej, panie psychologo-psychoterapeuto?

Orest zerknął na Langer i cicho westchnął. Komisarz wielokrotnie czyniła mu przytyki z powodu wyjątkowego wykształcenia oraz bogatego doświadczenia zawodowego sprzed czasów współpracy z policją. Nie było w tym oczywiście nic złego, lecz Liza niezmiennie uważała, że profilowanie oraz psychoterapia to w znacznej mierze szarlataneria. Jak na osobę, która swego czasu usiłowała walczyć z głęboką depresją, były to nadzwyczaj śmiałe tezy. Ale też mechanizm ich powstania wydawał się Rembertowi całkowicie zrozumiały. Mógłby napisać o tym elaborat...

– Statystycznie bomby wybuchają niespodziewanie – odezwał się enigmatycznie, po czym uniósł dłoń i wskazał w stronę wraku. Następnie przekierował palec w stronę najbliższego domu. – Rozumiesz? Chodzi o odległości.

– Względem czego?

– W tym przypadku auto eksplodowało akurat kilkanaście metrów od innych pojazdów. W wyniku wybuchu uderzyło tylko o jeden z nich, stojący na poboczu, lecz to już był przypadek. Poza tym wszędzie w pobliżu są domy, a bomba rozerwała ten samochód dokładnie pomiędzy kolejnymi z nich. Jakby ktoś chciał uniknąć ofiar postronnych. Czy tak działa mafia? O ile pamiętam na przykład zamachy na Falcone i Borsalino, gangsterzy mieli to kompletnie w nosie. Statystyka – powtórzył – to klucz do zrozumienia sprawy. Zabójcy chodziło konkretnie o tego człowieka, więc nie powinniśmy mieć problemu z ustaleniem motywu.

– Doprawdy?

Langer nie wydawała się przekonana. Rozgryzła lizak i zawróciła w stronę zwłok.

– Jazda, Oreście – rzuciła, nie odwracając się ani razu. – Sprawdzimy twoją teorię.

Po chwili podeszła do trupa i sięgnęła do kieszeni jego spodni.

– No co? – parsknęła. – Przecież już wszystko zostało zabezpieczone, a odciski moich palców są w bazie. Sprawdźmy, co tutaj mamy...

## 8

– W końcu cię za to wyleją. Technicy będą mieli przez ciebie dodatkową robotę. Nie mówiąc o laboratorium... A tam cholernie nie lubią dodatkowej roboty.

Langer nie zwróciła uwagi na biadolenie Remberta. Uśmiechnęła się i wsiadła do jednego z radiowozów.

– Przynajmniej zaoszczędziliśmy sporo czasu – rzuciła, mierząc palcem w stronę siedzącego w wozie młodego policjanta. Mężczyzna wydawał się kompletnie zaskoczony. – Sprawdź w naszym systemie dane niejakiego Mariusza Kruka. Dyktuję numer jego dowodu osobistego...

Przymknęła oczy, po czym niczym katarynka wypowiedziała ciąg liter oraz cyfr. Gdy posterunkowy go wyszukał, z ukontentowaniem skinęła głową.

– Jedź pod ten adres – nakazała, jakby znajdowała się w taksówce. – Natychmiast.

– Ale...

– Wytlumaczę cię przed przełożonymi. Właściwie to ja prowadzę śledztwo, więc jestem twoją przełożoną. A przełożona to prawie jak bogini...

Policjant zerknął na Remberta, który właśnie sadowił się na tylnej kanapie. Profiler zrobił bezradną minę i cicho mlasnął.

– Rób, co każe, w przeciwnym razie może zachowywać się nieobliczalnie. Ostatnim razem chciała, żeby ją resuscytować...

– Policzmy się jeszcze, Oreście.

– Marzę o tym.

– Jazda!

Langer uniosła dłoń, jakby chciała uderzyć posterunkowego, który uchylił się i posłusznie bezzwłocznie uruchomił silnik. Wycofał radiowóz, po czym ruszył w kierunku wskazanym przez nawigację. Od celu dzieliło ich pięć i pół kilometra, co miało się przełożyć na dokładnie jedenaście minut jazdy.

– Chcę tam być za pięć minut – dodała Liza. – Albo, tak jak powiedział kolega, stanę się nieobliczalna. Właściwie wszystko mi jedno. Pięć minut i ani sekundy dłużej.

Rembert, dostrzegłszy spojrzenie posterunkowego we wstecznym lusterku, jedynie głupawo się uśmiechnął. Spuścił wzrok, po czym zerknął za okno.

– Ona naprawdę nie jest pijana, jeśli o to chodzi – wymamrotał. – To taki charakter. Swoją drogą... Masz jakiś plan, Lizo?

– Brak planu to mój plan. Nie pamiętasz?

– Aha.

– Miałam nadzieję, że takim banałem na dobre cię do siebie zrażę.

– Wręcz przeciwnie. Nie słyszałaś, że psycholodzy uwielbiają banały?

Posterunkowy prowadzący radiowóz jechał coraz szybciej. Przysłuchując się wymianie zdań towarzyszącej mu dwójki, wydawał się kompletnie oglupiały. We wskazane miejsce dotarli jeszcze szybciej niż w pięć minut. Mimo to Langer jak oparzona wypadła z radiowozu i rzuciła się w stronę dwupiętrowego, starego bloku.

– Nienawidzę tego – wyszeptwała. – Po prostu tego nienawidzę.



Teoretycznie identyfikacja była zbędna. Mimo częściowego nadpalenia zwłok Langer nie miała wątpliwości, że zmarły to ta sama osoba, na którą wystawiono dokumenty. W bezpośredni sposób dane prowadziły do jego miejsca zamieszkania, które dzielił – jak się okazało – z matką, około sześćdziesięcioletnią kobietą o pomarszczonej, zmęczonej twarzy.

Teoretycznie identyfikacja była zbędna, lecz wymagały jej procedury. Jednak na te miał jeszcze przyjść właściwy moment, więc Langer postanowiła uciec się do wybiegu. Z pewnością nie było to etyczne, lecz pozwalało szybko zebrać wiele informacji. Na pewno więcej niż w trakcie rozmowy przeprowadzonej po formalnej identyfikacji spalonych zwłok dziecka. Dlatego poinformowała Barbarę Kruk, że odnaleziono zniszczony samochód jej syna, że podejrzewany jest wybuch i ingerencja osób trzecich. Mimo nalegań kobiety unikała tematu zwłok. Zbywała go, lawirowała, informowała, że temat jest świeży i wymaga śledztwa, a nie postawienia przedwczesnych tez.

– Chce pani zapeszyć? – zapytała nagle wyjątkowo surowym tonem. – Na razie nic nie jest pewne, przyjechałam niemal od razu, aby się z panią spotkać. Poczekajmy na konkrety, dobrze? Bądźmy dobrej myśli.

Ta argumentacja nadal nie trafiała do Kruk. Kobieta pokręciła głową i zerknęła na Remberta. Wyraźnie szukała w nim pomocy.

– Usiądźmy – zaproponował pojednawczo Orest. Znajdowali się w niewielkim pomieszczeniu, pośrodku którego stał stół oraz kilka krzeseł. – Niczego nie przyśpieszymy, ale na razie robimy, co możemy. Proszę nam zaufać.

– Chcę jechać na miejsce odnalezienia samochodu – wycedziła kobieta. – Nie możecie mi tego zabronić.

– Nikt tam pani nie wpuści, trwa śledztwo. Ulica jest zamknięta, wszędzie zostały ustawione patrole i blokady. Chyba nie chciałaby pani nakręcać sensacji? Ludzie zaczną gadać, zbierać się, plotkować... Zobaczą matkę potencjalnej ofiary...

– Ofiary... Mój Boże.

– Potencjalnej – natychmiast poprawił ją Rembert. Aby zatrzeć wrażenie pozostawione przez to jedno słowo, pośpiesznie mówił dalej: –

Proszę mnie zrozumieć, niech mi pani powie, czy Mariusz ma wrogów? Czy kiedykolwiek zadawał się z jakimiś podejrzanymi typkami?

Barbara Kruk wbiła w niego gniewne spojrzenie. Odsunęła krzesło i ciężko na nim usiadła. Jej policzki dosłownie się zapadły, jakby je wciągnęła. Wąskie wargi niemal zniknęły.

– Nigdy w życiu – sapnęła. – To jest bardzo dobry chłopak. Dlaczego miałby mieć wrogów? Przecież...

– Tylko pytamy. Może nam pani pomóc wszystko zrozumieć.

– Ale czy on...

Liza już miała wejść w słowo kobiety, ale Rembert spiorunował ją wzrokiem. Nie była ani delikatna, ani nie miała dość wycucia. Sam chciał poprowadzić tę rozmowę.

– Wiemy, że pracuje jako konsultant społeczny z różną młodzieżą.

– Tak. Co z tego?

– To była jego praca marzeń? Dziś spotkał się z jednym z podopiecznych... Może nagrabił sobie problemów u któregoś z podopiecznych? Sama pani wie, jaka jest teraz młodzież.

– On? Pracuje w tym zawodzie od bardzo niedawna. – Kruk wsparła się oburącz o blat stołu. Drewno jęknęło pod jej ciężarem. – Jako dziecko miał kontakt z rówieśnikami, którzy uzależnili się od tego i owego... Widział, jak się staczają, dlatego wybrał taką, a nie inną robotę. Choć nigdy tego nie popierałam. Ma większe możliwości.

– Brzmi jak powołanie.

– To jest powołanie. Ale...

Rembert wyczuł delikatne drżenie głosu kobiety. Natychmiast pochylił się w jej stronę i wyciągnął ku niej dłoń. Dotknął jej ramienia. Jeszcze nie padły żadne konkrety, lecz już każde z nich wiedziało, że musi grać. Kruk trzymała się jako tako, jedynie resztką nadziei, że najgorsze nie okaże się prawdą. Orest wierzył, że jeśli rzeczywiście to był wybuch bomby, ta rozmowa pozwoli jak najszybciej dorwać sprawcę. Pewnym było, że w makabrycznych okolicznościach zginął człowiek. Podobnym śmierciom zawsze towarzyszył chaos.

- Proszę śmiało mówić - zachęcił kobietę. - Niczego nie protokołujemy. Cała ta rozmowa, o ile będzie można, zostanie tylko pomiędzy nami. Nie musi pani powstrzymywać żadnych emocji, nikt pani nie zamierza oceniać.

Barbara Kruk spojrzała na niego ponuro i wybuchnęła płaczem. Liza Langer również natychmiast znalazła się tuż przy niej. Objęła kobietę ramieniem, po czym ukradkiem otarła łzę.

## 10

- Kiedyś Mariusz miał drobne problemy z narkotykami. Ktoś go do czegoś namówił, ktoś inny nie powstrzymał i tak się potoczyło. Sama mam pewnie w tym sporo winy, choćby to, że pozwoliłam mu dorastać bez ojca... Ale chyba lepszy brak ojca niż sukinsyn, który co wieczór będzie go prał na kwaśne jabłko?

Barbara Kruk otarła łzy i przechyliła głowę. Uśmiechnęła się, lecz uśmiech momentalnie zastąpił krzywy grymas. Pociągnęła nosem.

- Przepraszam. Siadajcie, państwo. Chcę wiedzieć, co się stało mojemu synowi. Zabierzecie mnie na miejsce wypadku? Proszę...

- Zrobią to ludzie bardziej kompetentni od nas - oznajmił Rembert. - Ze swojej strony zapewniamy, że sprawa jest w rękach najlepszych specjalistów. Ale co do pani syna... Czy pamięta pani jakiegokolwiek nazwiska jego kolegów, którzy byli zamieszani w narkotyki?

- To było wiele lat temu. A raczej: zbyt wiele lat temu.

- Nie pamięta ich pani?

Kruk otarła twarz dłońmi i nie patrząc na swoich gości, pozbawionym emocji głosem podyktowała kilka nazwisk. W tej chwili przypominała robota, który odbiera oraz nadaje wiadomości nagrane na automatyczną sekretarkę.

- Ale nie brałabym tego poważnie... - dodała mechanicznie. - To nie są jego wrogowie. On nie ma z nimi kontaktu od bardzo dawna. Właściwie... Cieszę się, że poszedł do tej pracy, bo to pomoże mu nawiązać relacje z ludźmi. Za bardzo od nich ostatnio stronił. Stał się odludkiem, który najwięcej czasu spędza sam ze sobą.

- Zapisalesz te nazwiska? - Langer wymownie zabębniła palcem w róg notatnika Remberta. - Nie przegap żadnego. Musimy je sprawdzić. Poza tym - zwróciła się do kobiety - jest pani stuprocentowo pewna, że syn ostatnio nie brał narkotyków? Brak relacji z ludźmi to jeden z objawów problemu.

- Czy pani zwariowała? - Kruk ponownie nagle ożyła. Poderwała się z krzesła i w ostatniej chwili powstrzymała się przed wymierzeniem Lizie policzka. - Znam swoje dziecko. Proszę go nie obrażać! Poza tym nie odpowiem już więcej na żadne pytanie, dość! Chcę się z nim widzieć! Teraz! Natychmiast!

Wyciągnęła telefon i podobnie jak chwilę po pojawieniu się Lizy i Oresta w mieszkaniu, raz po raz zaczęła wydzwaniać na komórkę syna. Jednocześnie niemal wypychała ich z pokoju.

- Zbieramy się... - bąknęła Langer. - Co nieco się dowiedzieliśmy. Na więcej przyjdzie czas.

- Myślę, że moglibyśmy jeszcze porozmawiać. Usiądźmy i spróbujmy...

Kruk była innego zdania. Chwyliła Remberta za połę marynarki i szarpnęła tak mocno, że aż jej materiał się rozerwał.

- Zostawcie mnie! Won stąd! Złożę na was skargę!

Orest uniósł dłonie i nie protestując, skierował się do wyjścia. Opuszczając pokój, zwrócił jednak na coś uwagę. Zmrużył oczy i zacisnął usta. Langer dostrzegła jego spojrzenie, ale zamiast się o cokolwiek dopytać, musiała uważać, by Kruk nie podrapała jej twarzy. Czym prędzej opuścili mieszkanie kobiety. Natychmiast po ich wyjściu trzasnęły za nimi drzwi, a ze środka dobiegł głośny szloch.

- Co zobaczyłeś? - Langer oparła się o ścianę na klatce schodowej i przymknęła oczy. Wyglądała na całkowicie zmarnowaną. Nie wiedziała, czy rzeczywiście chce poznać odpowiedź na swoje pytanie.

Kobieta opatulila się podartym polarem i przyspieszyła kroku. Przeszła obok Bramy Stałgiewnej, która zawsze wzbudzała w niej jakąś dziwną, nieuzasadnioną obawę. Jakby czuła bijącą od jej murów złą moc. Choć historia budynku nie wiązała się z jakimiś nader dramatycznymi wydarzeniami, jej dawna rola jako fragmentu zabudowań obronnych mogła przyprawiać o dreszcze. Ktoś w niej na pewno zginął, umarł lub został stracony. Wszystkie zabytki miały upiorne historie. Poza tym okolice, niemal tak samo jak warszawską starówkę, można było uważać za cmentarz. Mało kto pamiętał, jak wiele osób zginęło w bombardowaniach Gdańska, jak wielu mieszkańców rozszarpały sowieckie pociski artyleryjskie i kule karabinów.

Ale kobieta wcale o tym nie myślała. Brama Stałgiewna wywołała jej dreszcz, choć pozbawiony jakichkolwiek głębszych przemyśleń oraz refleksji. Strach po prostu czasem musiał towarzyszyć człowiekowi i już. Należało się do niego przyzwyczaić. Tym bardziej, gdy wiodło się życie takie jak ona.

Przeszła nad kanałem i wkroczyła na Długi Targ. Jak zwykle kręcili się tu liczni turyści oraz mieszkańcy, ale było już na tyle późno, że tłok nie doskwierał. Z knajp oraz ogródków niósł się gwar dogasających rozmów. Pojedyncze osoby tu i ówdzie przed lokalami paliły papierosy, grupka podpitych kobiet fotografowała się u stóp Neptuna, a wesoły Włoch śpiewał operowe arie.

To wszystko był jej świat. Wędrowała tędy od najmłodszych lat i znała każdy okoliczny zaułek. Gdańszczanom wydaje się, że wiedzą wszystko o swoim mieście, ale wielu z nich nie ma pojęcia o podpiwniczeniach pobliskich kamienic, o wyschniętym podziemnym kanale albo o niezasypanym gruzowisku przy bazylice Mariackiej. Jej matka przed laty straszyla ją duchami niemieckich żołnierzy, snującymi się przy Targu

Węglowym, który nie był dobrym miejscem do wędrówek dla małej dziewczynki.

W ogóle w ciągu ostatnich dwudziestu lat Gdańsk zmienił się diametralnie. Choć zdawałoby się, że miasta to przede wszystkim tkanka miejska – czyli owa na poły zabytkowa zabudowa, kobieta doskonale wiedziała, że miasto to przede wszystkim ludzie. Poznała to aż zbyt dobrze. Dlatego żał jej było tych wszystkich ulicznych grajków, którzy niby denerwowali turystów, a z drugiej strony stanowili nieodłączny element krajobrazu. Stary Joćka, podający się za Czecha, umarł pięć albo sześć lat temu. Wesoły Kapitan przepadł gdzieś w odmętach historii i zapomniano już o jego marynarskich sprośnych dowcipach. Zastąpili ich nowi żebracy, którzy nie dorównywali ich klasie ani fantazji. Świat się zmieniał, ale nie zawsze na lepsze.

Kobieta przeszła Wały Jagiellońskie i skierowała się dalej na północ. Po kilkunastu minutach marszu znalazła się przed starą, rozpadającą się kamienicą. Ludzie i miasto od wielu lat zapomniały o niej na amen. Świat zdawał się jej nie dostrzegać, jakby przynosiła ujmę wszelkim unowocześnieniom i zmianom na lepsze.

Główna brama budynku była zabita deskami, lecz do środka prowadziło sekretne wejście od piwnicy. Wystarczyło wejść przez otwór tuż nad ziemią i wkraczało się do nowego świata. Świata znanego tylko wybranym, których szeregi również coraz szybciej się przerzedzały, ale którzy odchodzili tak cicho, jak cicho trwała owa kamienica.

Mieszkało tu kilka rodzin – jak nazywali sami siebie, choć każdy inny nazwałby ich bandą meneli i bezdomnych. Wyrzutkami społecznymi. Trudno było zrozumieć, że ktoś taki jak ona może mieć tu swój dom. Tego świata nie rozumiał niemal nikt spoza niego.

Jej mieszkanko stanowiły dwie wydzielone izby, z których jedna w znacznej mierze pozbawiona była sufitu. Okna nie posiadały szyb, a przed deszczem i śniegiem wewnątrz chroniły dykty oraz plastikowe worki. O każdej porze dnia w środku budynku panował półmrok oraz okropny zaduch. Kilkoro narkomanów, wbrew utyskiwaniom reszty, załatwiali się niemal tam, gdzie spali. Ale ta kobieta miała swój prywatny,

oddzielny lokal. Była z niego dumna. Nie zważając na mamrotania tych naćpanych meneli, podążyła w jego stronę.

Ostrożnie przesunęła drewnianą paletę i weszła do środka. Mogła się tu poruszać niemal po omacku. Nieco światła rzucało rozpalone przez kogoś w głębi korytarza niewielkie ognisko, lecz kobieta momentalnie zasłoniła paletę oraz karton. To był jej kąć. Jej miejsce na ziemi. Mogła tu robić, co tylko zapragnęła. I nie chciała się z nikim tym dzielić.

## 12

– Na co się tak gapieś? – Langer ponowiła pytanie. – Wyglądałeś, jakbyś zobaczył ducha albo coś jeszcze gorszego. O ile może być coś gorszego od duchów...

– Bez przesady. – Rembert się blado uśmiechnął. – Moją uwagę zwróciło ustawienie książek na półkach regału.

– Alfabetycznie? Kolorami okładek? Ludzie mają różne dziwactwa i powinieneś o tym dobrze wiedzieć.

Orest wsiadł do radiowozu, w którym czekał na nich posterunkowy. Usadawiając się w fotelu, zerknął w stronę okna mieszkania Kruków. Wydało mu się, że dostrzegł w nim przesuwający się cień. Co mogła teraz zrobić matka tego mężczyzny? Co on zrobiłby na jej miejscu? Może włączyłby telewizor, aby śledzić wszelkie relacje informacyjne? Albo zadzwoniłby pod numer alarmowy... Tylko o co wtedy mógłby zapytać? Czy w ogóle chciałby o cokolwiek pytać? W końcu brak odpowiedzi często był najbezpieczniejszym, co można osiąść.

Rembert rozparł się w fotelu i westchnął. Miał wyrzuty sumienia, że rozegrali to z Lizą w ten sposób. Oczywiście mogli się usprawiedliwiać. Mogli powtarzać, że w podobnych sytuacjach liczył się przede wszystkim czas i że życia tego człowieka już nikt nie mógł przywrócić. Istniało natomiast podejrzenie, że zamachowiec lub morderca – bo to też należało

rozróżnić – mógł dybać na kolejną ofiarę. Właśnie dlatego często przedkładało się pchnięcie śledztwa do przodu ponad ogólnie przyjętą etykę. „Przedkładało się”! Nie cierpiał tego konstruktu myślowego. Kim było owo „się”? To on za to odpowiadał i on miał wyrzuty sumienia. Ludzie bardzo łatwo potrafią oszukiwać samych siebie, zrzucając odpowiedzialność na byty, które nie istnieją. Duchy.

Tymczasem czy wizyta u tej kobiety w czymkolwiek im pomogła? Czy sprawiła, że cokolwiek stało się bardziej oczywiste, niż było przed ich pojawieniem się w jej mieszkaniu? Na tym etapie śledztwa istniały niemal wyłącznie znaki zapytania. Nie było nawet stuprocentowej pewności, że ten mężczyzna został zamordowany. Mogło dojść do okropnego wypadku, który uruchomił całą lawinę błędnych podejrzeń. Nie było nawet jednoznacznej identyfikacji...

– Jedź... – szepnęła do posterunkowego, gdy tylko Langer weszła do auta. – Proszę cię, jedź stąd jak najszybciej. Jazda!

Wydało mu się, że w oknie budynku ponownie przemknął cień. Czy ta kobieta już wiedziała, że jej dziecko nie żyje? Że jego zwłoki niebawem trafią do szuflady chłodniczej, a głowa zostanie położona obok, w specjalnym worku, aby się gdzieś nie zawieruszyła? Zrobiło mu się niedobrze. Przełknął ślinę i uświadomił sobie, że Liza uporczywie mu się przygląda, odwrócona na przednim siedzeniu.

– Co z tymi książkami? – syknęła groźnie. – Wydusisz to z siebie wreszcie?

Jej pytanie przywołało go do rzeczywistości. Sprawilo, że strumień myśli nagle się uspokoił i wrócił na niedawne tory.

– Dostrzegłem kilka pozycji religijnych – wyjaśnił. – Wśród nich znajdowała się bardzo ładnie wydana Biblia oraz jakieś zbiory modlitw...

– Odkryłeś Amerykę! Takie książki są w co drugim polskim domu.

– Ale nie w co drugim układa się je raz prawidłowo, a raz do góry nogami – mruknął Orest. – Jakby ktoś pośpiesznie odłożył je na miejsce, nie zważając w ogóle na ustawienie. Nawet najwięksi bałaganiarze odruchowo odstawiają na półkę książki tak, jak się je czyta...

– Coś sugerujesz?



– Kompletnie nic. To oczywiście mógł być jedynie przypadek... Choć zwielokrotniony co najmniej czterema pozycjami.

Liza cicho cmoknęła. Zerknęła na posterunkowego i wychyliła się, by dostrzec licznik prędkości. Zapewne irytowało ją, że jada zbyt wolno, ale nim zdążyła się odezwać, poczuła wibrację telefonu. Wyjęła go i pośpiesznie odczytała krótką wiadomość.

– Ciało jeszcze dziś trafi do patologa – oznajmiła po chwili Orestowi. – W nocy mają być zebrane rozmaite dane o ofierze. Z samego rana raport powinien być już na moim biurku.

– Świetnie. W takim razie co robimy?

Langer odwróciła się do posterunkowego i rzuciła mu adres. Jak zwykle miała swój plan.

## 13

Langer nie pozwoliła sobie towarzyszyć Rembertowi. Wysiadła w pobliżu deptaka prowadzącego do Sopotu, po czym przeszła nim kilkadziesiąt metrów na obszerne pole kempingowe. Od lat trzymała tu luksusową przyczepę, która pełniła funkcję jej całorocznego mieszkania. Teren był strzeżony, choć poza sezonem poza nią nie było tu żadnych innych stałych bywalców. O tej porze roku pojawili się już jednak pierwsi urlopowicze.

Liza odwróciła się i upewniła, że Orest nie wpadł na pomysł, by iść za nią. Właściwie nigdy by się do tego przed nim nie przyznała, ale teraz nieco liczyła, że to zrobi. Stawiała przed nim barierę, odpychała go, lecz w rzeczywistości był jej jedynym przyjacielem. Przyjacielem albo nawet kimś więcej. Nie pozwoliła swoim myślom nigdy wybiec ani o krok dalej. Choć doszło między nimi do kilku co najmniej dwuznacznych sytuacji, nie wnikała w nie i nie interpretowała ich. Stanowiły dla niej zaledwie zdjęcia wyrwane z albumu wspomnień.

Nie chciała tworzyć żadnych związków. Związki stanowiły zobowiązanie i punkt wyjścia dla bezgranicznego cierpienia. Wiedziała o tym jak mało kto. Choć była jeszcze młoda, zdążyła już pochować narzeczonego i odsprzedać suknię ślubną, nim sama ją założyła. Czekają na nią jedynie grób oraz pustka. Takie same jakie miały czekać na Barbarę Kruk. I na każdego.

Doskonale zdawała sobie sprawę, że Orest miał wyrzuty sumienia po wizycie, jaką złożyli tej kobiecie. Powinni poinformować ją o wypadku i zabrać na identyfikację. Mniejsza z tym. Musiała bywać bezwzględna i za taką uchodzić. Przez ostatnie lata jak mało kto nauczyła się przywdziewać nieruchomą maskę. Była w tym naprawdę dobra.

– Chrzanić to – syknęła do siebie.

Tuż przed wejściem na pole kempingowe zбочyła ku plaży. Przeszła między betonowymi murkami, minęła całodobowy szalet i stanęła na piasku. Wsluchiwała się w chłupot fal. W oddali przepływały kontenerowce, których światła migotały niczym kolorowe gwiazdy. Uwielbiała ten widok, zawsze kołł jej nerwy.

Po epizodzie walki z depresją, przy pomocy psychologów oraz psychiatrów, nauczyła się z nią po prostu żyć. Za radą jednego z terapeutów wizualizowała ją jako coś namacalnego – nadała jej nawet imię „deszczowego psa”. Oswoiła go, a nawet polubiła. Przecież depresja tak naprawdę stanowiła immanentną część jej osobowości. Smutek był całkowicie naturalny i zrozumiały, o ile nie prowadził do destrukcyjnych myśli oraz zachowań.

W tym momencie deszczowy pies również jej towarzyszył. Był bardzo blisko, biegał po plaży i łypał na nią spode łba. Od czas do czasu słyszała jego cichy warkot. Czasem zdawało się jej, że chce do niej przemówić, że jego oddech stawia jej włoski na karku i przyprawia ją o kołatanie serca. Powracał tym częściej, gdy w jej pobliżu znów pojawiała się śmierć. Nieważne, że chodziło o kogoś obcego, z kim nigdy nic ją nie łączyło. Mariusz Kruk. Jaki był? Dlaczego zginął? A przede wszystkim czy ktoś stał za jego zgonem?

Wiedziała, że znajdzie odpowiedzi na te pytania. Gdyby tak się nie stało, deszczowy pies mógłby wreszcie ją powalić. Dobrałby się do jej szyi i rozgryzł aortę. Ale ona znalazła sposób na to, by go okiełznać. Musiała tylko poznać prawdę.

Zdjęła tenisówki i wzięła je do ręki. Na bosaka rzuciła się pędem po plaży. Wiedziała, że kilkukilometrowa przebieżka w tę i z powrotem pomoże jej zasnąć. Miała parszywe przeczucie, że kolejny dzień przyniesie wiele złych wieści.

## DZIEŃ KOLEJNY

Langer weszła do gabinetu i zaskoczona zdała sobie sprawę, że Rembert już na nią czekał. Siedział przy sporym metalowym biurku, w dłoni trzymał plik wydruków, a nogi miał założone na blat drugiego biurka. Na jej widok opuścił je i szeroko się uśmiechnął. Wzniósł symboliczny toast filiżanką kawy.

– Nie ma żadnych wątpliwości, że to była bomba – oznajmił na powitanie. – Prowizoryczna robota, która powinna zakończyć się jedynie niewielką eksplozją. Niestety stara butla gazowa zadziałała jak dodatkowy ładunek. Po wnętrzu pojazdu rozeszły się właściwie dwie fale uderzeniowe, stąd taka skala zniszczeń.

– Oczywiście nie mamy co liczyć na jakiegokolwiek ślady biologiczne?

Liza usiadła w fotelu i z niepokojem spojrzała na kołyskę Newtona stojącą na biurku Remberta. Na szczęście, odkąd rzuciła palenie, ten nie miał pomysłu, aby ją uruchomić. Zapewne właśnie w tym przejawiała się często przywoływana przez niego „humanitarność”.

– Nie ma mowy o odciskach palców, włosach, rzęsach ani niczym podobnym – odparł. – Temperatura była zbyt wysoka. Poza tym w okolicy nie odnotowano żadnych kamer i nie zgłosił się żaden świadek.

– Dalej się upierasz, że to nie były zwykłe porachunki gangsterskie?

– Nie.

– Nie upierasz się, czy że to nie są porachunki gangsterskie?

– Upieram się, że to nie są porachunki gangsterskie.

– Boże, Oreście, gadamy jak potłuczeni. Zrób mi kawę i powiedz, że to nie będzie tak zły dzień, jak mi się wydaje. Albo lepiej nic nie mów...

Rembert natychmiast wstał i podszedł do ekspresu. Nowoczesny sprzęt miał wydolność porównywalną z maszynami z najlepszych kawiarni. Podwójne ristretto mogłoby przyprawić o palpacje serca konia, lecz stało się porannym rytuałem Langer. Kiedy tylko Orest postawił przed nią filiżankę parującego napoju, chwyciła ją i duszkiem wypła zawartość. Z zadowoleniem oblizwała usta.

– A druga część?

– Ta z obiecankami o dobrym dniu? – Orest się skrzywił i odwrócił w stronę okna. – Wiesz, że nie lubię kłamać. W ogóle z tym Krukiem to dziwna sprawa.

– Jak gładko zmieniasz temat!

– Po prostu udało mi się ustalić, że pracę zaczął ledwie dwa tygodnie temu. Jako całkowity debiutant miał kontakt z bardzo lekkimi wykolejeńcami, z których żaden na pierwszy rzut oka nie wydaje się kryminalistą. To nie do końca legalne, ale dostałem akta większości z nich.

Langer przesunęła filiżankę na skraj biurka i odchyliła głowę do tyłu. Zebrała włosy w kucyk. Czują na sobie spojrzenie Oresta, lecz kiedy ponownie wbiła w niego wzrok, ten natychmiast udał, że bez przerwy patrzył się za okno.

– Brzmi jak nudna papierologia, ale lista czeka na zweryfikowanie – wyjaśnił. – W każdej chwili możesz kogoś wysłać, by sprawdził tych ludzi.

– A Kruk? Mamy coś na niego?

– Niby nic. Wydaje się, że nie ma bliskich znajomych, niemal nie korzystał z social mediów, nic mi nie wiadomo o jego dziewczynie ani chłopaku, gdybyśmy podejrzewali, że jest ten tego... A brak bardziej zażyłych kontaktów z ludźmi to również brak potencjalnych wrogów.

– Czasem ludzie związani z półświatkiem wiodą sekretne życie...

Orest wreszcie jawnie spojrział na Langer i ponuro pokręcił głową. Odłożył na biurko ostatnią kartkę.

– Nie dałaś mi powiedzieć, dlaczego się upieram, że to nie były porachunki gangsterskie. – Westchnął i głęboko nabrał powietrza. – Pani

patolog powiedziała, że ma dla nas, cytuję, „takie wieści, że nam szczęki opadną”.

– Co przez to rozumiała?

– Nie wiem. Obiecałem, że przyjadę razem z tobą i nie spalę jej niespodzianki. Powiedziałem, że będziemy tuż po ósmej. Dlatego powinniśmy się zbierać.

## 15

Zazwyczaj w sprawach denatów Langer współpracowała z doktorem Zalewskim. Był to świetny specjalista, do którego od lat trafiały najbardziej skomplikowane sprawy, ale ponoć właśnie przebywał na urlopie. Teoretycznie nie robiło to różnicy, choć Liza nie przepadała za nowymi znajomościami. Trudno jej było sobie wyrobić zdanie o ludziach, a to było niezbędne, by zaufać ich ocenie. Właśnie z tego powodu w jej grupie śledczej mimo nacisków przełożonych wciąż pracowały te same osoby, i to w gronie ograniczonym do minimum.

– Doktor Iza Wiger.

Krucha blondynka o powiększanych ustach wymieniła z nią uścisk dłoni. Była młodsza od Lizy, ale mimo pozorów pewnej nonszalancji w jej spojrzeniu tkwiła profesjonalna powaga. Bez zbędnego przedłużania poprowadziła ich do lewego skrzydła zakładu medycyny. Potocznie zwane trupiarnią, składało się z pomieszczeń laboratoryjnych, badawczych oraz chłodni. Przechowywano w nich znaczną część gdańskich nieboszczyków, którzy zostali poddani sekcji.

– Niespodzianki to wasze zawodowe zboczenie. – Rembert zrównał się krokiem z lekarką i usiłował żartować. – Uwielbiam te opadające szczęki i przełomowe wieści. No i oczywiście dowcip o tym, że wykonaliście autopsję bez zbędnej zwłoki. Słyszałem go chyba z milion razy.

Wiger zerknęła na niego z ukosa i nic nie powiedziała. Skierowała się ku drzwiom na końcu korytarza, po czym wyciągnęła z kieszeni kartę magnetyczną. Po chwili rozległ się brzęczek, a zamek automatycznie odskoczył.

– Zapraszam do środka. – Przepuściła ich w progu. – Szafa numer dwa, szuflada jedenaście.

– Mamy sami otworzyć? – ponuro zagadnęła Langer.

– Spokojnie. Ze środka nie wypadnie głowa. To jedynie szuflada na dowody.

Liza była wyraźnie nieprzekonana co do doktor Wiger. Łypnęła na nią z wyższością, następnie przeniosła wzrok na Remberta, a potem jako pierwsza weszła do przestronnego pomieszczenia, na którego wszystkich ścianach znajdowały się okrągłe lub kwadratowe maskownice szuflad. Niemal natychmiast odszukała tę wskazaną przez lekarkę.

– Śmiało – zachęciła ją Wiger. – Proszę otworzyć.

Langer pociągnęła za uchwyt i zajrzała do środka. Rzeczywiście nie była to długa ława chłodnicza, na której spoczywały ciała w workach. Zamiast niej w środku znajdowała się głęboka szuflada z ustawionymi jeden obok drugiego przezroczystymi zawiniątkami oraz folijkami. Na ich wierzchu naklejono nalepki z numerami. Liza od razu dostrzegła worki z resztkami koszuli, z jeansami oraz z portfelem denata.

– Wylosowaliście numer pięć – sarknęła Wiger. – To dla jego zawartości ściągnęłam was właśnie tutaj.

Liza pośpiesznie wyciągnęła wskazany woreczek. Był bardzo mały, a jego zawartość wydała się niezwykła.

– Co to, u licha, jest? – zdziwił się Orest.

– Mnie się o to nie pytajcie. – Wiger spłotła ręce na piersi i wzruszyła ramionami. – Ja tu jestem od tego, aby pokroić trupa, zebrać dowody i ustalić ewentualną przyczynę zgonu. A właściwie ewentualnie ustalić przyczynę zgonu, bo ten jest już niewątpliwy...

Liza w dwóch palcach, jakby się brzydząc, uniosła przezroczysty woreczek. W środku znajdowała się ośmiokątna okolicznościowa moneta z gdańskim żurawiem na awersie. Nie było na niej ani daty, ani nominału. Na rewersie figurował zarys statku z kominami do złudzenia upodabniającymi go do Titanica.

– I? – Rembert z całych sił wyteżył wzrok, starając się dojrzeć na monecie czy też medalu cokolwiek niezwykłego. Coś, co usprawiedliwiłoby ich obecność w zakładzie medycyny. – Zwykła blaszka sprzed kilkudziesięciu lat, jakich tłoczono bez liku. W dzieciństwie też takie zbierałem. Pewnie nasz denat nosił je na szczęście tak, jak niektórzy noszą dzisiaj jednogroszówki. Albo srebrne podkowy.

– Nie do końca – lakonicznie odparła lekarka.

– Wiem, że nie miał szczęścia, ale to wcale nie znaczy, że nie mógł jej nosić właśnie w tym celu. Przecież...

– Oreście, zamknij się – cierpko wtrąciła się Liza. – Pozwól pani doktor mówić.

Wiger z wdzięcznością zerknęła na policjantkę. Wzięła od niej woreczek i obróciła pod światło. Następnie przeszła z nim kilka kroków, po czym energicznie otworzyła jedną z szuflad. Tym razem w środku znajdowały się zwłoki opatulone w biały, gruby worek. Lekarka rozpięła górę zamka. Nadając swoim ruchom dramatyzmu, odsłoniła nadpaloną, uszkodzoną twarz Kruka. Widać było szew poprowadzony wokół jego czerepu oraz to, że powieki zostały sklezione. Należało przyznać, że obmyty ze śladów dymu oraz ognia prezentował się lepiej niż poprzedniego wieczora. Mimo to nadal bił od niego swąd spalenizny. Orest momentalnie przysłonił nos wierzchem dłoni, lecz zaraz, zawstydzony tym odruchem, wyprężył się jak struna.

– O co chodzi? – zapytał zdziwiony. – Dlaczego nam go pani pokazuje?

Wiger poruszyła woreczkiem z monetą tuż nad twarzą denata.



– Rozumiecie? – zapytała bez cienia uśmiechu. – Skojarzenia ponoć lepiej działają, gdy są odpowiednio wizualizowane. Chciałabym, abyście dostrzegli oba te elementy jednocześnie.

– Oba elementy? – Rembert zmarszczył czoło i wyciągnął mankiety koszuli z rękawów marynarki. – To znaczy? Chyba Wenus w naszym kontekście nie nadaje zrozumiale dla Marsa.

Langer, słysząc tę uwagę partnera, przewróciła oczami. Sięgnęła po woreczek z monetą i niemal wyrwała go z dłoni lekarki.

– Pani doktor daje nam właśnie do zrozumienia, że wyciągnęła tę monetę z ust ofiary, prawda? W tym rzecz?

Wiger bez słowa skinęła głową.

## 17

– Czyli mamy konkretny problem – stwierdził Orest. – Wszystko przemawia za koncepcją, że to dewiant i pochrzaniony morderca, a nie zwykły opryszek pozujący na gangstera. Niech to sto diabłów!

– „Pochrzaniony morderca”? Czy to sformułowanie przeniesione z podręczników psychologii?

– Nie kpij. Mówię językiem zrozumiałym dla innych.

Liza nawet na niego nie zerknęła. Otworzyła przesuwane drzwi zielonego peugeota 1007 i siadła za kierownicą. Rano śpieszyli się na tyle, że uznała za zbędne wypełnianie dokumentów wydania służbowego radiowozu. Poza tym nie lubiła jeździć tymi topornymi, przeładowanymi elektroniką maszynami. Surowy, ale zarazem bezpretensjonalny minivan był jej oczkiem w głowie. Doskonale zadbane wnętrze stanowiło nie tylko powód do dumy, lecz jej prywatne ustronie spokoju. Przynajmniej do czasu, aż władował się do niego Orest Rembert.

Profiler wygodnie się rozsiadł i zapiął pas. Przeczesał palcami jasną czuprynę, by niemal jednocześnie wyciągnąć z wewnętrznej kieszeni

marynarki notatnik. Langer nie miała żadnych wątpliwości, że Orest cierpi na bardzo głębokie ADHD. Spojrzała na niego z politowaniem i uruchomiła silnik.

– Gangsterzy lubią rozbudowaną symbolikę – stwierdziła zaczepnie. – Końskie łby, betonowe buty, przesyłki z rybami i tak dalej, to nie tylko filmowe atrybuty, ale przede wszystkim rzeczywistość. Członkowie jakuzy robią sobie specyficzne tatuaże, zapuszczają paznokcie albo włosy, w zależności od odłamu. To pewien dress code przestępczego świata.

– Włożenie trupowi do ust monety uważasz za dress code?

– Raczej za przejaw spaczony wyobraźni. Kulturowo wiemy o obolu w ustach zmarłych, ale tu chodzi o jakąś zwykłą monetę sprzed parudziesięciu lat. Symbol? Jeśli tak, to mało atrakcyjny.

Orest zerknął do notatnika, coś w nim zanotował, po czym ostentacyjnie go zamknął. Poprawił się w fotelu, starając się nie pokazać, jak bardzo przeraża go prędkość, do której Langer rozpędziła małe samochód. Mknęli ulicami Gdańska, nie tylko łamiąc przepisy, ale również ocierając się o śmierć. Auto zaczęło się trząść jak hitlerowski U-Boot osiadający na dnie oceanu.

– Nazwałbym to chyba przesłaniem – wymamrotał, podczas gdy jego twarz stawała się coraz bledsza. – To, co robisz ze sobą, może być emanacją przekonań, ale wszystkie działania dotyczące ofiary stanowią przesłanie. Rozumiesz?

– Chyba już o tym kiedyś mówiłeś. Wydaje mi się, że pamiętam nawet kontekst.

– To znaczy?

Langer zabębniła palcami w kierownicę i oderwała wzrok od drogi. Spojrzała na Remberta, po czym się uśmiechnęła.

– Seryjni mordercy. Wspominałeś, że przesłanie zazwyczaj towarzyszy zbrodniom popełnianym przez seryjnych morderców.

Przecięli Martwą Wisłę na Na Ostrowiu i terenami stocznioowymi skierowali się ku skrzyżowaniu z krajową dziewięćdziesiątką jedyneką. Langer przejechała je dobre kilka sekund po zapaleniu się czerwonego światła, w momencie gdy pojazdy po ich prawej już ruszyły.

– Cholera! Co ty robisz?! – Rembert usiłował znaleźć coś, czego mógłby się chwycić, lecz w surowej kabinie peugeota nie było zbyt wielu wystających elementów. – Nie rób tak więcej! Zabijesz nas.

– Dobrze, panie władza. Liczyłam, że wypowiesz się na temat koncepcji dotyczącej seryjnego mordercy.

– Muszę się nad nią zastanowić.

– Już?

– Co już?

– Pytam, czy się już nad nią zastanowiłeś. Nie ma czasu do stracenia, a ty nie potrafisz nawet zebrać myśli.

Rembert westchnął i z ulgą zdał sobie sprawę, że Liza zjechała w wąską uliczkę, po której obu stronach wznosiły się niskie kamieniczki. W oddali po prawej majaczyły cztery ohydne wysokościowce z lat siedemdziesiątych. Zanim do nich dotarli, Langer zatrzymała auto w niewielkiej zatoczce i wyłączyła silnik.

– Dokąd dojechaliśmy? – zapytał Rembert. Miał spocone plecy, a nogi drżały mu jak po długotrwałym wysiłku. Przypuszczał, że przez ostatnie minuty odruchowo wciskał je w podłogę.

– Do źródła. – Liza, bębniąc w kierownicę, czekała, aż drzwi się rozsuną. – Nie poznajesz?

Rembert wysiadł z auta równocześnie z komisarz. Gdy tylko zerknął w stronę najbliższego budynku, dostrzegł czerwony szyld zawieszony w pobliżu drzwi wejściowych. Natychmiast wszystko zrozumiał.

## 18

Dostanie się do szefa gdańskiego urzędu pomocy społecznej nie było łatwe. Właściwie na podstawie reakcji sekretarki za cud należało uznać, że ten w ogóle był w pracy. Na szczęście cuda się zdarzały.

Dyrektor przyjął ich w sporym, zagraconym gabinecie, w którym śmierdziało papierosami. Zgodnie z informacją na drzwiach miał na nazwisko Milski, choć najbardziej oczywiste źródłosłowie miało się nijak do jego fizjonomii. Urzędnik był niskim, otyłym mężczyzną o nalanej twarzy wściekłego buldoga. Spoglądał na świat spode łba, odruchowo co chwilę drapał się po niemal łysej głowie, a do tego głośno odchrząkiwał. Falszywy uśmiezek gościł na jego ustach równie często jak wyraz pogardy. Podjął ich z przesadną dwornością, nakazując rozsiąść się w surowych krzesłach. Sam zasiadł w wielkim skórzanym fotelu za ogromnym biurkiem. Znudzonym głosem poprosił sekretarkę o akta Mirosława Kruka, po czym gdy tylko je dostał, zaczął je ślamazarnie przeglądać. Co rusz nawilżał palec śliną i obracał kolejne strony.

– Nie żyje... Słyszałem już o tym – bełkotał. – Ale zamordowano go? A tak, nie możecie powiedzieć. Ale skoro tu jesteście, pewnie nie zszedł na zawał. Moi ludzie mają do czynienia z różnymi sytuacjami, wiem, co się zdarza w tym mieście...

– Różnymi sytuacjami? – podchwyciła natychmiast Liza.

– Ano. Z różnymi. W końcu pomagamy ćpunom, alkoholikom, byłym więźniom i wychowankom domów dziecka... Ale Kruk nie miał styczności z najgorszymi przypadkami. Prawdę mówiąc, dopiero się przyuczał, więc większość czasu spędzał na wypełnianiu dokumentów po innych. Nikt nie lubi papierologii.

Rembert porozumiewawczo łypnął na Lizę. Potwierdzało się to, co już wiedzieli. I nie była to wiadomość, która mogła pchnąć śledztwo do przodu.

– Pełnimy naprawdę ważną służbę publiczną, choć okropnie niedocenianą – ciągnął urzędnik. – Ludzie myślą, że to odbębnianie godzin za biurkiem, choć... Oczywiście, ja po trzydziestu latach pracy mogę sobie na to pozwolić, ale nie moi pracownicy. Sam pamiętam czasy, gdy chodziłem od drzwi do drzwi meliny, wystawałem w skwarze albo mrozie, by...

Langer nie wytrzymała i weszła mu w słowo.

– Niech pan da spokój tym sentymentalnym wspominkom.

– Co takiego?

– Słyszał pan. Chcę porozmawiać o pańskim podwładnym, a nie o pańskich doświadczeniach frontowych. – Westchnęła i zdobyła się na łagodny uśmiech. – Czy wiadomo panu, by pan Kruk miał jakieś kontakty z, nazwijmy to, półświatkiem?

Milski złożył dłonie jak do modlitwy i przytknął palce do podbródka. Z zaintrygowaniem powiódł wzrokiem od Lizy do Remberta, a potem ponownie spojrzął prosto w oczy komisarza.

– Półświatkiem? – parsknął. – To był grzeczny i spokojny chłopak z niemal wzorowym CV. Pamiętam, że miał jakieś epizody styczości z używkami, ale w trakcie rozmowy o pracę poruszyliśmy ten temat. Nie mam żadnych wątpliwości, że był całkowicie czysty. Swoją drogą pokazał mi nawet test... Chciał tym uwiarygodnić swoje papiery.

– Nadzwyczajne zaangażowanie – skwitowała Liza. – Brzmi, jakby się ubiegał o pracę marzeń.

– Kpi pani?

– Ależ skąd.

– On naprawdę chciał tu pracować. Był miły i zaangażowany, a być może znalazł się w złym miejscu o złej porze. Miał pecha podczas tej ostatniej wizji, w ogóle mogło go tam nie być. Powinien segregować papiery. Poza tym...

Rembert znacząco uniósł palec. Coś przykuło jego uwagę i jedno skojarzenie uruchomiło całą burzę myśli. Być może wpadł właśnie na istotny trop. Serce uderzyło mu ze zdwojoną siłą.

## 19

Kobieta otworzyła oczy i zamrugła. Rozbudzenie się w wiecznym półmroku przychodziło jej z latami coraz trudniej. Przez kilka minut leżała na plecach, wpatrując się w zawilgocony, pełen wykwitów pleśni

sufit. Część tynku była oderwana i z dziury zionęły przegniłe deski stropowe. Spomiędzy nich zwieszał się kabel prowadzący niegdyś do żyrandola, a obecnie zakończony smętym kikutem. W kamienicy od wielu lat nie było przecież prądu. Dawne sprzęty rozgrabiono i lokatorzy sprzedali je na targowiskach lub na złom. Taki los spotkał również piece kaflowe, kaloryfery, sztukaterię, a nawet ebonitowe kontakty, które były tu jeszcze trzy lub cztery lata temu. Ktoś kiedyś przyniósł generator na ropę, ale ten szybko się zepsuł. Wydawało się, że nawet takie drobnostki pokazują, że to miejsce jest przeklęte. Ona jednak sądziła inaczej.

Najbardziej wartościową rzeczą, którą posiadała kobieta, był nakręcany zegarek sprzed wojny. Podarunek od jej matki, która przecież miała niewiele więcej, choć kiedy tu mieszkały razem, warunki były nieco bardziej ludzkie. Czasy wcale nie zmieniały się na lepsze. Przynajmniej nie dla niej.

– Matka... – wyszeptała kobieta. – Mama...

Wyrzebała się spod cuchnącej, poplamionej pierzyny i spojrzała na zegarek. Jeśli mechanizm dobrze chodził, znaczyło to, że minęła dziewiąta. Od kilku tygodni budziła się coraz później i była coraz słabsza. Choć niemal nie tykała alkoholu, poranki przypominały te spędzane na kacu. Do tego bolała ją nie tylko głowa, lecz wszystkie mięśnie i stawy, a także brzuch. Miała wrażenie, jakby coś tkwiło w jej trzewiach. Nie, nie było to dziecko, o tym nie mogło być mowy. Woda, jakiś inny płyn, a może nowotwór? Nachodziły ją ponure myśli, choć nie zgrywały się w spójną całość. Kiedyś prawdopodobnie była dość bystra i wcale nie głupia, lecz teraz traktowała siebie niczym uszkodzoną maszynę. Niczym tamten generator, który wysłużył się, po czym trafił na śmietnik historii. Ludzie mieli wiele wspólnego ze śmieciami.

Kobieta westchnęła. Musiała w końcu wstać, więc starając się nie zważać na ból, zrobiła to. Musiała zjeść skradziony poprzedniego dnia ze sklepu rogalik, więc go zjadła. Popiła go wodą zaczerpniętą poprzedniego wieczoru z nieodległego hydrantu. To nie nazywało się życiem, lecz przetrwaniem.

Kiedyś było zupełnie inaczej. Nie chodziło o upiększanie przeszłości ani własnych wspomnień. Od tego była bardzo daleka. Mimo wszystko mogła wspomnieć rodzinę, pojedyncze uśmiechy oraz zabawy. Miała aparat fotograficzny, którym uwielbiała robić zdjęcia. Ktoś kradł dla niej klisze, a wywoływania nauczyła się sama. Miała też z kim rozmawiać i z czego żartować. Być może była dziwna, jej matkę również nazywano dziwną, lecz przecież ktoś mądry powiedział, że normalność nie istnieje. A może to było tylko usprawiedliwienie wygodne dla takich jak ona.

Była wyjątkowa. Ona. On. Oni wszyscy. Tak, to nie była kwestia upiększania wspomnień ani wybielania przeszłości. To nie mogło być tak niepoważne.

Powiodła wzrokiem po ścianach i zatrzymała spojrzenie na jednej z nich. Widziała więcej niż ktokolwiek inny. Uśmiechnęła się, a wspomnienia zaczęły być jeszcze bardziej wyraziste. Ożywały, przywoływały odległe zapachy oraz odgłosy, jakby przenosząc ją do innej rzeczywistości. Marzyłyby, aby nigdy jej nie opuścić.

Stała nieruchomo, przez kilka minut wsłuchując się w ciszę. Większość mieszkańców kamienicy wyszła już na żebrzy albo załatwiała rozmaite interesy. Aby zdobyć towar lub aby kupczyć własnym ciałem. W korytarzu być może jak zwykle leżało kilku ćpunów, którzy po odlocie przedpołudniami zaliczali kompletne dołki. Leżeli nieruchomo, często z otwartymi oczami i powyginanymi palcami. Przypominali zwłoki. Nie odzywali się ani nie reagowali na zaczepki, nadając się do wrzucenia na karawan i wywiezienia na cmentarz. Ludzie mieli wiele wspólnego ze śmieciami, a to był jeden z najlepszych tego przykładów. Przynajmniej tak sądziła.

– Co jest... – Kobieta zdziwiła się, usłyszawszy jakiś dźwięk.

Powinna być teraz całkowicie sama, gdyż wejście do jej lokum było zasłonięte grubą dyktą. Wyraźnie pamiętała, że nie zaniechała tej prowizorycznej ochrony. A jednak gdzieś za swoimi plecami słyszała cichy szmer kroków. Pokracznych i nierównych, którym towarzyszył stłumiony brzęk. Jakby ktoś, idąc, ciągnął po nagiej podłodze jakiś pręt. Pręt albo...

Odwróciła się i wtedy go ujrzała. Zamarła w bezruchu. Chciała krzyknąć, lecz z jej ust dobył się tylko cichy jęk.

- To ty... - wymamrotała.

## 20

- Chwileczkę, chwileczkę. - Rembert pochylił się w krześle i odruchowo przytknął palec do nosa. - Twierdzi pan, że wczorajszego wieczoru Mariusz Kruk miał być gdzieś indziej? Czy dobrze zrozumiałem?

Dyrektor Milski przerzucił kilka stron dokumentów i odchrząknął. Z ostentacyjnym znużeniem odłożył teczkę osobową podwładnego na biurko. Zamknął ją, po czym przegłądził okładkę. W jego zachowaniu Orest dostrzegał mnóstwo sprzeczności, które mogły wynikać ze stresu, irytacji albo obu tych emocji wspólnie. Bardzo rzadko zdarzało się, by ludzie podlegali tylko pojedynczej emocji. Zazwyczaj kipiał w nich cały ich konglomerat, co też stanowiło najtrudniejszy element analizy psychologicznej zachowania. Nawet splecenie rąk na piersi, najpowszechniej pojmowane jako zamknięcie się na rozmówcę, w połączeniu z uniesieniem podbródka oznaczało raczej postawę autorytarną. To ją przyjmowali szefowie napawający się raportami zdawanymi przez interlokutorów. Jednak wraz z obniżeniem ramion oraz spuszczeniem wzroku postawa ta znamionowała rozbitcie i niepewność. Zawsze wszystko zależało od kontekstu, tak też teraz dyrektor Milski wydawał się tyle zirytowany, co zestresowany rozmową z policjantami.

- Dokładnie to miałem na myśli - odparł ze sztucznym uśmiechem. - Kruk pojechał pod trzy czy cztery adresy, w zastępstwie koleżanki. O ile dobrze widziałem w dokumentach, wczoraj nie mieliśmy w grafiku zbyt wielu wizyt w terenie. Często są dni, kiedy moi ludzie muszą pojawić się w dwudziestu albo nawet trzydziestu miejscach. Proszę sobie wyobrazić, jak wiele pracy wymaga...



- Czy ta koleżanka się rozchorowała? - Langer nie pozwoliła urzędnikowi skończyć wywodu. - Mówił pan o zastępstwie.

- Tak to nazwałem. Ale to bardziej złożone.

- Proszę więc to rozłożyć.

Milski z irytacją sapnął. Uśmiech zniknął z jego twarzy i zastąpił go grymas jawnej niechęci oraz znudzenia. Zapewne miał ochotę dalej surfować po internecie lub gapić się przez okno, popijając kawę. Rozmówcy o ugruntowanej pozycji oraz pewności siebie często szybko odrzucali maskę i odsłaniali swoje prawdziwe intencje. Natomiast wiedząc o tej zasadzie, mogli zdecydowanie łatwiej manipulować rozmówcą. A już na pewno rozmówcą świadomym znaczenia konkretnych gestów. Ten drobny szczegół sprawiał, że Rembert zawsze musiał wszystko rozważyć również pod kątem tego, że sam został rozpracowany. W tej grze to profiler powinien być analizującym.

- Pani Milena Dycka nie pokwapiła się, aby wyjaśnić powód swojej nieobecności. - Milski wypowiedział te słowa lodowatym tonem. - Nawet nie zadzwoniła. Może nie chce już tu pracować, bo takie właśnie mamy standardy współczesnych urzędników. Niepojawianie się z dnia na dzień, bez uprzedzenia ani mnie, ani swoich kolegów. W każdym razie nie zostawię tego bez konsekwencji, a odpowiednie adnotacje pojawią się w jej aktach. Niezwłocznie.

Langer zerknęła na Remberta. Profiler wydawał się równie zaintrygowany tą wiadomością i przygryzł wargę. Analizując rozmówców, sam rzadko kiedy zważał na ukrywanie własnych emocji. Uważał to zresztą za zbyt cenne.

- Czy ktoś próbował się z nią skontaktować? - zapytał. Jednocześnie sięgnął do notatnika i nakreślił w nim imię oraz nazwisko kobiety.

- Oczywiście - odparł Milski. - Moja kadrowa kilkakrotnie do niej dzwoniła. Parę razy w ciągu kilku dni, żeby była jasność.

- Bez rezultatu?

- Gdyby był jakikolwiek rezultat, dam wam słowo, że już bym wam o tym powiedział. A tę panią wezwał tylko po to, by jej oznajmić, że jest

zwolniona. Choć przyznam, że to zaskakująca sytuacja, bo akurat Dycka pracowała tu od trzech lat i nigdy nie zawiodła mojego zaufania.

– Niesamowite – parsknęła Liza. Sięgnęła do kieszeni i dotknęła zafoliowanego lizaka. Taka drobnostka uspokajała ją bardziej niż sięgnięcie niegdyś po papierosa. – Oreście, zanotuj wszystkie dane pani Dyckiej. Adres zamieszkania, numer telefonu... Wszystko. Swoją drogą – zwróciła się do Milskiego – czy nikt z pracowników nie miał od niej żadnych informacji?

– Nikt.

– Przynajmniej nikt się nie przyznał – sprostował Orest. Znacząco obrócił w dłoni pióro, po czym rozprostował kartki notesu. – Jestem gotów do notowania, może pan dyktować.

Gdy tylko otrzymali dane kobiety, oboje policjanci poderwali się z miejsc. Bez słowa pożegnania ruszyli do wyjścia, po czym pośpiesznie skierowali się do auta. Tym razem Rembert był zbyt zafrasowany, by rajdowe skłonności Langer mogły wyrzucić na nim jakiegokolwiek wrażenie. Zamyślony, raz po raz, skubał dolną wargę.

## 21

– Zostaw mnie. Wyjdz stąd i nigdy nie wracaj. Ty potworze! Precz!

Kobieta starała się być stanowcza, lecz jej głos drżał. Pociągnęła nosem. Cofnęła się o krok i wpadła na metalową prowizoryczną konstrukcję, która w mroźne zimy służyła jej za piecyk. Zrobiona z puszek przykrywka spadła na podłogę i brzęcząc, potoczyła się ku ścianie. W powietrzu uniósł się mdły zapach rozlanej benzyny.

– Pomocy... – szepnęła, lecz jej gardło było ściśnięte ze strachu. Podświadomie czuła, że ma powód się bać. – Pomo...

Nie dokończyła. Przybysz zamachnął się prętem i metal ze świstem przeciął powietrze. Kobieta uniosła ręce, by osłonić twarz. Cios spadł

z ogromną siłą, która złamała jej kość przedramienną. Naderwane nerwy sprawiły, że spazmatycznie wygięła palce. Upadła na kolana, jakby zamierzała się modlić do napastnika. Jęknęła.

– Proszę...

Kolejne potężne uderzenie zgruchotało ramię kobiety, pozbawiając ją możliwości jakiegokolwiek obrony. Jej lewa ręka bezwładnie zwisała wzdłuż tułowia. Potwór tylko na to czekał. Zamachnął się i tym razem wymierzył cios prosto w jej twarz. Pręt wbił się w nos jak w gąbkę. Bryzgnęła krew, a z ust dobył się cichy bulgot.

– Błagam...

Trzeba było się nadzwyczajnie wsłuchać, by zrozumieć, że kobieta wypowiedziała właśnie to słowo. Jednak potwór nie baczył na jej prośby. Nie zważał na jej ból ani rozpacz. Chełpił się swoją przewagą oraz całkowitą bezkarnością.

Potężne uderzenie prętem złamało kość policzkową kobiety, która upadła na wznak. Wtedy oprawca stanął bezpośrednio nad nią i po raz pierwszy cicho się zaśmiał. Jego śmiech przypominał nieludzkie, charkotliwe rżenie. Po chwili zamilkł.

Obrócił pręt w dłoni, po czym z całej siły wbił go w oko ofiary. Rozległo się mlaśnięcie, a z oczodołu wypłynęła krew zmieszana z substancją przypominającą surowe białko.

Kobieta spazmatycznie zadrżała. Usiłowała się podnieść, lecz udało się jej jedynie przeczołgać o kilkadziesiąt centymetrów. Nie była w stanie już wypowiedzieć nawet słowa. Przygryzła język, którego zakrwawiona końcówka wystawała jej z ust. Zakrwawiony podbródek przypominał karykaturalny fragment ciała wampira z dziecięcych komiksów. Jednak potwór nie zamierzał na tym poprzestać.

Po nabraniu kilku oddechów uderzył ponownie. Za jednym razem połamał obie piszczele. Potem na głowę kobiety po raz kolejny spadły potężne ciosy. Potwór walił raz za razem, bez najmniejszego opamiętania. Czaszka nieszczęśniczki tłuła się niczym skorupka jajka. Strzępki włosów mieszały się z krwią i fragmentami mózgu. Twarz straciła jakiegokolwiek rysy. Przypominała bezkształtną miazgę skóry, kości oraz mięsa. Wreszcie

z zionących pustką ust wypadły fragment odgryzionego języka oraz kawałki pokruszonych zębów. W tym samym momencie coś zabulgotało, klatka piersiowa kobiety uniosła się i nagle zastygła w bezruchu.

Śmierć była jedynie kresem jej cierpień. Choć potwór wcale nie był o tym przekonany. Dysząc i sapiąc, chwycił powykręcaną nogę, po czym brutalnie przeciągnął zwłoki po szorstkiej podłodze. Wzdłuż jednej ściany, a potem po jej przekątnej. Podłogę wszędzie znaczyły ślady krwi.

## 22

- A pani to...?

Rembert zerknął na zdjęcie profilowe figurujące na jednym z portali społecznościowych, a potem na kobietę, która otworzyła im drzwi. Znajdowali się w progu mieszkania pod adresem, gdzie mieli znaleźć Milenę Dycką. Tyle że zamiast wysokiej, ładnej brunetki stała przed nimi bardzo krótko ostrzyżona, krągła blondynka. Oczywiście, w swoim wyglądzie wiele można było zmienić, ale nie ogólny kształt twarzy. Co do tego Orest nie miał żadnych wątpliwości.

- A pan to...? - odpowiedziała pytaniem na pytanie kobieta. Zmarszczyła czoło i nerwowo się rozejrzała.

Obok Oresta pojawiła się Liza. Oboje pokrótce się przedstawili i pokazali legitymacje. Kobieta wydała się tym nieco zdeprimowana. Przytrzymała drzwi, lecz najwyraźniej nie zamierzała ich zaprosić do środka. Ponownie rozejrzała się po korytarzu.

- Anna Janczak - rzuciła mimochodem, po czym dodała: - Czy mam przynieść dowód? Coś się stało?

- Szukamy pani Mileny Dyckiej - łagodnie odezwał się Rembert. - Chcielibyśmy z nią porozmawiać, a według naszych danych powinniśmy ją znaleźć właśnie pod tym adresem.

- Nie ma jej.

– Wysła gdzieś?

Janczak przestąpiła z nogi na nogę i po raz trzeci zerknęła gdzieś w głąb korytarza. Była nadzwyczaj zmieszana. Pokazywała to każdym gestem oraz ruchem, lecz zarazem jej zachowanie wydawało się całkowicie naturalne. Kobieta przygryzła wargę i wzruszyła ramionami.

– Czy możemy wejść do środka? – Langer, nie czekając na odpowiedź, po prostu ją odepchnęła i wmaszerowała do małego, ciasnego przedpokoju. – Ładnie tu.

Rozejrzała się i ruszyła w głąb mieszkania. Miało ono jedynie dwa maleńkie pokoje oraz dosłownie mikroskopijną kuchnię. Ścian od dawna nie malowano, a część mebli oraz sprzętów najwyraźniej pamiętała jeszcze czasy złotej epoki towarzysza Gierka. Meblościanki, nabite kurzem dywany, poobdzierany tapczan, rozpadający się barek – wszystko to wyglądało bardzo nieświeżo, choć w środku panował ogólny porządek.

– To jej pokój? – Langer zajrzała do kwadratowego pomieszczenia, które zajmowały łóżko, stolik oraz niska biblioteczka pełna książek. Wśród nich widać było kilka podręczników, których tytuły przywodziły na myśl rozmaite zagadnienia pedagogiczne lub socjologiczne. Obok łóżka stała torba sportowa i równo złożone bluzki. – Pani Dycka zamierza gdzieś wyjechać?

– Może. Nie wiem...

– Naprawdę pani nie wie? Ale rozumie pani konsekwencje kłamstwa albo minięcia się z prawdą? Przynajmniej nie przed Bogiem, ale przed policją...

– Mhm.

– Rozumie pani, że jesteśmy tu dla jej dobra? – Orest poufale zniżył głos. – Nie przyszliśmy wystawić jej mandatu ani zapuszkować. Zależy nam na jej bezpieczeństwie, więc jeśli pani zależy na tym samym, lepiej być z nami szczerą. A sądzę, że pani Dycka wcale nie jest pani obojętna. Prawda?

Rembert skinął w stronę ustawionego na stoliku zdjęcia. Przedstawiało ono dwie kobiety na tle morza oraz pogodnego nieba. Jedną z nich bez wątpienia była Anna Janczak. Teraz kobieta głęboko nabrała powietrza

i ciężko sapnęła. Przyjrzała się Orestowi, jakby oceniała szczerść jego intencji. Wreszcie oparła się o futrynę i spuściła wzrok.

– No dobra... – bąknęła. – Nie wiem, o co chodzi, ale właściwie to nie moja sprawa. Milena nie uprzedziła mnie, że wmiesza się w to wszystko policja. Trzy dni temu spakowała się i praktycznie stąd uciekła.

– Uciekła? – zdziwiła się Langer. – Dlaczego?

– Nie mam pojęcia. Błagała, żebym nikomu o tym nie mówiła, tylko utrzymywała, że zrobiła sobie wakacje. Była przerażona.

– Wie pani, gdzie jest?

Janczak skubnęła pukiel jasnych włosów i owinęła go wokół palca.

– Mogę się jedynie domyślać – odparła po chwili. – Boże, czy coś jej grozi? W co ona się znowu wpakowała?

## 23

Rembert od rana błyskawicznie przywykł do balansowania na granicy życia i śmierci w peugeocie Langer. Natłok myśli, ponure skojarzenia oraz wspomnienie spalonych zwłok skutecznie odciągały jego uwagę od gwałtownych manewrów wykonywanych przez komisarz. Tak jak zwykle, łamiąc wszelkie przepisy, Liza pędziła, lawirując między pasami. W ciągu kilkunastu minut pokonali niemal dziesięć kilometrów i znaleźli się na wysokości gdyńskiego mola Orłowo. Z piskiem opon zjechali z głównej ulicy, po czym zanurzyli się w wąskie kręte dróżki pośród domów wypoczynkowych i willi.

– To gdzieś tutaj – mruknęła Liza. – Powinniśmy być prawie na miejscu... Mój instynkt geolokacyjny nie może się mylić.

Skoncentrowana, obserwowała tabliczki adresowe oraz nazwy kolejnych hotelików. Anna Janczak zdradziła im, że Milena Dycka wielokrotnie, aby odpocząć lub po prostu oderwać się od codzienności, wynajmowała pokój w jednym z podrzędnych pensjonatów. Było to jej

przyzwyczajenie jeszcze sprzed wielu lat, nim przeprowadziła się do ukochanego Gdańska. Kobieta nie pamiętała nazwy owego pensjonatu, lecz pokrótce opisała im jego wygląd oraz lokalizację. Kilka szczegółów powinno było wystarczyć do właściwego namierzenia celu.

– Mamy tu hotel Willa Lubicz. – Orest wskazał nagle na modernistyczny budynek. – Jesteśmy tuż-tuż. Ten pensjonat powinien być za sto metrów po lewej stronie.

– Pensjonat – parsknęła Langer. – Mieszkanko wynajmowane bez faktury i bez podatku. Czysta lewizna...

– Ale zarazem bez zostawiania śladów, meldunków i osobistego kontaktu. O ile ktoś nie zdradzi, gdzie jesteś, możesz się w takim miejscu ukrywać tygodniami. Gdy płacisz gotówką i nie wyściubiasz nosa na zewnątrz, szansa wytropienia spada do minimum. Dlatego paru amerykańskich seryjnych morderców, mając kryjówki w takich dziurach, pozostawało kompletnie nieuchwytnych.

– Też fakt. I wcale mnie to nie cieszy.

Liza zagryzła usta i zwolniła. Zgodnie z opisem Janczak po tym, jak minęli skrzyżowanie po ich prawej, rozciągał się niewielki skwer, następnie zobaczyli odnowiony blok mieszkalny i zaraz za nim dwupiętrową willę. Przewieszony przez balkon billboard był niemal całkowicie wyblaknięty, więc jedynie można się było domyślić, że dawniej zawierał nazwę przybytku.

– To tu. Bez dwóch zdań. – Langer wcisnęła hamulec tak gwałtownie, że auto stanęło jak wryte. – Przepraszam, czas wstawać, Oreście.

– Byłem całkowicie rozbudzony.

– Gdzie tam, przecież widziałam, że przysypiałeś i opadała ci głowa.

Puściła do profilera oko i wyszła z auta. Rozejrzała się po okolicy, po czym natychmiast skierowała się ku willi. Nagle jednak coś przyszło jej do głowy. Zmieniła kierunek marszu i ukradkiem dała znać Rembertowi, by uczynił to samo.

– Co ty robisz? – Orest się zdziwił. – Nie idziemy do jej mieszkanka?

– Nie. Przynajmniej nie od razu.

– Dlaczego?

Langer włożyła ręce do kieszeni jeansów i zwolniła kroku. Zaczęła się przechadzać, rozglądając się wokół niczym zwykła turystka.

– Po pierwsze, widzę, że ta willa poza frontowym, ma również boczne wyjścia. Jeśli po prostu zadzwonimy domofonem, a ta kobieta jest autentycznie wystraszona, pryśnie nam drugimi drzwiami. Skoro jesteśmy tylko we dwójkę, może zrobić nas w konia.

– W takim razie jaki masz plan?

– Na razie rozeznamy się w sytuacji, Orestie. Czujesz ten zapach morza? Podoba ci się?

Langer głęboko nabrała powietrza i szeroko się uśmiechnęła. Zdarzało się to tak rzadko, że Rembertowi wręcz wydało się, iż się przewidział. Zamrugał, ale uśmiech nie zniknął z twarzy Lizy. To z pewnością nie był sen.

– Przechadzajmy się i obserwujmy – ciągnęła. – Korzystaj z tego miejsca, jakbyś był tu po raz pierwszy.

– Jestem tu po raz pierwszy.

– Więc wiesz, co powinieneś robić. A poza tym módl się, żebyśmy niedługo nie musieli wzywać techników i zawracać głowy tej uroczej pani patolog. Spodobała ci się, co? No, nie musisz się przede mną niczego wstydzić, Złotousty. Mam rację, prawda?

Orest nie odpowiedział.

## 24

– Może pójdziemy na kawę? W filmach detektywi zawsze obserwują teren, popijając kawę i zagryzając pączki. To doskonałe połączenie.

– Ale życie to nie film. – Liza pozbawiła Remberta jakichkolwiek złudzeń. – Ani nie bajka, ani nie książka.



– Nawet nie horror? A może romans.

– Fantastyka, Oreście. Chyba to masz na myśli.

Profiler westchnął i włożył dłonie do kieszeni. Od strony morza powiewał chłodny, rześki wiatr. Na zachodzie zbierały się chmury, zapowiadając rychły deszcz. Jednak na razie słońce nieśmiało operowało na fasadach domów i pensjonatów, przydając okolicy mimo niewakacyjnej pory roku leniwą atmosferę.

Liza ściągnęła poły kurtki, po czym zapięła zamek. Ukradkiem zerknęła w stronę okien willi, w której najprawdopodobniej lokum wynajmowała Milena Dycka. Na żadnym z pięter nie dostrzegła jakiegokolwiek ruchu. Panowała w nim martwa cisza.

Właśnie obeszli budynek i nakreśliła już sobie ogólny obraz sytuacji. Rzeczywiście znajdowały się w nim boczne wyjścia oraz rodzaj tylnego patio, przez które można się było wymknąć. Było to z pewnością bardzo dobre miejsce, aby się ukrywać. Przed kim? To pytanie nieustannie ją frapowało i jednocześnie nasuwało kolejne – o to, jaki związek istniał między Dycką, mordercą a zamordowanym mężczyzną. Pytania momentalnie się mnożyły, lecz teraz nie było czasu podążać za nimi myślami.

Nagle Langer przystanęła i wyciągnęła z kieszeni paczkę papierosów. Zapaliła, po czym z wyrazem euforii na twarzy wypuściła w powietrze kłąb gęstego dymu.

– Palisz? Znowu? – Orest spojrzał na nią z ukosa. – A gdzie twoje lizaki?

– Uznałam, że nie paląc, będę miała problem, żeby wkurzyć cię w gabinecie. A ty zawsze będziesz miał w zanadru swoją kołyskę Newtona.

– Mógłbym ją wyrzucić. Gdybyś tylko...

– Nie – krótko ucięła Langer. – Nie miej głupich pomysłów. Wolność Tomku w swoim domku.

– Ano.

Rembert westchnął, dając do zrozumienia, że nawet nie zamierza komentować tego wyводу. Przeszli właśnie na róg budynku, skąd było

widać dwa wyjścia. Langer dopaliła papierosa i pstryknęła nim w stronę kosza. Niedopałek odbił się od rantu, po czym spadł na trawnik. Orest schylił się, aby go podnieść, lecz Liza rzuciła wtedy na chodnik zmiętą chusteczkę.

– Chrzań to – bąknęła. – Bądź trochę rebeliantem. Wprowadź chaos myśli, a zaczniesz lepiej rozumieć ludzi.

– Ja ich rozumiem aż zbyt dobrze – cierpko odparł Rembert. – To sprawia, że wokół siebie staram się utrzymać porządek. W przeciwnym razie sam stałbym się fragmentem chaosu, tak jak...

Umilkł i rzucił niedopałek do kosza. Liza obserwowała go z krzywym uśmiechem.

– Tak jak ja? To chciałeś powiedzieć?

– Nie, ja...

Orest pokręcił głową i zrobił krok, by ruszyć przed siebie, ale Langer chwyciła go za rękaw. Przyciągnęła do siebie, po czym spojrzała mu prosto w oczy.

– Co ty...

– Zamknij się – syknął. – Dycka właśnie idzie w naszą stronę. Nie mam wątpliwości, że to ona. Dlatego udawaj, że się ze mną kłócisz, i się nie odwracaj. Może nas skądś kojarzyć.

– Ta cała scenka służyła właśnie temu?

Rembert wytrzeszczył oczy i żałośnie sapnął.

– Jesteś nienormalna – powiedział znacznie głośniejszym, nader teatralnie.  
– Nie jestem w stanie cię zrozumieć. Odkąd cię poznałem, mam wrażenie, że spotykam się z kilkoma osobowościami w jednym ciele. To koniec... Powtarzam, to koniec... Nie widzę wspólnej przyszłości. Moi rodzice nigdy nie zaakceptują kogoś takiego jak ty, a poza tym muszę ci wyznać, że mam kiłę. Tak, mam kiłę i nie wstydzę się tego! Gdybyś chciała wiedzieć, to...

Langer mlasnęła, dając mu znać, by skończył to wariackie gadanie. Zrobiła kilka energicznych kroków i wyciągnęła legitymację. Przecięła drogę szczupłej brunetce z twarzą częściowo skrytą pod daszkiem bejsbolówki.

– Pani Dycka? Komisarz Liza Langer z komendy...

Nim dokończyła urzędową formułkę, kobieta rzuciła się do ucieczki.

## 25

– Stój! Zatrzymaj się!

Dycka była zaskakująco dobrą biegaczką. Sadziła susy przez trawnik, a potem wypadła na ulicę. Przecięła ją tuż przed maską przejeżdżającej śmieciarki, która zatrzymała się z chrzęstem opon na nierównej nawierzchni. Mimo to Langer i Rembert musieli ją obiec, przez co stracili dwie lub trzy bezcenne sekundy.

– Tamtędy! – Liza wskazała, by Orest biegł w stronę nadmorskiego bulwaru. Przechadzało się tamtędy sporo osób, z których część już zdołała zauważyć pościg. Przystanęły i przypatrywały się wydarzeniom. Dycka musiała liczyć na to, że wtopi się w tłum i uda się jej zgubić trop pomiędzy pojedynczymi budkami z jedzeniem oraz zamkniętymi fast foodami. W sezonie ujęcie jej byłoby w tym miejscu niemożliwe.

– Zatrzymać ją! Policja! Uwaga!

Langer wiedziała, że jej komendy nie wywrą żadnego wrażenia na przechodniach. Mimo to musiała spróbować. Sprawiała, że grupka dzieciaków stojąca na uboczu wymierzyła w jej stronę z plastikowych pistoletów. Dokładnie takiej reakcji się spodziewała. Czasem miała ochotę wołać o pomstę do nieba, lecz świat mógł odmienić jedynie Armagedon.

Tymczasem kompletnie nie była w stanie pojąć, dlaczego Dycka przed nimi ucieka. Czy to możliwe, by w tworzonym równaniu nie stanowiła potencjalnej ofiary, lecz sprawcę? Wydawało się to mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. W końcu do podłożenia ładunku wybuchowego nie potrzeba było męskiej siły ani nadzwyczajnej postury. Był to sposób pozbawienia życia, jaki odpowiadał potencjalnym profilom psychologicznym kobiet. Nie wymagał bezpośredniego kontaktu

z zamordowanym ani nie obciążał sumienia konfrontacją z obrazami śmierci. Właśnie tak działały kobiety i właśnie do tego sprowadzał się najpopularniejszy sposób pozbawiania przez nie życia – otrucie. Jednak w tym przypadku pojawiał się pewien problem. Stanowiła go moneta znaleziona w ustach ofiary. Należało wykluczyć, by znalazła się w nich jeszcze przed jej zgonem. Choć prawdę powiedziawszy... Dlaczego miałyby to zostać wykluczone? To równanie miało stanowczo zbyt wiele zmiennych.

Choć myśl o monecie wydała się Langer ciekawa, szybko ją zarzuciła. Całą energię skupiła na tym, by lawirując między spacerowiczami, utrzymywać Dycką w polu widzenia. Kobieta biegła kilkanaście metrów przed nią, potrącając kolejne osoby i wózki z pamiątkami. Liza, choć była doskonale wysportowana, wciąż czuła skutki ostatnich obrażeń oraz kilkutygodniowego pobytu w szpitalu. Wracała do formy, nawet wczorajszy bieg po plaży miał temu służyć, ale był to proces nader powolny. Była na siebie wściekła, lecz nie mogła nic zrobić. Dycka coraz bardziej się od niej oddalała.

Gdy Langer wypadła zza kolejnego zakrętu, zdała sobie sprawę, że kobieta znikła jej z oczu. W ułamku sekundy rozplynęła się w powietrzu. Po prawej ciągnęła się linia drzew, a po lewej zejście na plażę, na której nie było gdzie się ukryć. Liza głęboko nabrała powietrza i zdecydowała się ruszyć w stronę szpaleru akacji. Nieco dalej wznosiło się zbocze oraz podest kawiarni. W tym momencie lokal był zamknięty, parasol złożony, a przy stolikach nie było żadnych krzeseł. Najwyraźniej kawiarnia nie działała poza ścisłym sezonem. To jednak nie była szczególnie dobra wiadomość.

– Cholera... – Liza rozejrzała się z rezygnacją. Dyckiej najwyraźniej jakimś cudem udało się uciec. – Jak to możliwe?

Zbiegła z powrotem na ścieżkę i wyjrzała na plażę. Nie, z pewnością by ją na niej zobaczyła. Wściekła, wierzchem rękawa otarła pot z czoła, po czym wstrzymała powietrze. Zaczynała ją męczyć kolka. Czuła się na tyle parszywie, że wyszarpnęła z kieszeni paczkę papierosów i cisnęła nią na ziemię. Miała ochotę głośno kląć.

W tym momencie przy podeście kawiarni pojawił się Orest. Machnął do niej ręką, dając znać, by szybko podeszła. Schylił się, pomagając wstać Dyckiej. Kobieta kuliła się i zasłaniała twarz dłońmi.

– Nie róbcie mi krzywdy – pisnęła, gdy Langer stanęła tuż przy niej. – Błagam...

Była bezgranicznie przerażona. Drżała na całym ciele, niczym pies, który spodziewa się bicia. Kuliła się i łkała.

## 26

– Naprawdę jesteście policjantami? – Dycka z niedowierzaniem łypała to na Langer, to na Remberta. – Nie chcecie zrobić mi krzywdy? Nie zabierajcie mnie tylko w żadne odosobnione miejsce... Nie każcie mi wsiąść do żadnego radiowozu...

Langer ostentacyjnie wyciągnęła z kieszeni legitymację i podsunęła ją kobiecie pod twarz.

– Żeby zrobić tak porządną podróbkę, trzeba by pracować w wytwórni papierów wartościowych – skwitowała. – Albo mieć urządzenie nieustępujące tamtejszej technologii. A jak sądzę, można by się pani, za przeproszeniem, pozbyć tańszymi metodami.

– Koleżanka chciała potwierdzić, że naprawdę jesteśmy z policji – sprecyzował Rembert.

– Nie tłumacz moich słów, Oreście. Chciałam powiedzieć dokładnie to, co powiedziałam.

Dycka, nadal drżąc, przysłuchiwała się tej wymianie zdań. Rzuciła okiem na legitymację Lizy, po czym nieco uspokojona, spłoszonym wzrokiem rozejrzała się po okolicy. Obecność przechodniów obserwujących całą scenę działała na nią pokrzepiająco. Odetchnęła.

– Niczego nie zrobiłam... – rzuciła hardo. – Czego ode mnie chcecie?

– Nic pani nie zrobiła? W takim razie dlaczego uciekała pani przed policją?

– Biegłam. Nie słyszałam, że mnie gonicie.

Liza parsknęła. Obciągnęła dolną powiekę prawego oka i nachyliła się ku Dyckiej.

– A tu... jedzie mi pociąg, no nie? Skoro nie chce pani trafić do radiowozu albo do przyjemnie odosobnionej celi, chyba powinna być pani nieco bardziej szczerą.

– Ale ja naprawdę...

Rembert przerwał jej, błagalnie składając ręce. Delikatnie wszedł między Dycką oraz Langer i przybrał najbardziej łagodny wyraz twarzy, jaki potrafił. Wytrzeszczył swoje szczerze, błękitne oczy, po czym z nutą zakłopotania westchnął. Wyglądał jak prawdziwy anioł.

– Nie potrzebujemy tylu świadków – szepnął, mając na myśli stojących za jego plecami gapiów. Ze względu na brak dramatycznych wydarzeń, zbiegowisko zaczęło się jednak przerzedzać. – Oczywiście, przede wszystkim chcemy z panią porozmawiać. Nie mamy złych zamiarów i nie jest pani o nic podejrzewana. Wręcz przeciwnie.

– Czyli?

– Czyli musimy pogadać – wtrąciła się Liza. – Nie traćmy więcej czasu i nie róbmy cyrków. My wiemy, że pani nie uprawiała joggingu, tylko uciekała, i że wlaźszy pod podest tej knajpy, nie zamierzała pani upewnić się, że konstrukcja nie została podmyta pływami morza.

Dycka spuściła spojrzenie i odruchowo otrzepała kolana. Kiwnęła głową, po czym przeniosła wzrok na Remberta.

– Co ze mną zrobicie? – zapytała tonem rezygnacji.

Orest odwrócił się i ruszył w dół niskiego zbocza.

– Zabierzemy panią na kawę – oznajmił wesołym tonem. – Może tak być? Wyjaśnimy sobie wszystko po kolei. Sądzę, że niejednym może nas pani zaskoczyć. Choć szczerze mówiąc, wołałbym się mylić...

– Proszę nam wszystko dokładnie opowiedzieć. Co, dlaczego, jak. Formuła otwarta, ale lepiej, żebyśmy od razu dostali odpowiedzi na wszelkie potencjalne pytania. Rozumie pani, co mam na myśli?

Langer oparła się łokciami o blat stolika i wbiła wzrok w Dycką. Siedzieli w jednej z nielicznych otwartych o tej porze roku kawiarni. Rozciągał się z niej piękny widok na wzburzony, siny Bałtyk oraz szeroki pas plaży. Poza nimi w środku były tylko dwie osoby, które ulokowały się przy stoliku po przeciwnej stronie sali. Zaspana kelnerka przecierała ekspres do kawy, a w rogu pomieszczenia włączono telewizor z wyciszonym głosem.

– Jak mam odpowiadać na pytania, skoro ich nie znam? – bąknęła Dycka. Po niedawnym strachu nie było niemal śladu, w zamian niego przyjęła natomiast pozycję wyzywającą. – Ja naprawdę...

– Proszę. Błagam! – Rembert uśmiechnął się pogodnie i patrząc prosto w oczy kobiety, upił łyk kawy. – Miejmy to za sobą dla dobra nas wszystkich. Potem pomyślimy o rozwiązaniu sprawy, aby niczego nie musiała się pani obawiać... Daję słowo.

Langer potwierdziła jego wywód energicznym skinięciem głową. Pobudzona, na przemian mięła i przyglądała papierową serwetkę. Przez cały czas ona również wpatrywała się prosto w oczy Dyckiej. Kobieta wreszcie spuściła wzrok i zagryzła usta. Przez chwilę nie poruszyła się, jakby intensywnie kalkulowała, co będzie dla niej najkorzystniejsze. Nagle się wyprostowała, ukradkiem rozejrzała po kawiarni i przesunęła bliżej stolika. Odkasznęła.

– Byłam w tym cholernym squacie – szepnęła tak cicho, że Langer i Rembert również musieli się ku niej nachylić. – Mam tam kilkoro podopiecznych, których odwiedzam w miarę regularnie. Wiecie, czym się zajmuję, prawda?

Rembert zdawkowo kiwnął głową, więc Dycka, nachyliwszy się jeszcze bardziej, mówiła dalej.

– Muszę sprawdzać, czy nikt nie umiera z głodu, czy warunki, w jakich przebywają ci ludzie, nie zagrażają ich zdrowiu oraz życiu i tak dalej. To praca wymagająca metodologii. Potem sporządzam raporty, ewentualnie zawiadamiam odpowiednie służby, ale przede wszystkim muszę sobie radzić z tym, co widzę. Ludzie mają naprawdę ogromne problemy i potrzeby.

– Czy ten wstęp naprawdę jest nam potrzebny? – jęknęła Langer. – Już się nie mogę doczekać konkretów. Chyba że właśnie się pani stara wymyślić jakąś bajeczkę...

Dycka spojrzała na nią spode łba. Odrzuciła kosmyk ciemnych włosów i uśmiechnęła się ironicznie.

– Nie potrzebuję żadnych bajeczek. Prawda jest taka, że wizytuję pewną rodzinę, z którą przez ostatnie miesiące mocno się zżyłam. Być może niepotrzebnie przełamalam standardowe bariery. To całkiem inteligentni ludzie, ale niezaradni... Przynajmniej się tacy wydawali.

– Coś się zmieniło? – natychmiast dopytała Liza.

– Zawsze wydawali mi się nieco dziwni. Mają około pięćdziesięciu lat, nie piją, stanowią totalny kontrast do większości podobnych rodzin... Mieszkają w tej ruderze, choć pewnie udałoby się im jakoś zorganizować życie poza nią. Ale niech będzie, że to kwestia swobodnego wyboru.

– W przypadku squatów prawo nie jest jednoznaczne – zauważył Rembert. – Motywacje skłaniające do pobytu w takich miejscach bywają przeróżne.

Langer obrzuciła go lodowatym spojrzeniem. Tymczasem Dycka upiła kolejny łyk kawy i ponownie rozejrzała się po kawiarni. Była niezmiennie napięta oraz czujna, jakby gotowała się do nagłej ucieczki. Momentami udawała odprężoną, a nawet przyjmowała wyzywającą postawę, lecz Orest nie miał wątpliwości, że to jedynie maska. Za fasadą gotowości do konfrontacji krył się głęboki strach. Widział to już tysiące razy i znał towarzyszący temu tembr głosu, baczne spojrzenia oraz pojedyncze, niekontrolowane ruchy. Na przykład taki jak teraz, gdy Dycka



mimowolnie dotknęła płatka ucha, po czym złapała się za nadgarstek. Klasyka klasyki, jak mawiał jeden z jego wykładowców.

– Zauważyłam, że w trakcie moich wizyt różnie się zachowują – ciągnęła nienaturalnym szeptem. – Czasem byli zdenerwowani, innym razem jakby nieco nieobecni. Jednak zawsze mieli zaskakujący porządek jak na warunki takiej meliny... Dlatego zwróciłam uwagę, że gdy przyszedłam ostatnim razem, robili wszystko, bym nie zwróciła uwagi na pewien skoroszyt. Wiadomo, jak jest, jeżeli coś staramy się ukryć. Mojej podopiecznej nie udało się schować go do kieszeni, potem chciała włożyć go za pasek spodni, ale ten jej wypadł... W końcu zaczęła udawać, że to nic istotnego i jakby o nim zapomniała. Ja nie dałam po sobie poznać, że cokolwiek zobaczyłam.

– Co to za skoroszyt?

– Tylko wydawało mi się, że to skoroszyt – sprecyzowała Dycka, po czym natychmiast zastrzegła: – Przez całe życie niczego sobie nie przywłaszczyłam ani niczego nie ukradłam. Ale tym razem kierowała mną nie tyle ciekawość, co jakiś niepokój... Trochę zawodowej obawy, a trochę złego przeczucia...

– Wzięła go pani? – Langer zmrużyła oczy i przekrzywiła głowę. Nie kryła narastającego zaintrygowania przedłużającą się opowieścią kobiety.

– Owszem. Pod jakimś pretekstem przeszłam do drugiego pomieszczenia, a potem wróciłam... Nie spodziewali się, że mogę to zrobić. – Dycka zagryzła usta i wstrzymała oddech. Zamrugowała, jakby chciała powstrzymać łzy. – Nie wiem, co mnie tknęło. Kompletny absurd... Zachowałam się kretyńsko i dostałam za swoją wścibskość.

– Chyba nie rozumiem. – Langer zmrużyła oczy. – Proszę powiedzieć to jasno i spokojnie. Co dostała pani za swoje, co się stało i dlaczego jesteśmy tu, gdzie jesteśmy.

Dycka przełknęła ślinę i odsunęła filiżankę kawy. Jej dłoń drżała. Spłoszonym wzrokiem po raz setny rozejrzała się wokół.

– Do tej pory nie mogę w to uwierzyć – wyszeptała, choć łamał się jej głos. – Musicie sami to zobaczyć. Tego nie da się opowiedzieć...

– Gdzie go pani trzyma?

– W bezpiecznym miejscu. Schowałam go tak dobrze, jak umiałam.

– Tak jak i siebie? – Langer wbiła szpilę Dyckiej. – Nie mieliśmy specjalnego problemu, aby panią odnaleźć. A jeżeli ten notatnik zawiera jakieś przełomowe informacje...

– Przełomowe? – Dycka parsknęła. – Informacje? Nie, nie, to coś całkowicie innego. Nawet sobie nie wyobrażacie.

Podążali w trójkę w kierunku willi, w której Dycka miała wynajęty pokój. Tym razem Rembert szedł po jej jednej stronie, a Langer po drugiej. Nie spodziewali się, by kobieta miała zamiar uciec, ale powinni być na wszystko przygotowani. Tego wymagał profesjonalizm. Tym bardziej że kompletnie nie mieli pojęcia, do czego zmierza opowieść Dyckiej. Biorąc pod uwagę okoliczności śmierci Kruka, z półsłówek kobiety można było wysunąć teorię o odnalezieniu przez nią jakiegoś sekretnego notatnika księgowego mafii. Tak widziałyby to filmowa wyobraźnia Oresta. Jednak instynkt profilerów podpowiadał mu, że chodzi o coś całkowicie innego. To nie była sprawa porachunków gangsterskich, lecz zaczyn śledztwa związanego z kimś znacznie gorszym od mafiozów. I choć Rembert wolałby się mylić, to towarzyszące jego rozważaniom przecucie było zaskakująco silne. Składały się na nie rozmaite przesłanki oraz detale. Moneta odnaleziona w ustach Kruka stanowiła tylko jeden z nich.

Langer czujnie kroczyła tuż obok Dyckiej. Również była pochłonięta myślami, choć stroniła od jakichkolwiek przypuszczeń. Nie zamierzała bawić się w bezsensowne folgowanie wyobrażeniom. Jej uwagę zwrócił przede wszystkim strach, jaki malował się na twarzy pracownicy socjalnej, oraz to, jak czujnie wciąż rozglądała się po okolicy. Jakby wypatrywała kogoś, kto miałby zaraz do nich strzelać. To również ją wprowadzało w niepokój i nakłaniało do dodatkowego zwiększenia czujności. Jednak pośród przechodniów nie dostrzegła nikogo

podejrzanego. Zwykli spacerowicze, turyści oraz osoby, które wyszły z psami. Grupka dzieciaków bawiła się telefonami, a pojedynczy rowerzyści szusowali pobliską ścieżką. Nic ani nikt kto mógłby im zagrażać.

Jednak Liza nieco odetchnęła dopiero, gdy znaleźli się na korytarzu willi. Był on odnowiony, wyłożony zieloną okładziną, a na ścianach rozwieszono grafiki przedstawiające Gdynię na przestrzeni ostatnich kilkadziesiąt lat. W środku pachniało środkiem do czyszczenia podłóg oraz liliami, których bukiet stał na parapecie jednego z okien. Sielska, można by rzec, domowa atmosfera.

W milczeniu podeszli do jednych z dwojga drzwi znajdujących się na przestrzeni całego korytarza. Najwyraźniej piętro podzielone zostało jedynie na dwa apartamenty, z których ten położony dalej od schodów zajmowała Dycka. Kobieta wyciągnęła klucz, po czym otworzyła zamek.

– Pani pierwsza – zachęcił ją Rembert. – Śmiało. Proszę nas wprowadzić.

Po chwili weszli do przestronnego przedpokoju, w którym znajdowała się spora szafa oraz regał na buty. Obok niego stała nierozpakowana walizka.

Dycka bez chwili zwłoki, nie zdejmując butów, poprowadziła ich do kolejnego pomieszczenia. Był to salon pełniący jednocześnie funkcję sypialni, odgradzony ścianką z luksferów od jasnej kuchni.

– Ja w to wszystko nadal nie wierzę... – wyszeptła Dycka. Nieustannie drżała na całym ciele, a jej twarz była trupio blada. Przestraszonym wzrokiem łypała to na Lizę, to na Remberta. Wiedziała, że już się nie może wycofać. To wprawiało ją w jeszcze większe zdenerwowanie. Musiała zdawać sobie sprawę, że nawet gdyby policjanci byli tylko przebierańcami, którzy chcą zrobić jej krzywdę, znajdowała się całkowicie w ich rękach. Nie mogła uciec.

Zrezygnowana, zacisnęła usta i podeszła do komody, na której stał niewielki telewizor. Otworzyła górną szufladę, po czym wsunęła dłoń do środka. Rozległ się cichy szmer i Rembert natychmiast pojął, że trzymała w niej rzekomy skoroszyt, przyklejony taśmą klejącą do górnej ścianki.

Odkleiła go i odwróciła się do Lizy. To właśnie jej podała gruby zeszyt w sztywnej okładce. Langer niezwłocznie go otworzyła i momentalnie zastygła w bezruchu.

– O kurwa... – nie powstrzymała przekleństwa. Zeszyt niemal wypadł jej z dłoni.

## 29

– To kompletnie popieprzone. – Liza odruchowo sięgnęła po paczkę papierosów, ale zaraz ponownie ją schowała. Pokręciła głową i parsknęła. Dawno nie była tak zdenerwowana jak w tej chwili. – To gorzej niż popieprzone, to najzwyczajniej, najkompletniej porąbane! Wytłumaczysz mi, Orestie, jak do cholery, mam to zrozumieć? Czy może uznać to jedynie za fotomontaż albo zrzucić na karb słabego wzroku i przywidzenia?

Langer podała zeszyt Rembertowi, a ten natychmiast przerzucił kilka karetek. Zdenerwowanie Dyckiej nagle stało się całkowicie zrozumiałe. Na kilkudziesięciu stronach przyklejone były fotografie, w większości wykonane zapewne sprzętem sprzed kilkunastu lub kilkudziesięciu lat. Nie były tak ostre jak zdjęcia robione przez współczesne telefony komórkowe, miejscami tusz wydawał się wręcz porozlewany, a barwy nienaturalne.

– Ktoś chyba wywoływał je na własną rękę – zauważył Orest. – W domowych warunkach powstają właśnie takie charakterystyczne zacieki. Sam kiedyś marzyłem, aby z łazienki zrobić prawdziwą ciemnię, lecz szybko się zniechęciłem. Efekty całkowicie mi się nie podobały...

Liza młasnęła.

– Albo patrzemy na inne zdjęcia, albo mamy rozbieżne wyobrażenia o normalności. W każdym razie nie to miałam na myśli, nazywając te fotografie popieprzonymi.

– Nie? – Orest udał, że się krzywi. W rzeczywistości faktycznie nie było mu do śmiechu. Przez głowę przemknęła mu myśl o tym, że w chwilach stresu wszyscy, bez wyjątku, zakładają maski. Nie wyraził jej jednak na głos, lecz zapytał: – A może chodzi ci o to, co przedstawiają?

– Zawsze wierzyłam w twoją spostrzegawczość.

Langer kątem oka obserwowała Dycę, która usiadła na krześle i ponuro zwiesiła głowę. Tymczasem Orest przerzucał kolejne strony brulionu. Zasadniczo sceneria zdjęć się nie zmieniała. Wciąż przedstawiały mniej więcej to samo, choć najwyraźniej wykonano je na przestrzeni wielu lat. Na każdym z nich figurowały ludzkie szczątki, najprawdopodobniej należące do dziecka. Można to było przypuszczać, wziąwszy pod uwagę, że na najdawniejszych zdjęciach rozpoznawalne były jego rysy. Jednak z upływem miesięcy oraz lat zwłoki gnily i rozpadały się. Twarz początkowo opuchła, potem szcerniała, a wreszcie zaczęła pozbywać się resztek wody oraz coraz bardziej upodobniać do mumii. Być może maleńkiego nieboszczyka poddawano jakiejś konserwacji lub nieudolnemu balsamowaniu.

Na niektórych fotografiach twarz wydawała się należeć do przerażającej lalki, pomalowanej białą farbą z cienką linią niemal czarnych ust oraz podkrążonymi – pustymi – oczami. Na innych zdjęciach widoczne były fragmenty łuszczącej się skóry i odpadające pasma włosów, w które wplątano rozmaite wstążki oraz kokardki. Te pozorne zabiegi upiększające sprawiały, że zwłoki stawały się jeszcze bardziej upiorne. Upiorne były również dwie postacie przewijające się na większości fotografii. Mężczyzna oraz kobieta bez wątpienia byli żywi i starzeli się wraz ze szczątkami. Na pierwszych zdjęciach mogli mieć około dwudziestu kilku, maksymalnie trzydziestu lat, a na ostatnich dobiegali do pięćdziesiątki. Mogli się przedwcześnie zestarzeć pod wpływem narkotyków lub alkoholu, gdyż sprawiali wrażenie osób prowadzących niezbyt higieniczny tryb życia. Ten ostatni wniosek można było wysnuć tak na podstawie ich fizjonomii, jak również w związku z makabrycznym dodatkiem, przy którym pozowali.

Tło kolejnych zdjęć pozostawało niemal niezmiennie. Stanowiła je naga, murowana ściana i krzywy, rozpadający się stół, na którym najczęściej układano zwłoki. Na najstarszych fotografiach znajdowały się one w czymś przypominającym kołyskę, a na paru innych kobieta lub mężczyzna trzymali je na rękach.

Langer nagle odwróciła się do Dyckiej i odchrząknęła. W ustach zebrał się jej nieprzyjemny posmak. Choć nie była przesadnie wrażliwa, zdjęcia zadziały na jej najgłębsze pokłady emocji.

– Przypuszczam, że ci ludzie to właśnie pani podopieczni – stwierdziła z całkowitą pewnością. Kiedy pracownica opieki społecznej zdawkowo kiwnęła głową, dodała: – W takim razie dlaczego, u licha, nie zgłosiła się pani od razu na policję, tylko zaszła w tym pensjonaciku?

Dycka wzruszyła ramionami. Zwiesiła głowę, jakby mięśnie karku odmówiły jej nagle posłuszeństwa.

– Sama nie wiem... Boże, nie mam pojęcia... – Głos ponownie jej się łamał, ale starała się opanować. – Pomyślałam, że jeżeli policja mi nie uwierzy... Że oni mnie dorwą. Że wiedzą...

– Te zdjęcia wyglądają dość przekonująco, aby dodać pani wiarygodności – fuknęła Langer.

– Straciłam głowę, chciałam to wszystko przemyśleć. Za dzień lub dwa pewnie sama bym się zgłosiła, ale musiałam to sobie poukładać... Milion razy przerzucałam te kartki w nadziei, że znajdę jakiś dowód, że to tylko idiotyczna zabawa. Że to bzdura...

Rembert położył dłoń na ramieniu kobiety i pocieszająco zacisnął palce.

– Przynajmniej do komendy nie będzie pani musiała jechać sama – stwierdził znacznie bardziej ponuro, niż zamierzał. – Bo niestety, ale chyba powinniśmy wybrać się tam razem. I to jak najszybciej.

Langer nie zamierzała tracić czasu. Usłyszała od Dyckiej to, co najważniejsze, i uznała, że przesłuchać będzie ją mógł ktokolwiek inny. Prawdę powiedziawszy, nie cierpiała formalnych przesłuchań, protokołów ani całej tej biurokratycznej maszyny, która odciągała ją od pracy w terenie. Najważniejsze było dla niej działanie, a choć wielokrotnie się sparzyła, nigdy nie nabrała dość pokory i opanowania. Mimo utyskiwań Remberta kategorycznie postanowiła nie zawiadamić Siweckiego, a tym bardziej nie urządzać szopki z policyjnymi oddziałami interwencji. Mogła liczyć się każda minuta, o ile już nie było za późno.

– Lizo, wszystko wskazuje na to, że na tych zdjęciach już mamy jednego trupa – przekonywał ją Orest. – Nie można kogoś zamordować po raz kolejny. O ile w ogóle to było morderstwo.

– Tyle że dziwnym trafem akurat wczoraj w powietrze wyleciał Kruk. Dziwny zbieg okoliczności, co?

– Ano. Choć nie mamy pojęcia, w jaki sposób oba te wydarzenia miałyby się zająbiać. Zbiegi okoliczności naprawdę istnieją...

– Mimo wszystko chcę to sprawdzić na miejscu. Rozumiesz?

Kiedy tylko dwójka policjantów odeskortała Dycką z policyjnego parkingu w stronę budynku komendy, Langer dodała gazu. Pomknęła zakorkowanymi ulicami pod adres wskazany przez pracownicę opieki społecznej. Pustostan, o którym wspomniała kobieta, mieścił się kilkaset metrów na północ od Starego Miasta. Aby się tam dostać, musieli pokonać newralgiczne skrzyżowania, które mimo pory roku były diabelnie zakorkowane.

– Mogliśmy wziąć radiowóz – bąknął Rembert. – Byłoby łatwiej.

– Stracilibyśmy czas na wypożyczanki. I musielibyśmy się ze wszystkiego tłumaczyć.

– Teraz nie tracimy czasu na stanie w korku?

Te słowa podziały na Lizę niczym czerwona płachta na byka. Zerknęła w lusterko, po czym opuściła szybę. Dała znać kierowcy stojącego obok auta, aby ją wpuścił. Nie zajęła jednak prawego pasa, lecz wjechała prosto na chodnik.

– Jezu, zwariowałaś? – Orest natychmiast poprawił się w fotelu i naciągnął pas. – Zabijesz nas albo kogoś!

– Mówiłeś coś o traceniu czasu i bykach? W dzisiejszym świecie, w którym faceci są jak tępe krowy, to kobiety muszą robić za byki. I z góry ci mówię, że nie potrzebuję czerwonej płachty.

Mały, zwrotny peugeot idealnie nadawał się na manewrowanie po ścieżce rowerowej. Langer nie zważała na gniewne komentarze oraz rozbiegających się na boki przestraszonych przechodniów. Nie interesowało jej to, że niektórym z nich na myśl mogły przyjść zamachy terrorystyczne z Berlina lub Paryża ani że kolejno wyciągali telefony komórkowe.

Po około stu metrach z powrotem zjechała na jezdnię i wyrwała do przodu. W tym miejscu ruch był nieco mniejszy, korek się rozpraszał, a od celu dzieliło ich już raptem ćwierć kilometra. Pokonali je w ciągu niespełna dwóch minut.

Kiedy Langer gwałtownie zahamowała, Rembert wyglądał, jakby miał zaraz zwymiotować. Niecierpliwiąc się, odczekał, aż drzwi auta się rozsuną, i głęboko zaczerpnął powietrza. Liza była jednak bezlitosna.

– Szybko, Oreście – pośpieszyła go, ruszając w stronę walącej się kamienicy. – Jeśli wymiękasz już w tej chwili, być może w ogóle nie powinieneś wchodzić do środka? Wołałabym, abyś nie porzygał się w trakcie rozmowy z podejrzanym.

– Niech cię szlag – bąknął Rembert. – Niech cię diabli!

Nie mówiąc nic więcej, pobiegł za Lizą.

## 31

Drzwi wejściowe do kamienicy były zabite deskami, więc Orest i Liza rozejrzeli się za innym sposobem dostania się do środka. Większość okien na parterze zamurowano lub wstawiono w nie grube dykty, które albo nie



dałyby się zdjąć, albo wymagałoby to znajomości specjalnej techniki. Dlatego postanowili obieć kamienicę dokoła. Po pokonaniu kilkunastu metrów Langer zatrzymała się i wskazała na szerokie okienko tuż nad poziomem gruntu. Prowadziły do niego schodki, a metalowa krata była odstawiona na bok.

– Zdaje mi się, że właśnie tak wygląda obecne wejście główne do tego przybytku – stwierdziła. – Chodź.

Okno było na tyle duże, że aby przez nie przejść, należało jedynie się schylić. Następnie zeskakiwało się na betonową, zaśmieconą podłogę, którą oświetlało rozproszone światło dnia. W przeciwległym kącie dogasało ognisko z kilkoma rozżarzonymi węglami wrzuconymi na metalowy stelaż.

– Można się zaczadzić... – bąknął Orest. – To jak koksownik wstawiony do mieszkania.

– W tym pomieszczeniu chyba nikt nie rezyduje, piecyk ogrzewa powietrze i ściany. Lepszy rydz niż nic.

– I tak nie jestem przekonany, żeby zostały spełnione przepisy przeciwpożarowe, BHP i tak dalej...

Langer nie skomentowała tej uwagi. Ostrożnie, uważając na poniewierające się tu i ówdzie śmieci, przeszła wzdłuż ściany. Starła się przyzwyczać wzrok do półmroku, a jednocześnie wsłuchać w odgłosy budynku. Zdawał się teraz całkowicie wymarły.

– Te przepisy to ohydny wymysł socjalistów – zawyrokowała wreszcie, głównie po to, by przerwać ciszę. – Wśród bezdomnych krzewi się dziki kapitalizm. Wola przetrwania to jedyny mechanizm napędowy rozwoju oraz wybicia się ponad...

Nie dokończyła tej myśli. Kątem oka dostrzegła u swoich stóp zarys zwiniętej postaci ludzkiej. Zamarła w bezruchu i sięgnęła do pasa po pistolet. Po chwili jednak odetchnęła.

Ostrożnie obeszła leżącego na podłodze zarośniętego mężczyznę. Nie miała wątpliwości, że ten spokojnie oddycha, więc postanowiła się nim na razie nie zajmować. Dostrzegła, że tuż obok niego leżą strzykawka oraz

gumowy wężyk. Na podłodze poniewierały się też zakrwawione plastry oraz bandaże.

– Uważaj – syknęła. – Lepiej nie nadepnij na jakąś igłę.

– Ty też. Twoje tenisówki mają cienką podeszwę, więc myśl teraz przede wszystkim o sobie.

– Zawsze to robię.

Langer wyjęła z kieszeni telefon i włączyła latarkę. Zmniejszyła jej moc do minimum, tak aby nie zwracać na siebie przesadnej uwagi. W długim korytarzu znajdowały się jeszcze dwie osoby owinięte podartymi kocami. Nie budziło wątpliwości, że żyją, więc Liza starała się nawet nie patrzeć w ich stronę. Nie potrzebowała zbędnego zamieszania.

Zgodnie ze wskazówkami Dyckiej podążyła do końca korytarza i zatrzymała się przed drzwiami zastawionymi drewnianą paletą. Odsunęła ją, po czym odciągnęła foliową przesłonę. Wołała nie dotknąć jej twarzy. Ostrożnie przestąpiła próg i oświetliła latarką pomieszczenie.

– Jest tu kto? – zagadnęła ochryłym głosem. Nauczona doświadczeniem w podobnym miejscu nie zamierzała wymieniać słowa „policja”, przynajmniej tak długo, dopóki nie było to absolutnie niezbędne.  
– Halo?

Odpowiedziała jej głucha cisza. Gdzieś w oddali przeciąg poruszał drewnianym oknem, ale poza tym nie dobiegł jej żaden dźwięk. Langer ścisnęła mocniej telefon i weszła w głąb pomieszczenia. Było dość schludne, w przeciwieństwie do korytarza nie poniewierały się w nim żadne śmieci, a na prostym stole stał pusty plastikowy talerz. Kontrast wydawał się zaskakujący.

Skinieniem głowy Liza dała Orestowi znać, że kieruje się ku obwieszonym, wypaczonym drzwiom. Rembert czujnie podążał tuż obok niej. Był gotów na wszystko, choć nie miał pojęcia, czym to „wszystko” mogłoby się okazać. Oddychał powoli i ciężko. W przeciwieństwie do towarzyszki zdecydowanie wołał pracę biurową, choć męska duma nigdy nie pozwoliłaby mu się do tego przyznać.

– Może ja pierwszy... – zaproponował, usiłując wyprzedzić Langer.

Komisarz nie dała mu szansy. Ostentacyjnie wyciągnęła przed siebie jedną dłoń z telefonem oraz drugą z pistoletem. Końcówką lufy pchnęła drzwi. Kiedy światło omiotło wnętrze kolejnego pomieszczenia, stanęła jak wryta. Tym razem przekleństwo zastygło jej w ustach.

## 32

Langer nie miała wątpliwości, że znajduje się w tym samym pomieszczeniu, w którym wykonano większość zdjęć wklejonych do zeszytu odnalezionego przez Dycką. Widziała popękana ścianę oraz stolik. Jednak jej uwagę zwróciła trumna umieszczona na stelażu wykonanym z kilku grubych desek. Była ona pozbawiona wieka i światło latarki Lizy omiotło złożone w niej szczątki. W rzeczywistości jeszcze bardziej niż na zdjęciach przypominały upiorną lalkę, z obłążącą z twarzy niemal czarną skórą, pozbawioną ust i z odsłoniętymi zębami. W miejscu nosa zionęły pustką dwa ciemne otwory, a na czole widać było biel kości. Gienkie, pergaminowe powieki zakrywały nicość oczodołów. Pojedyncze ciemne włosy zwijały się w pukle, z których nieliczne opadały na wysuszone, rozpadające się uszy. Właśnie tak wyglądały uszy Lenina po stu latach od jego śmierci. Jednak to pomieszczenie z pewnością nie stanowiło mauzoleum.

Zwłoki były ubrane w biały strój przypominający gruby dziecięcy kombinezon. Był bardzo puszysty, ale pełen zacieków oraz plam. Langer widziała go na ostatnich zdjęciach wklejonych do zeszytu. Wydawało się, że materiał jest wręcz przesiąknięty ostatnimi produktami wieloletniego rozkładu oraz zgnilizny. Przez kilka sekund wpatrywała się w szczątki, stojąc niemal w bezruchu. Wreszcie odkasznęła i podeszła w ich stronę. Rembert posłusznie podążył tuż za nią.

– Ja piernicę – wyszeptał. – Masz swój dowód, że to nie jest jedynie fotomontaż.

– Naprawdę? A myślałam, że to scenografia filmowa.

Langer rozejrzała się po niewielkim, ciasnym wnętrzu. Dawniej musiało ono pełnić funkcję garderoby lub spiżarni przynależnej do sporego mieszkania. Poza stołem z trumną mieścił się w niej jedynie sięgający sufitu, grożący zawaleniem regał. Na kilku półkach stały tekturowe pudła oraz walizki, lecz większość z nich pokrywała bardzo gruba warstwa kurzu. Wszystko przywodziło na myśl scenierię najgorszego horroru. Do tego w powietrzu unosił się duszny, lepki zapaszek, niewyczuwalny w innej części budynku. Nie budziło wątpliwości, że to woń bijąca od szczątków. Mimo wszystko otoczenie było nazbyt realne, by można uznać je za element planu filmowego. Nie budziło wątpliwości, że nic nie zostało tu sztucznie upozowane.

Liza mlasnęła, a następnie powoli wciągnęła powietrze. Koniuszkiem języka oblizwała wargi i odchrząknęła.

– Nie chcę być złowrózbną, ale stawiam euro za mirabelki, że tego trupa wypatroszono jakimiś ziołami. Prymitywna mumifikacja, która zapewne odniosła taki sam sukces jak próby konserwacji skóry... Za kilka lat zostanie z niego jedynie proch.

– Mój Boże, Lizo, to maleńkie dziecko... – Rembert stanął tuż obok trumny i z niedowierzaniem pokręcił głową. – Myślisz, że je zamordowano? Że złożono je jako ofiarę w jakimś pochranionym rytuale?

Langer wzruszyła ramionami.

– Nie mam bladego pojęcia i nie zamierzam teraz obstawiać. Nie chcę nawet nad tym zbytnio myśleć. – Głośno parsknęła. – Sądzę jednak, że wykonanie właściwych badań nie powinno potrwać zbyt długo...

– Chyba że to dziecko zostało otrute. Mnóstwo trucizn jest niewykrywalnych już kilka tygodni po zgonie.

– Czyżbyś nie miał wiary w naszą panią patolog?

– Znowu do niej pijesz? Mogłabyś sobie darować, bo staje się to nudne...

– Przyznaj, że już się cieszysz na ponowne spotkanie. No, Oreście, nie okłamuj mamusi. Powiedz to.

Langer nie czekała na odpowiedź Remberta. Nagle nachyliła się tuż nad trumienką i poświeciła latarką na szczątki. Przez mankiet bluzy chwyciła za skraj kombinezonu. Zmarszczyła czoło, jednocześnie wstrzymując oddech. Rembert nie miał wątpliwości, że właśnie dostrzegła coś istotnego.

## 33

– Co tam masz? – Orest podszedł bliżej partnerki. – O co chodzi?

Langer nieco się przesunęła, robiąc mu miejsce.

– Ktoś niedawno ruszał te zwłoki. – Wskazała na trumienkę palcem i sapnęła. – Na ostatnich zdjęciach z zeszytu były ułożone w minimalnie innej pozie. Główkę oparto na poduszce, która teraz jest podciągnięta znacznie wyżej. Co gorsze, wydaje się, jakby ten kombinezon był wilgotny... Biorąc pod uwagę, że zwłoki są niemal całkowicie zmumifikowane, obstawiałabym, że ubranko zostało wyprane. To znaczy... poprawka – przeprane, bo raczej, wnioskując po ich stanie, stwierdzam, że nie użyto do tego ani proszku, ani wybielacza.

– Nie żartuj... – Rembert nachylił się tuż obok Langer i również dostrzegł lekkie zawilgocenia. Zaskoczony aż cmoknął. Liza miała rację.

– Jestem śmiertelnie poważna, Oreście. Tak poważna, jak można tylko być w takiej sytuacji.

– Ale...

– Ale co? Odebrało ci mowę?

Orest się wyprostował i pokręcił głową. Nie potrafił opanować emocji. Zacisnął pięści, po czym uderzył jedną o drugą. Syknął, zagryzając usta.

– Klnij, ile wlezie, jeśli ma to ci pomóc – poradziła Liza. – Lepiej wyrzucić to z siebie teraz, niż miałbyś z tym walczyć w koszmarach... No, dalej. Jesteś psychologiem, więc chyba wiesz, że nie można emocji trzymać w sobie.

– To pieprzony obłąd.

– Jeśli tylko na to cię stać, współczuję twoim flakom. Jeśli mają trochę rozumu, właśnie gotują się z wściekłości.

– A ty? – Rembert łypnął na Lizę i zadziornie potrząsnął głową. – Nie robi to na tobie większego wrażenia?

– Pewien terapeuta powiedział mi kiedyś, że mam obniżony próg odczuwania emocji albo jakoś tak. W każdym razie chodziło o to, że dopóki to dziecko nie wstaje z trumny i nie chce się do mnie przytulić, jakoś się trzymam. Ale zmartwychwstanie... to mogłoby być już dla mnie zbyt wiele.

Langer ponuro puściła Orestowi oko i odeszła na bok. Rozejrzała się po drugim kącie oraz przeciwległej ścianie pomieszczenia. U jej podnóża dostrzegła świeże ślady stóp widniejące w warstwie czerwonego pyłu. Nachyliła się i dotknęła go opuszką palca. Z najbliższej odległości poświeciła na niego latarką.

– Jakby pył z cegieł – mruknęła. – Skąd miałyby się tu wziąć?

– Ślady stóp są poprzerywane – zauważył Orest. Choć komentarz o zmartwychwstawaniu nieco go zniesmaczył, momentalnie o tym zapomniał. Kucnął obok Langer i spojrzał na ścianę pod ostrym kątem. – Jakby ktoś przez nią przeszedł...

– Albo...

Orest i Liza wymienili porozumiewawcze spojrzenia. Natychmiast się poderwali, po czym zaczęli energicznie ostukiwać mur.

– Niech to szlag... – Rembert nagle znalazł szczelinę i odrzucił cegłówkę. – To naprawdę nie mieści się w pale.

## 34

Tylko część cegieł łączyła świeża, niezwiązana jeszcze na dobre zaprawa. Zresztą z pewnością ktoś, kto ją nałożył, nie dbał o walor estetyczny.

Raczej zależało mu na wywarciu właściwego wrażenia przez sam fakt zamurowania fragmentu pomieszczenia.

– Nie śpiesz się. – Orest w pewnej chwili ostrzegł Lizę. – Nie chcemy, żeby ta ściana się na nas zawaliła. Jej fragment wznosił się tu już wcześniej, ale ktoś domurował ten pas... Dosłownie kilka warstw.

– Przyniósł ze sobą cegły? – parsknęła Langer. – Już widzę te nagłówki: „Zabójca Murarz”...

– Raczej wykorzystał te, które tu stały od lat. A robota wygląda na tak amatorską, że cech murarzy, o ile taki jeszcze istnieje, mógłby pozwać pismaków.

Liza nie zareagowała na te słowa. Wyciągnęła telefon i włączyła latarkę, aby oświetlić wnętrze niszy. W środku unosiło się jednak zbyt wiele pyłu, by mogła cokolwiek dostrzec. Z pewnością nie była to rozległa przestrzeń, a raczej mała klatka – raptem metr lub półtora metra kwadratowego zamurowanej powierzchni.

Nie zważając na łamiące się paznokcie, Langer odrzucała kolejne cegły. Orest uważał, aby nie zaburzyli równowagi pokracznie wzniesionego muru. Nagle chwycił partnerkę za dłoń i skierował światło latarki w stronę sufitu.

– Co robisz? – zdziwiła się Liza. – Pomóż mi, a nie...

Nagle pojęła, o co chodziło Rembertowi. Ściana nie sięgała stropu, lecz kończyła się trzydzieści albo nawet więcej centymetrów poniżej. Gdyby zdjęli zbyt wiele cegieł, z pewnością by na nich runęła.

– Musimy rozebrać ją od góry – oznajmił Orest. – Nie mamy drabiny, ale to powinno wystarczyć...

Pobiegł do drugiego pokoju po chybottliwe krzesło i podstawił je do ściany. Gdy tylko na nie wskoczył, udało mu się sięgnąć górnej warstwy cegieł. Na szczęście mierzył niemal metr dziewięćdziesiąt wzrostu, przez co miał wystarczający zasięg ramion.

– Odejdz! – syknął. – Jeśli się zawali, lepiej, żeby nie zleciały ci na głowę.

- Nie filozofuj - skarciła go Langer i nie bacząc na ryzyko, kontynuowała rozbiórkę w miejscu rozpoczętym przed paroma minutami.  
- Pośpiesz się... Do cholery, szybciej, Oreście!

- Myślisz, że ktoś tam jest? - Rembert sapnął z wysiłku, po czym poruszył głową, rozciągając mięśnie karku. Odrzucił kolejną cegłówkę i otarł pot z czoła. Chciał sięgnąć po telefon, aby poświecić, lecz uznał, że to strata czasu. Otwór i tak był zbyt mały, by weszli przez niego do środka.

Liza całkowicie zlekceważyła jego pytanie. Cała w pyłe, pokaszując i parszkając, robiła wszystko, by dosłownie wyrwać z muru kolejne cegły. Wraz z Orestem usuwali jeden pas, zbliżając się ku sobie z dwóch stron. Ona również już wcale nie zerknęła w stronę wnęki. Odłożyła telefon na ziemię, aby światło padało na nich oboje. Na ścianę pomieszczenia rzucali się jedynie ich wyginające się, przesuwające cienie.

- Jeszcze tylko chwila, momencik... - odezwał się nagle Rembert. - Teraz naprawdę uważaj, bo wszystko może się zawalić. Cofnij się! Szybko!

Tym razem Langer posłusznie odsunęła się od ściany i obserwowała, jak Orest uderzeniami pięści wybija z zaprawy kolejne cegły. Następnie pochylił się i nie schodząc z krzesła, kopnął w łuk powstały nad prześwitem. Coś zgrzytnęło, szurnęło, a następnie rozległ się huk. Część ściany momentalnie się zawaliła niczym domek z kart. W powietrzu unióś się jeszcze gęstszy pył. Rembert niemal spadł z krzesła, lecz w ostatniej chwili chwycił się zwieszonoego z sufitu kabla.

- Jesteś cała? - zapytał, szybko mrugając. Pył oblepił mu oczy i prawie nic nie widział. Łzy ciekły mu po policzkach. - Halo?

Liza głośno odkaszlnęła. W chmurze pyłu błysnęło światło jej latarki, a po chwili dało się słyszeć rzucone przez nią dosadne przekleństwo.

- Chyba znaleźliśmy podopieczną Dyckiej - oznajmiła. - Mój Boże...



– Jak mógł nikt nie usłyszeć tego, co z nią zrobiono? Przecież odgłosy takiego katowania musiały nieść się po całej okolicy... Ona musiała krzyknąć wniebogłosy! Nie, nie... Krzyczeć to nawet za mało powiedziane. Ona musiała wyc z bólu!

Orest machał dłonią, usiłując rozgonić unoszący się nadal w powietrzu pył. Jednak światło latarki przebijało się przez jego obłok i oświetlało przerażający widok. Na gołej betonowej podłodze leżało makabrycznie okaleczone ciało kobiety. Właściwie to płeć ofiary można było określić jedynie po długich włosach, w które wplątane były kawałki kości, tkanki mózgowej oraz gruzu. Poobdzierane ubrania mogły należeć zarówno do mężczyzny, jak i kobiety. Poza tym niemal całkowicie przesiąknięte krwią, która zaschła, tworząc z tkaniny wzory niczym z masy papierowej.

Zwłoki leżały w nienaturalnie wygiętej pozycji. Korpus ułożono nieco na boku, ale nogi były powyginane pod różnymi kątami, na pierwszy rzut oka nie pozostawiając jakichkolwiek złudzeń, że kości nie zostały połamane w dziesiątkach miejsc. Lewa ręka przypominała kształtem literę „Z”, z dłonią wywiniętą niemal pod kątem stu osiemdziesięciu stopni. Trudno byłoby zresztą rozpoznać jej dawny kształt, gdyż została dosłownie zmiażdżona. Palce przypominały kostno-mięsną papkę, z której na sztorc sterczały połamane paznokcie.

Twarz w większości była zasłonięta brudnymi, posklejanymi włosami. Nie budziło jednak wątpliwości, że rysy zamordowanej nie będą łatwe do odtworzenia. Widoczne były jej otwarte, pozbawione zębów usta oraz zdruzgotany podbródek. Sceneria przyprawiała o dreszcze.

Rembert uklęknął i przyjrzał się zwłokom z odległości niespełna metra. Machnięciem ręki odgonił kilka much, które nagle wynurzyły się spod podziurawionego ubrania. Zapewne już zdążyły złożyć jaja i posilić się trzewiami zamordowanej kobiety. Bzycząc, przeleciały Orestowi tuż obok ucha, po czym uciekły dalej – w głąb pomieszczenia.

– Wygląda, jakby wpadła pod pociąg towarowy i starała się go wykoleić – zauważyła Liza. – Co za jatka...

Rembert skinął głową. Właściwie było to bardzo obrazowe i trafne porównanie. Choć podejrzewał, że niejedna ofiara spotkania z pociągiem

mogła być mniej zmasakrowana.

– Wypłynęło z niej kilka litrów krwi – stwierdził. – Morderca rozwalił jej tętnice, w tym aorty...

– Dlatego ją zamurował – stwierdziła Langer. – Aby na pierwszy rzut oka, po wejściu do pomieszczenia, nie było widać rozbryzgów.

– Myślisz, że właśnie to był powód? A nie chodziło mu o zwykle budowanie napięcia? – Rembert nie wydawał się przekonany. Przytknął palec do podbródka, po czym nagle skinął głową. – Sprawca chciał stworzyć symboliczną barierę między sobą a światem tej kobiety. Dlatego przesunął tu kilka jej rzeczy.

Wskazał na torbę stojącą w rogu zamurowanej części pomieszczenia, a następnie na parę rzuconych obok kocy i ubrań. Odchrząknął, po czym mówił dalej:

– Dlatego też zarzucił jej włosy na twarz. Wyraźnie widać, że nie stało się to w wyniku ataku, lecz później, gdy krew już zasychała.

– Więc mur to twoim zdaniem nie jest tylko zmyłka i próba zamaskowania miejsca zbrodni?

– Nie. Jestem niemal pewny, że to pomieszczenie miało służyć jako symboliczny grobowiec. Najprawdopodobniej sprawca miał budulec pod ręką... Jeśli wiedział, że cegły tu leżą, mógł się przygotować znacznie wcześniej i przyjść choćby po prostu z zaprawą. Tak jak Ted Lorrence, który bodajże w Ohio przychodził do ofiar z kwasem solnym i robił ich zwłokom kąpiel. Wymurowanie szkaradnego, chybotliwego muru mogło trwać raptem godzinę...

– Świetnie. Faktycznie ktoś tu miał iście amerykański rozmach. Tylko tego nam brakowało... Co ty robisz?!

Langer obserwowała, jak Orest wyciąga dłoń ku zwłokom, po czym sięga do miejsca, gdzie niegdyś znajdowały się usta. Po chwili, powstrzymując mdłości, obrócił coś w dłoni.

– A to ciekawe, prawda? – parsknął, po czym powtórzył po Lizie: – Faktycznie iście amerykański rozmach...

Według informacji otrzymanych z komendy Milena Dycka została już przesłuchana i postanowiono przydzielić jej ochronę. Wynajęła pokój w nadmorskim hotelu Lival, który miał być dla niej tymczasowym, bezpiecznym ustroniem. Widok na morze mógł nieco ukoić skołatanę nerwy, bo niestety willa, w której kobieta przebywała dotychczas, była spalona jako kryjówka. W trakcie ucieczki na deptaku widziało ją mnóstwo osób, a pogonią zainteresował się nawet jakiś dziennikarz. Rzeczywiście było prawdopodobne, że jakiś szalenięc dybał na jej życie. Prawdopodobne, ale nie pewne – i to należało powtarzać jako główne pocieszenie. Swoją drogą nie tylko ona go teraz potrzebowała.

Mniej więcej w czasie, gdy zakończono przesłuchanie Dyckiej, do zrujnowanej kamienicy przyjechała ekipa techników. Zabezpieczono ślady, zbierano dowody, a przede wszystkim przetransportowano zwłoki do zakładu medycyny sądowej. Sekcje miały rozpocząć się w najbliższym możliwym czasie. Liza oraz Rembert byli na miejscu aż do wieczora. Obserwowali pracę kryminalistów, wyglądali nowinek oraz bacznie rozglądali się po okolicy.

Orest z namaszczeniem złożył do woreczka dowodowego monetę, którą wyciągnął z ust zamordowanej kobiety. Przynajmniej nie budziło wątpliwości, że zbrodnie są ściśle powiązane i istnieje ich oczywisty wspólny mianownik, choć jednocześnie sposoby pozbawienia życia były diametralnie różne, nakłaniając do postawienia kolejnych pytań. Powód zamurowania ciała stanowił przedmiot tylko jednego z nich. Całe gros odnosiło się do motywacji działania mordercy, rozłożenia na pierwotne elementy jego modus operandi, zrozumienia roli szczątków przechowywanych w trumnie oraz znaczenia albumu z makabrycznymi zdjęciami. Kuriozum. Kolejne elementy wydawały się tworzyć kompletnie nieodgadnioną układankę.

Co istotne, Rembert i Langer zwrócili uwagę, że moneta była dokładnie taka sama jak ta, którą wyciągnięto z ust Kruka. Zwykła gdańska okolicznościówka sprzed kilkadziesiątu lat. Nic specjalnego. Wprowadzała więcej zamieszania, niż wносиła w portret psychologiczny sprawcy. Co do tego Orest nie miał żadnych wątpliwości. Zawsze uważał, że sprawcy posługujący się jakąkolwiek symboliką byli najgorsi. Wyrachowanie na miejscu zbrodni co do zasady oznaczało nie tylko podwyższony poziom intelektualny, ale również głęboką determinację. Oba te elementy nakładały się na rys kogoś, kto nie poprzestanie na dwóch ofiarach. Chyba że...

Orest zdał sobie sprawę, że ciągnie ten wywód zbyt długo. Porządkował własne myśli, ale przy tym gadał bez składu i ładu.

– Chcesz zostać sama? Męcę cię? – Łypnął na ledwie widoczną w świetle księżyca twarz Langer. – No, powiedz...

Siedzieli na plaży niedaleko kempingu, na którym komisarz trzymała swoją przyczepę. Po całym dniu pracy byli wyczerpani, ale czuli też, że tej nocy będą mieć problemy z zaśnięciem. W przypadku Lizy nie było to nic nowego, ale Rembert zazwyczaj sypiał mocno, jak dziecko, kładąc się względnie wcześnie spać. Tym razem jednak był nader pobudzony. Gdy Langer zaproponowała mu spacer po plaży, zareagował niemal euforycznie, a wszelkie trudy dnia przemieniły się w lawinę endorfin. Zaproponował, by coś zjedli lub wypili, lecz Liza natychmiast wybiła mu z głowy ten pomysł. Nie chcąc rezygnować ze spaceru, musiał zadowolić się croissantem, którym jeden z techników poczęstował go na miejscu zbrodni. Nie przeszkadzało mu to. Z jednej strony propozycja Langer w przedziwny sposób zaspokoila jego głód, a z drugiej, po wielu godzinach niejedzenia, jego żołądek obkurczył się do rozmiarów orzecha laskowego. Gdyby wypił choćby piwo, zapewne by zwymiotował albo całkowicie się upił. Po przedawkowaniu płynnego chmielu mogły mu do głowy przyjść głupie pomysły, ale dopuszczał każdy możliwy rozwój wypadków. W tej sytuacji „nigdy nie mówić nigdy” wydawało mu się najlepszą zasadą.

Jednak euforia szybko została brutalnie rozwiana. Gdy tylko znaleźli się na plaży, Liza całkowicie zamknęła się w sobie. Wbiła wzrok w morze

i kompletnie pochłonęły ją własne myśli. Na wszelkie pytania oraz próby nawiązania rozmowy albo nie reagowała, albo odpowiadała zdawkowymi mruknięciami. Rembert wiedział o towarzyszącym jej deszczowym psie i sądził, że komisarz właśnie teraz wyczuwa jego obecność. Wiedział też, że w chwilach napadów depresji nie potrafił jej pomóc. Wręcz przeciwnie, stawał się ogniwem zapalnym, które mogło jedynie wywołać problemy. Dlatego, chcąc nie chcąc, po kolejnej półgodzinie, wypełnionej jego bełkotem oraz mruknięciami Langer, powtórzył swoje pytanie:

– Mam sobie pójść?

Liza drgnęła. Powoli odwróciła się w jego stronę i niemal niezauważalnie przecząco pokręciła głową. Mogła to być jedynie jego nadinterpretacja, ale nie sądził. Był to ruch wyraźny, choć delikatny. Rembert przesunął się bliżej i dotknął jej ramienia. Uśmiechnął się pokrzepiająco.

– Mogę przy tobie milczeć, ale chcę wiedzieć, że chcesz, abyśmy wspólnie milczeli... – szepnął. – Choć nie wiem, czy to, co gadam, ma sens.

Nachylił się, zbliżając twarz do jej twarzy. Poczul zapach jej perfum i przebiegł go dreszcz niepokoju. Przekroczył tę niewidzialną barierę intymności, która jest dostępna jedynie kochankom. Langer nie odsuwała się ani nie śmiała. Właściwie był pewny, że zaraz zarechocze, dowcipkując z jego bon motu, lecz nic takiego się nie stało.

Pochylił się jeszcze bliżej, zacisnął palce na jej ramieniu i...

Rozległ się dźwięk dzwonka jej telefonu. Zaskoczony, odsunął się i niemal podskoczył. Liza również drgnęła.

– Jezu... – Orest westchnął. – Jak na filmie... Wygłupiłem się, co?

– Wygłupiłeś się – przyznała Langer.

Sięgnęła po telefon i zerknęła na wyświetlacz. Kiedy tylko dostrzegła, kto dzwoni, natychmiast odebrała. Atmosfera sprzed kilkudziesięciu sekund momentalnie się ulotniła.

– Dwie informacje, dwie informacje... – Orest powtarzał sedno wiadomości przekazanej Lizie przez patolog. – Jakie dwie informacje może nam chcieć przekazać?

– Naprawdę masz ochotę na kolejne domysły? Nawet ja jestem na nie zbyt zmęczona.

Orest westchnął. Oparł się głową o boczną szybę peugeota, ale nagle się wyprostował. Poprawił pas, po czym rozmasował obolały kark.

– Faktycznie mam kompletnie dość – skwitował. – Znowu jadę z tobą tym autem, które od bolidu dzieli wszystko, poza prędkością. Znowu mam mętlik w głowie... Rzeczywiście mam kompletnie dość i kropka.

– Przestań narzekać. Robisz się irytujący.

– Nie narzekam, stwierdzam fakty.

– Fakt jest taki, że bez tego wszystkiego nie potrafisz żyć. Czekaleś na ten telefon tak samo niecierpliwie jak ja, tylko rozczarował cię moment, w którym ta patolog postanowiła się ze mną skontaktować. – Langer uśmiechnęła się i tak dynamicznie zmieniła pas ruchu, że opony peugeota zapiszczały. – Choć to może mieć swoje dobre strony. Również dwie, jeśli mielibyśmy nawiązywać do numerologicznego znaczenia liczby potencjalnych informacji.

– Gadasz jakimiś niezrozumiałymi szyframi.

– Szyfry mają to do siebie, że są niezrozumiałe.

– Ale... – Orest z rezygnacją sapnął i ponownie oparł głowę o szybę. – Wytłumaczysz mi ich znaczenie? Proszę.

Langer wyprowadziła samochód z zakrętu i ponownie wcisnęła gaz do dechy. Malutki silnik zawył, ale zabrakło mu mocy, by dynamicznie wystrzelić naprzód. Mimo to po chwili peugeot rozpedził się do zawrotnej prędkości ponad stu kilometrów na godzinę.

– Po pierwsze, być może to pani patolog jest ci pisana jako WNM – oznajmiła sentencjonalnym tonem. Kątem oka łypnęła na Oresta, który jedynie nerwowo pokręcił głową. – Ku przypomnieniu, w szkole pisało się na tablicy WNM jako skrót od wielkiej nieskończonej miłości...

Orest westchnął.

– A po drugie? – zapytał cierpko.

– Po drugie moment, w którym zadzwonił telefon, mógł cię uratować.

– Chyba nie rozumiem.

– Gdybyś posunął się o milimetr dalej, zdzieliłabym cię po pysku tak mocno, że nikt by cię nie poznał. Mógłbyś powtarzać, że spotkania z pociągami to gdańska moda. Jak gołe klaty na warszawskiej Żylicie.

Rembert odwrócił się i zerknął na nią ponuro.

– Naprawdę byś to zrobiła? – zapytał z autentycznym wyrzutem. – Nie czułaś przyjemnego napięcia i nie zamierzałaś...

– Nie – ucieła, nim zadał pytanie do końca. – Wybij to sobie z głowy. Raz na zawsze.

Orest teatralnie pociągnął nosem. Splótł ręce na piersi i przymknął oczy. Było mu wszystko jedno, czy za moment przejadą na czerwonym albo czy Langer przekroczy malutkim autem barierę dźwięku.

– Naprawdę mam tego wszystkiego dość – bąknął. – Źle sypiam, źle się odżywiam, nie potrafię nawet nawiązać w robocie porządnego romansu ani stworzyć związku. Po co to robię? Dokąd zmierzamy, Lizo?

Odwrócił się i otworzył oczy. Spojrzał na Langer, która oderwała wzrok od drogi. Zmierzyła się z nim spojrzeniem, po czym ponownie zerknęła przed siebie.

– Jedziemy do zakładu medycyny, a ty to wszystko robisz, bo jesteś uzależniony – odparła oschle. – Dokładnie tak samo jak ja. I owszem, ciężko o kogokolwiek podobnego do nas.

– Więc...

– Nie. Nawet nie próbuj teraz powiedzieć, że właśnie przez to jesteśmy dla siebie stworzeni. To tak nie działa. Ja już przeżyłam swoją wielką nieskończoną miłość i nie wejdę do tej rzeki po raz kolejny.

W tym momencie wjechali na parking zakładu medycyny. Był prawie pusty, a ogromną przestrzeń oświetlało kilka mocnych latarni. Langer i Rembert wyszli z auta w milczeniu, po czym podążyli w stronę przysadzistego budynku. Gnała ich ogromna, rozbudzona ciekawość. Prawie tak mocna jak wielkie i nieskończone miłości.

## 38

Doktor Iza Wiger powitała ich zmęczonym uśmiechem i zdawkową grzecznościową formułką. Czekala w gabinecie, ślęcząc nad dokumentami, których stosy piętrzyły się po obu stronach biurka. Pośpiesznie złożyła je według sobie tylko znanej metody, po czym poprosiła, by dali jej jeszcze dosłownie kilka sekund. Sprawdziła coś w laptopie, następnie wyciągnęła z drukarki świeży wydruk i wreszcie ruszyła w stronę swoich gości. Ucisnęła dłonie Lizy oraz Remberta.

– Przepraszam – bąknęła, bynajmniej nie siląc się na przeproszający ton. – Czekam na pewne analizy, ale raczej przyjdą dopiero jutro. Zdaje się, że mało kto pracuje po nocy tak jak my.

– Owszem, pracujemy – cierpko stwierdziła Liza. – Ale rozmowę o innych trudno nazwać pracą.

Blondynka obrzuciła komisarz badawczym spojrzeniem. Przez chwilę zdawało się, że nie powstrzyma się przed ripostą, lecz nagle serdecznie się uśmiechnęła. Skinęła głową i dała znać, by przybyli podążyli za nią.

– Do chłodni? – zagadnął Orest.

– Do pomieszczenia sekcyjnego – oznajmiła Wiger. – Lubię pokazywać i objaśniać, jak to się mówi. To sporo ułatwia.

Po niespełna minucie znaleźli się w sporym, kwadratowym pomieszczeniu, pośrodku którego stały dwa metalowe stoły. Na jednym z nich ułożone było ciało odnalezione w zrujnowanej kamienicy, a na specjalnym wózku obok ułożono zwłoki wyjęte z trumienki. Przy ścianach



piętrzyły się szafki z dziesiątkami szuflad oraz przegródek, pośród których znajdowały się dwa spore zlewy – długa metalowa rynienka prowadziła od jednego z nich prosto do stołu sekcyjnego. Drugi stół wyposażony był w własny kranik, słuchawkę przypominającą te montowane przy prysznicach oraz oddzielny odpływ. W pomieszczeniu unosił się nieprzyjemny zapach śmierci, rozkładu oraz ostrych środków chemicznych. Langer zdawała się nie zwracać na niego uwagi, ale Rembert co rusz odruchowo pocierał nos wierzchem dłoni. Miał ochotę jak najszybciej opuścić to miejsce.

Tymczasem patolog, nie śpiesząc się, podeszła do stołu, na którym znajdowały się zwłoki kobiety. Zostały one pozbawione ubrań i ułożone na plecach, co jeszcze mocniej ukazało obraz wyrządzonych obrażeń. Trudno byłoby znaleźć nienaruszony fragment ciała – skóra niemal wszędzie miała kolor sinofioletowy, w wielu miejscach widoczne było mięso lub nagie kości, a piersi kobiety przypominały miazgę z żółtawego tłuszczu, podobną do stężałego kogla-mogła.

– Została zamordowana... – odezwała się Wiger.

Langer natychmiast ironicznie parsknęła.

– Niemożliwe. Myślałam, że strzeliła sobie samobója i zaserwowała masaż za pomocą nunczako...

– Została zamordowana kilkudziesięcioma uderzeniami zadanymi narzędziem przypominającym metalowy pręt lub cienką pałkę – oschle dokończyła patolog. – Urazy wielonarządowe skutkowały śmiercią po długotrwałym cierpieniu. To były ohydne, makabryczne tortury zmierzające do egzekucji. Zadając już pierwszy cios, sprawca nastawiał się, że pozbawi tę kobietę życia. Nie mógł dopuszczać innego rozwoju wydarzeń.

– Wiemy, jaką część ciała zaatakował najpierw? – dopytał Orest.

– Myślę, że przełamywał jej obronę, czyli uniesione ręce – Wiger pokazała na wewnętrzną stronę swojego lewego przedramienia – oraz dłonie, którymi ta kobieta zasłaniała twarz. A przynajmniej próbowała to zrobić. Potem, gdy upadła, bił bez zastanowienia, jak popadnie.

– Przynajmniej sąd nie będzie miał pod górkę...

Kwestia zamiaru sprawcy była wyjątkowo istotna przy wyrokowaniu. Często, ze względu na problemy z jednoznacznym ustaleniem tego, czy oskarżony chciał zabić, czy tylko pobić ofiarę, pojawiało się miejsce dla intensywnych działań adwokatów. Poza tym Rembert doskonale wiedział o ułomności obecnej w polskim prawie konstrukcji „pobicia ze skutkiem śmiertelnym”, właśnie dzięki niej wielu morderców otrzymało wyroki niższe od tych, na jakie jego zdaniem zasługiwali.

– Tak, tu nie ma najmniejszych wątpliwości. – Wiger smutno kiwnęła głową i westchnęła. – Ale w tym przypadku...

Przeszła do niewielkich, wysuszonych zwłok przypominających rozpadającą się mumię. One również zostały pozbawione ubrania i ułożone na plecach. Wydawały się jeszcze bardziej upiorne niż w ciemnym pomieszczeniu w kamienicy. Mocne światło lamp pozbawiało złudzenia, że patrzy się na starą, pobrudzoną lalkę.

– W tym przypadku sprawa jest znacznie ciekawsza – oznajmiła patolog. – Spójrzcie sami.

## 39

Mężczyzna szedł szybkim krokiem. Od czasu do czasu coś do siebie szeptał, nagle podbiegał, jednak chyba tylko po to, by po chwili się zatrzymać. Co kilkadziesiąt metrów zerkał w stronę morza. Gdy tylko plaża była widoczna zza lini drzew lub pojawiało się numerowane zejście, przystawał. Delektował się bezkresnym widokiem, gdzie niebo oraz woda zlewały się w bliżej nieustalonym punkcie. Księżyc niedawno skrył się za chmurami, a w zasięgu wzroku widać było tylko jeden statek. Fale szumiały, łapczywie obmywając brzeg. O tej porze ich szmeru nie zakłócały dźwięki rozmów, nawoływania psów ani piski dzieci. Te ostatnie denerwowały go najbardziej. Nie znosił ich.

Włożył ręce do kieszeni i wyciągnął z niej skręta. Mrok rozjaśnił błysk zapalniczki. Głęboko się zaciągnął, po czym wypuścił kłęb dymu o specyficznym kwaśnosłodkim aromacie. Odkaslnął.

Trawka nie działała na niego otumaniająco ani przesadnie relaksacyjnie. Popalał ją, gdyż weszło to w jego zwyczaj i stanowiło skuteczną barierę odgradzającą jego słabą psychikę od twardszych używek. Kiedyś ich już próbował nader często. Próbowanie stanowiło przy tym wyjątkowo zgrabny eufemizm, aby nie przyznać, że był zwyczajnie uzależniony. Amfetamina – czysta oraz sztuczna, kokaina, LSD, grzyby... To wszystko poznał i starannie przerobił. Nadszedł jednak moment, gdy stanął nad przepaścią, a jedna noga zaczęła mu się obsuwać.

Stracił część siebie. Część swojego życia i jedną z największych pasji. Musiał zrezygnować z pracy, z wynagrodzenia, z kariery oraz marzeń. Musiał kłamać. Wplątał się w spiralę kłamstw, z której nikt uzależniony nigdy się nie wyrwał. Pogrążał się i zmierzał do otchłani, ale czuwała nad nim jakaś nadludzka siła. Miłość? Nie, to również byłby eufemizm. Odpowiedzialność? Też nie, choć brzmiała znacznie bardziej wiarygodnie. Wszyscy uzależnieni operowali synonimami, które pozwalały dopasować sytuację do potrzeb. Tego dowiedział się znacznie później, ale od razu zrozumiał sens tych słów. Eufemizmy to sposób okłamywania samego siebie.

W każdym razie, kiedy otchłań zdawała się go przyciągać, otrząsnął się i zebrał wszystkie siły. Bez względu na straty udało mu się co nieco ocalić. Zachował część siebie oraz wewnętrznej godności. Stracił niestety znacznie więcej. Jednak trawka stanowiła drobne remedium oraz sposób na zapomnienie. Czasem wystarczyło bowiem po prostu zapomnieć, a świat stawał się równie piękny jak dawniej. Leżał u jego stóp.

I nie chodziło o relaks ani otumanienie. Nie chodziło o bycie na haju. Sednem okazywało się ożywienie wspomnienia przeszłości i właśnie o niej męczycyzna myślał, kiedy zaciągał się po raz kolejny.

Wspaniała przeszłość oraz szum morza. Wyjątkowe ukojenie i ożywienie przekonania o własnej wyjątkowości. W końcu tak rzadko o niej pamiętał. A był wyjątkowy. Co do tego nie miał żadnych

wątpliwości. Jeszcze raz łypnął w stronę morskiego bezkresu i szeroko się uśmiechnął.

## 40

– To mumia.

Te dwa słowa wypowiedziane przez patolog zawisły w powietrzu i podkreśliły napięcie panujące w pomieszczeniu sekcyjnym. Rembert nerwowo przestąpił z nogi na nogę, a Langer przyjrzała się zwłokom z bliska. Miała napiętą twarz, podkrążone oczy i wysuszone usta. Mimo to po chwili przeniosła na patolog baczne spojrzenie.

– W kategoriach technicznych to zabalsamowane szczątki, pozbawione trzewi oraz poddane procesom odwadniającym mającym na celu zachowanie zewnętrznej formy – sprecyzowała Wiger. – Oczywiście nie pracował nad tym wykwalifikowany egipski balsamista, ale rezultaty czyjejś pracy są widoczne.

– Kiedy zmarło to dziecko? – Rembert z żałością spojrzał na maleńkie ciało, którego płci nie potrafił rozpoznać.

– Około dwudziestu lat temu. Plus minus dwa lata. Może pięć lat, ale ustalenie szczegółów jest uzależnione od materiału biologicznego zebranego na miejscu, od czynników środowiskowych i całego mnóstwa zmiennych, którymi nie będę was teraz zanudzać.

Odpowiedź Wiger przykuła uwagę Langer. Wyprostowała się, zmarszczyła brwi i cicho mruczając, coś analizowała. Po chwili oparła się o metalowy stół, po czym zabębniła w jego bok palcami.

– Sądzę, że to nie jest wcale nudne i pokrywa się to z materiałem dowodowym, który już mamy... – Zagryzła wargę, po czym cicho mlasnęła. – Najważniejszą sprawą jest, czy ustaliła już pani przyczynę śmierci?

– Nie.

– Nie? I tyle?

Wiger zapaliła jeden z reflektorów, oświetlając jego mocnym światłem zwłoki dziecka. Wydawały się teraz niemal jednolicie czarnym, wysuszonym kształtem przypominającym zwierzęcą padlinę pokazywaną w reportażach z Afryki albo każdego innego suchego zakątka świata. W kilku miejscach widoczna była żółtawa biel kości oraz ścięgien. Skóra sprawiała wrażenie cienkiej jak pergamin, podobnej do poszarpanego brązowego papieru do pieczenia.

– Na pierwszy rzut oka nie widzę żadnych oznak udziału osób trzecich – oznajmiła Wiger. – Oczywiście, wysłałam próbki do analizy, ale z doświadczenia wiem, że o ile nie użyto wyjątkowo świńskich trucizn, powinnam dostrzec rezultaty ich użycia. Nawet jeżeli jest to trudne do dowiedzenia. W przypadku znacznej części z nich już po rozkładzie chemicznym widać skutki w postaci odmiennego zabarwienia skóry zwłok, ich nietypowego wyschnięcia albo ułożenia.

– Trudno mówić o naturalnym ułożeniu w przypadku zwłok, które ktoś przebierał – zauważyła Liza. W zetknięciu z merytorycznym, rzeczowym zachowaniem patolog Langer złagodniała, a nawet zdobyła się na nieco łagodniejszy ton niż dotychczas. Być może odeszła jej ochota na bezsensowną walkę oraz udowadnianie światu, że uwielbia być na bakier z całą ludzkością. – Oczywiście ma pani w tym swoje doświadczenie, ale weźmy pod uwagę, że najprawdopodobniej ciało kilkakrotnie balsamowano i malowano różnymi kosmetykami. Słyszała pani o albumie ze zdjęciami?

– Tak. Wysłano mi nawet skany części zamieszczonych w nim fotografii – odparła Wiger. – To dzięki nim mogłam przeanalizować proces rozkładu oraz konserwacji zwłok. Choć nie możemy mieć bezwzględnej pewności, że to te same szczątki, ale nie dostrzegam żadnych różnic...

– To chyba nie budzi wątpliwości.

– Może. W każdym razie ślęczałam nad tym w momencie, gdy zjawiliście się w moim gabinecie. Prawdę powiedziawszy, dywagowanie to nie moja działka, jednak w oparciu o materiał zdjęciowy pokusiłabym się

o tezę, że dziecko zmarło wskutek śmierci łożeczkowej. Choć oczywiście w żadnym raporcie nie wspomnę o tym nawet słowem.

Langer odwróciła się do patolog i zagryzła usta. Łypnęła na Remberta, który bezradnie wzruszył ramionami. Nie mieli żadnego konkretnego tropu, a sprawa wydawała się jeszcze bardziej skomplikowana, niż była wówczas, zanim zjawili się w zakładzie medycyny. Właściwie każdy trop, który się pojawiał, wiódł prosto w ścianę ślepego zaułku. Nic z niczym się nie łączyło, a poszczególne elementy wręcz zdawały się ze sobą sprzeczne.

– Czy opierając się na pani doświadczeniu, możemy przyjąć, że to dziecko nie zostało złożone w jakiejś symbolicznej ofierze? – Rembert chciał odrzucić choćby część teorii, lecz zaraz dodał: – Wystarczy mi pewność sięgająca jakichś pięćdziesięciu jeden procent...

Wiger zdecydowanie skinęła głową i splotła ręce na piersi.

– Tak – odparła. – Ale to nie jest wiedza oparta na doświadczeniu patologa. O ile mi wiadomo, nie istnieją rytuały ofiarne, w których samo pozbawienie życia odbywa się w sposób skryty. Wręcz przeciwnie. Ofiary składa się ostentacyjnie...

– Albo ostentacyjnie się je prezentuje – sparowała Langer. – Co być może w czyimś chorym umyśle wyszło na to samo. Wtedy jednak musimy przyjąć, że sprawca chciał, aby te zwłoki zostały odnalezione...

## 41

– Musimy znaleźć potencjalnego ojca.

Langer ostentacyjnie schowała telefon do kieszeni i skupiła się na prowadzeniu auta. Właśnie zakończyła rozmowę z jednym z sierżantów przydzielonych do jej zespołu, w trakcie której nakazała, aby zaordynował poszukiwania mężczyzny z fotografii. Sprowadzało się to do wyostrenia jego wizerunku na podstawie zdjęć, przeprowadzenia wywiadu w terenie oraz stworzenia ewentualnych grafik. Należało przewidzieć rozmaite

scenariusze, na wypadek gdyby poszukiwany zapuścił brodę, włosy lub starał się w inny sposób odmienić swój wygląd. Takie były pierwsze, najważniejsze kroki. Na razie Liza zamierzała uniknąć angażowania w poszukiwania mediów, co zazwyczaj było krokiem drugim. Z doświadczenia wiedziała, że wówczas pojawia się mnóstwo spekulacji oraz błędnych ruchów, a tych mieli już teraz aż nadto. Mogliby nimi obdarować kilka innych śledztw.

Tymczasem dochodziła północ i Langer postanowiła, że bezwzględnie muszą odpocząć. Zasłużyli z Orestem na kilka chwil snu. Kolejny dzień zapowiadał się naprawdę męcząco, więc nawet gdyby miała nie zmrużyć oczu, chciała przynajmniej zafundować chwilę odpoczynku mięśniom. Poza tym w końcu powinni cokolwiek zjeść. Oczywiście oddzielnie.

– Odwiozę cię pod twoje mieszkanie... – oznajmiła kilka minut po tym, jak wyjechali z parkingu zakładu medycyny. – Za kilka godzin widzimy się znowu.

– Ale...

– Nie zaczynaj. Jeśli dalej myślisz o tym, co było na plaży... A właściwie czego nie było...

Rembert pokręcił głową. Był poważny i zadumany. Langer nawet przeszło przez myśl, że właśnie w ten sposób stara się wkraść w jej łaski, lecz kiedy się odezwał, pojęła, że naprawdę myślał o czymś innym.

– Mam przed oczami ten cholerny album... – oznajmił grobowym tonem. – Wiesz, zdjęcia *post mortem* to była niegdyś ogromna działka rynku, jeśli nie sztuki w ogóle, to przynajmniej fotograficznego. Wykonywano je przede wszystkim w kulturze anglosaskiej, ale znane są również ich liczne przykłady z terenów Polski, Europy Zachodniej, krajów iberoamerykańskich... Przed stu laty to było coś całkowicie normalnego. Po śmierci zwłoki jako tako ogarniano, albo i nie, po czym niesiono do atelier. W niektórych z nich istniały nawet specjalne stelaże, do których mocowano truposzy, aby ci ładnie zapozowali. Pamiętaj, że to także czasy, gdy zrobienie zdjęcia trwało dłużej niż naciśnięcie przycisku w telefonie... Istnieli fotografowie specjalizujący się tylko w takich sesjach. Na życzenie

rodziny mogli przybyć do domu zmarłego, mieli pomocników zajmujących się pośmiertnym make-upem i tak dalej.

– Czy to prowadzi nas do jakichś konkretnych wniosków, czy gadasz tak sobie?

– Nie wiem. Po prostu porządkuję myśli. – Orest westchnął. – Wiesz, że zdjęcie pośmiertne ma nawet Adam Mickiewicz? Choć znacznie więcej ludzi kojarzy jego maskę pośmiertną, a raczej jej odlew... Po tym, jak zmarł w Konstantynopolu, ktoś podszedł do jego łóżka z aparatem, rozłożył całą maszynę i cyknął sweet focie. Niezwykłe, prawda?

– Oreście, gadasz, jakbyś wpadł w trans...

– Zdjęcia trupów nadal funkcjonują w obiegu kulturowym, wyłamując się z tabu. Pomyśl na przykład o zwłokach Benedykta XVI. Widział je przecież cały świat! Poza tym moglibyśmy przyjąć, że...

Nagle Rembert zamilkł. Znajdowali się już nieopodal jego mieszkania i Langer zwolniła. Kluczyła autem osiedlową uliczką, poprzecinaną progami spowalniającymi prędkość niczym front pierwszowojenny zasiekami. Ostatnie kilkaset metrów pokonali niemal w tempie marszu. Wreszcie Liza zatrzymała auto, ale nie wyłączyła silnika. Orest znacząco odchrząknął.

– Może dokończymy to, co przerwał nam tamten telefon?

– Niczego nie zaczęliśmy – odparła Langer. – Wracaj do domu, jutro znów jest dzień.

Odwróciła się, patrząc przed siebie i zacisnęła usta. Orest przez chwilę ją obserwował, aż wreszcie nacisnął przycisk rozsuwający drzwi. Wystawił na zewnątrz nogi i się zawahał, jakby liczył, że Liza zmieni zdanie.

– Idź już – syknęła. – Zmykaj stąd!

Dodała gazu, zmuszając go, by czym prędzej wyskoczył z auta.



Mężczyzna wyrzucił dopalonego skręta i głęboko wciągnął powietrze. Czuł przyływ energii oraz radości. Jednak, co najważniejsze, po tych kilkunastu zaciągnięciach jego organizm przygotowywał się do snu. Musiało być już koło północy i marzył, że kiedy tylko wróci do domu, od razu położy się do łóżka. Następnie w ciągu kilku minut przyjdą fantastyczne sny. Często ich nie pamiętał, ale gdy kiedyś na szafce nocnej trzymał notatnik, szybko zapełnił go niesamowitymi wizjami. Sądził, że gdyby któregoś razu wydał je w formie książki, mogłaby się okazać bestsellerem. Kiedyś sam zaczytywał się w dziełach powstałych w trakcie narkotycznych wizji, na czele z pamiętnikiem pewnego amerykańskiego dziennikarza, który udał się w ćpuński rajd do Las Vegas. Jego nazwisko wyleciało mu teraz z pamięci.

Włożył dłonie do kieszeni i ruszył przed siebie. Od morza wiał zimny wiatr, a temperatura powietrza gwałtownie spadała. Niebo całkowicie zasnęło chmury.

„Właśnie w taką pogodę budzą się demony” – pomyślał i ta myśl wydała mu się bardzo zabawna. Zaśmiał się na głos, tym bardziej że w półmroku dostrzegł maszerującą z naprzeciwka postać. Zbliżała się szybko, jakby podbiegała, wyjątkowo się śpiesząc. Przypatrywał się jej, nie przestając się uśmiechać. Miał ochotę zapalić jeszcze jednego skręta, lecz zostały mu tylko papierosy. Zawsze gdy łączył nikotynę z trawką, kolejnego dnia paskudnie bolała go głowa, więc wołał tego nie robić. Pomyślał, że w monopolowym na końcu bulwaru kupi małe, mocne piwo. Jedno. Nie więcej. No, może duże, ale niskoprocentowe.

Postać idąca z naprzeciwka minęła go, maszerując pod wiatr i pochylając się. Mężczyzna zwrócił uwagę na jej dziwne, pokraczne ruchy, na specyficzne ułożenie stóp, wreszcie na... Nie dokończył tej myśli. To wydało mu się niemożliwe.

Odrócił się, lecz w tej samej chwili ktoś z potworną siłą chwycił go za gardło, a drugą ręką oplótł jego tułowie i przeciągnął go, niemal bezwładnego, ku plaży. Mężczyzna usiłował walczyć, ale nie miał dość siły. Jego przeciwnikiem był prawdziwy demon, mocarny potwór, który

bawił się nim niczym szmacianą lalką. Poza tym zaciśnięte na gardle palce tłuły jakikolwiek krzyk.

– Puść mnie... – Mężczyzna jęknął dopiero wtedy, gdy został dosłownie rzucony na piasek tuż obok brzegu morza. – Co ja...

W blasku jakiejś dalekiej latarni wydawało mu się, że dostrzega twarz potwora. Serce podeszło mu do gardła i przeszło mu przez myśl, że to musi być jedynie koszmar. Okropny zwid lub wytwór umysłu rażonego apopleksją. Przerabiał to już w trakcie swoich najgorszych chwil. Może ponownie się stoczył i rzeczywistość myliła mu się ze światem sadomasochistycznych fantazji.

Nie. Ból ramienia, gdy potwór go za nie chwycił, był całkowicie realny. Podobnie jak smród jego oddechu oraz ostrość paznokci, które wbił w jego skórę.

– Wszystko jest przygotowane na twoją śmierć – wyszeptało monstrum. – Będziesz umierał bardzo długo i bardzo boleśnie... Rozumiesz?

Potężny cios w twarz wybił mężczyźnie kilka zębów i wypełnił jego usta krwią. Potwór, nie zwlekając ani chwili dłużej, wepchnął mu w nie grubą, wilgotną szmatę. Zawiązał ją z tyłu jego głowy tak mocno, że naderwał kąciki warg. Wtedy wygiął mu rękę i zakął ją w kajdanki. Po chwili to samo zrobił z drugą ręką, po czym pchnął więźnia ku morzu.

– Spójrz... – warknął. – Patrz! Napatrz się, póki jeszcze możesz.

Potwór podciął mężczyźnie nogi i pchnął go w fale. W piasek był tu wbity jakiś pręt lub coś podobnego, do czego monstrum momentalnie przymocowało kajdanki. Wszystko stanowiło kolejne kroki jego uprzednio przygotowanego, chorego planu.

Mężczyzna siedział po szyję w lodowatej wodzie, a fale raz po raz obmywały mu twarz i wdzierały się do nosa. Natychmiast zaczął się dławić. Knebel dodatkowo utrudniał oddychanie, a zimno wody, wbrew pobudzeniu adrenalina, wręcz paraliżowało jego członki. Trząśł się, jakby telepał nim atak padaczki. Płakał, choć nikt tego nie mógł dostrzec.

– Nadchodzi przyływ.

Potwór wygiął ramiona mężczyzny tak mocno, że ten musiał się niemal położyć. Kajdanki zostały zablokowane tuż nad poziomem piasku. Tymczasem zgodnie ze słowami monstrum każda kolejna fala zdawała się wdzierać dalej w głąb lądu. Coraz częściej i coraz wyżej pokrywały mężczyznę, umożliwiając mu oddychanie jedynie w krótkich przerwach. Niebawem morze całkowicie go pochłonęło.

## DZIEŃ KOLEJNY

Wokół poniósł się przeraźliwy jazgot.

Rembert zamrugał. W pierwszej chwili nie wiedział, co się dzieje ani gdzie się znajduje. Dopiero po sekundzie lub dwóch zdał sobie sprawę, że przeraźliwy jazgot był fragmentem utworu, który niedawno ustawił jako dzwonek telefonu. Wówczas piosenka, której tytuł wyleciał mu już z głowy, bardzo mu się podobała. Musiał być pod wpływem jakichś psychotropów, bo teraz przypominała ryk młota udarowego. Albo raczej całej ekipy budowlanej wyposażonej w takie młoty.

– Cholera...

Komórka leżała tuż przed nim, na blacie prostego, niewielkiego biurka. Po raz pierwszy od dawna zasnął na fotelu, z długopisem, który jakimś cudem nie wypadł mu z ręki, oraz otwartym laptopem na kolanach. Obok niego leżał zeszyt, kilka książek i luźnych kartek. Nieco dalej otwarta butelka wina, którym raczył się bez zaprzątania sobie głowy kieliszkiem.

Powoli, w rytmie wykuwanego betonu, wracały do niego wspomnienia sprzed paru godzin. Sporządzał profile ofiar oraz mordercy, co wydawało się iście syzyfową pracą. Zaczynał je i wracał do poprzednich, gdyż nie potrafił uchwycić żadnych istotnych elementów. Poruszał się jak we mgle, nie bardzo wiedząc, na czym opierać całą systematykę projektu. W klasycznych przypadkach punkt wyjścia stanowiło modus operandi mordercy, sprowadzające się choćby do podobieństw między ofiarami. Niektórzy wybierali je ze względu na profesję, gustując na przykład w prostytutkach, inni woleli blondynki, jeszcze inni młodych chłopców. Wystarczyły te trzy typy ofiar, aby na sprawcę zabójstw padło mocniejsze

światło. Morderca prostytutek stanowił przykład tak zwanego „zbawiciela”, chcącego oczyścić świat z przedstawicielek niegodnego – jego zdaniem – zawodu. Celowanie w blondynki mogło mieć zdecydowanie więcej powodów, ale co do zasady sprowadzały się bądź do pożądania seksualnego, bądź do sposobu radzenia sobie z traumami. Natomiast gustowanie w chłopcach stanowiło przejaw czystej degeneracji.

Oczywiście wszystkie trzy powyższe kategorie bazowały na typowym sprawcy seryjnych zabójstw – dwudziesto- lub trzydziestokilkuletnim mężczyźnie o skłonnościach psychopatycznych. Potem można było analizować jego potencjalną przeszłość, doświadczenie zawodowe, inteligencję, a nawet charakter wykonywanej pracy lub miejsce zamieszkania. Po nitce do kłębka.

Liczył się sposób zadawania śmierci, który zazwyczaj bywał elementem charakterystycznym dla działania każdego sprawcy. Bywali nożownicy i dusiciele, bywali mordercy, którzy zabijali ofiary strzałem z pistoletu lub katowali je na śmierć. Sposób prowadzenia cięcia nożem mógł wiele powiedzieć o sile oraz budowie anatomicznej sprawcy. Dusiciele miewali wyjątkową konstrukcję psychiczną pozwalającą im na niemal intymny kontakt z umierającą ofiarą. Strzelcy okazywali się zazwyczaj wycofani i tchórzliwi, bojąc się spojrzeć morderczym w oczy, choć to również można było wywnioskować dodatkowo po miejscu postrzału. Liczba strzałów albo zadanych ciosów pomagała określić determinację sprawców, kąt wbijania noża, ich posturę oraz sprawność fizyczną... Każdy, nawet najdrobniejszy detal składał się na jedną, wspólną całość.

Tymczasem w tej sprawie trudno było mówić o tożsamości psychicznej ofiar oraz sprawcy. Wydawało się, że ani dla jednych, ani dla drugiego nie istnieje żaden wspólny mianownik. Przez to Rembert trudził się, nabierając wątpliwości co do własnych umiejętności.

W pewnym momencie, chwytając się brzytwy, zaczął nawet gromadzić dane w tabelach oraz nanosić je na wykresy, które opracowali specjaliści FBI. Ta stosunkowo nowa metoda sprowadzała się w przypadku sprawców wyjątkowo skomplikowanych pod kątem psychologicznym. Wymagała

jednak ogromnego skupienia i nakładu pracy, przy której w pewnym momencie Orest najzwyczajniej wysiadł. Nie pamiętał, kiedy zrobił się nader senny i dlaczego nie przeniósł się do łóżka. Zapewne przyczyniło się do tego również wypite do połowy wino.

– Cholera... – mruknął po raz kolejny.

Jazgot powtórzył się i wjął w najgłębsze zakamarki jego mózgu. Otrząsnął się jak mokry pies, po czym sięgnął po telefon. Odebrał, nie patrząc, kto dzwoni.

– Halo?

– Nie mów, że spałeś! – W przeciwieństwie do niego Langer wydawała się kompletnie rozbudzona i rozentuzjasmowana.

– Nie... Ja tylko...

– Wiesz, co się stało?

– Hmm... – Orest westchnął i przeczesał palcami włosy. Był nadal lekko otumaniony. – Co takiego? Chyba pochłoneła mnie praca...

– W te pędy zbieraj się na miejsce. Widzimy się jak najszybciej.

– Taa... Ale... Gdzie jest to miejsce?

– Włącz telewizor albo radio, a od razu się dowiesz.

Po tych słowach Liza się rozłączyła.

## 44

Ostatecznie Langer zaproponowała Rembertowi podwózkę. Zapewniła, że tym razem pojawi się służbowym bmw, ale Orest zmusił ją, by dała mu słowo honoru, że to on poprowadzi. Zrobiła to, lecz gdy na osiedlowym parkingu Rembert stanął obok drzwi kierowcy, opuściła szybę i szeroko się uśmiechnęła.

– Obiecanki cacanki – bąknęła. – Sorki, ale spodobała mi się ta fura.

– W takim razie pojedę swoim.

Orest natychmiast obrócił się na pięcie i skierował w głąb parkingu. Czując na sobie spojrzenie Lizy, podszedł do starego mercedesa 124, po czym wsiadł do środka.

– Panie obrażalski! – Liza wrzasnęła tak głośno, że słysząc ją było zapewne na całym osiedlu. – Ścigamy się?

Orest nie podjął wyzwania. Nie chciał również dać się upokorzyć, więc z gracją, dostojnie wytoczył się wielkim autem na osiedlową uliczkę, a potem skierował w stronę wybrzeża. Rzeczywiście, gdy tylko włączył telewizor, od razu załapał się na relację na żywo z miejsca odnalezienia kolejnych zwłok. Dziennikarze nie zostali jeszcze dopuszczeni bliżej i nikt nie odpowiadał na ich pytania, więc poza zamiarami lokalizacyjnymi nie było wiadomo nic więcej. Przynajmniej potrafił oddzielić domysły dziennikarskie od ich faktycznych ustaleń. Po obejrzeniu dwóch relacji zawierających niemal sprzeczne szczegóły nie było to nader trudne.

Langer oczywiście pojawiła się na miejscu zdarzenia przed nim. Jednak musiała umyślnie zwalniać lub jechać znacznie bardziej przepisowo niż zwykle, gdyż kiedy zatrzymał się nieopodal promenady, właśnie wysiadła z nieoznakowanego radiowozu. Natychmiast go wypatrzyła i radośnie mu pomachała. Uśmiechała się tak szeroko, jakby kolejne zwłoki dodały sensu jej życiu.

– Tylko się droczyłam – parsknęła, gdy Orest się do niej zbliżył. – Dałabym ci poprowadzić. Naprawdę.

– Już ja cię znam...

– Sam mówiłeś, że wymykam się twoim profilom. Zresztą chyba tak samo jak nasz obecny sprawca.

Orest spojrzał na nią spode łba i postawił kołnierz cienkiego, jasnego płaszcza. Od morza wiał lodowaty wiatr, a powietrze było tak wilgotne, że w ciągu kilku chwil było się mokrym, jakby padała mżawka. Za moment oboje przeszli przez bramkę prowadzącą na plażę i zobaczyli całe zbiegowisko. Techników, ekipę strażacką, kilkunastu policjantów, patrol z psem tropiącym...

– Co za cyrk – bąknęła Liza. – Prosiłam tylko, żeby pokazać pismakom, że na nic nie oszczędzimy sił ani środków. Gdyby nie to, że zwietrzyli trop,

nalegałabym, aby pojawiło się tu o połowę mniej ludzi.

– Dziennikarze połączyli sprawy? – zagadnął Orest. – Nie zdążyłem dokończyć przeglądu wiadomości...

– A bo ja wiem? A my je już połączyliśmy?

Langer wzruszyła ramionami i powoli podążyła plażą.

– Stawiasz na ojca tego dziecka z trumny, prawda? Chciałabyś się założyć, że to jego trup?

– Nie lubię zakładów, Oreście. Nie ufam losowi i nie wierzę, że mogłabym mieć w życiu farta.

– No tak... Melancholia.

Rembert jeszcze raz poprawił kołnierz płaszcza i podążył o krok przy niej. Na tyle blisko, by choć w minimalnym stopniu osłaniać ją przed wiatrem. Pośpiesznie kierowali się ku miejscu odgrodzonemu policyjną taśmą.

## 45

– Na pewno nie chcesz się założyć? Nie ufasz swojemu przeczuciu czy nie chcesz się nim podzielić? A może wolisz nie zapeszać? To o to chodzi, prawda?

Rembert jeszcze raz zerknął przez ramię na Langer, lecz ta nie zwróciła na niego żadnej uwagi. Podeszła do jednego z kryminalistyków i skinęła w stronę dwukolorowej taśmy.

– Czy wolno nam tam wejść? Sądzę, że morze i tak zmyło wam wszystkie możliwe dowody.

– Właśnie skończyliśmy robienie zdjęć, ale...

– Zachowały się ślady butów lub stóp? – Rembert wszedł technikowi w zdanie. – Warunki są, jakie są, ale mam nadzieję, że nie zadeptaliście całej plaży w promieniu kilkuset metrów...



– Nie było czego zadeptywać – odezwał się sierżant, u boku którego kroczył owczarek alzacki. – W nocy padało, więc plaża była niemal zmyta. Pies nie łapie żadnego tropu. Wiatr rozwiął ślad zapachowy, więc łazimy tu tylko dla picu. Jakiś pismak zrobi może reportaż o pełnej sukcesów karierze Bruna.

Na dźwięk swojego imienia owczarek zastrzygł uszami.

– Czyli na razie nie mamy niczego? – skwitowała ponuro Langer. – A morze dokończyło dzieła i pewnie również nasz truposz jest czysty jak rasa aryjska? Żeby nie przyrównać go do łyzy...

– Dokładnie tak – zgodził się technik. – Marnie to widzę.

– W takim razie skoro zakończyliśmy sesję fotograficzną, już nic nie stoi na przeszkodzie, żebyśmy przyjrzeni się zwłokom z bliska. Oreście...

Langer skinęła na Remberta i po chwili, nie bacząc na protesty technika, przeszli pod taśmą. W ciągu ostatnich godzin morze już się cofnęło, odsłaniając sine, kompletnie mokre zwłoki. Ręce zmarłego były wygięte ponad głową do tyłu i przykute kajdankami do metalowego pręta. Liza od razu na niego wskazała.

– Czyżbyśmy mieli przed sobą narzędzie zbrodni, za pomocą którego z tamtej kobiety zrobiono kompletną mielonkę? Jak myślisz?

– Myślę, że to dywagacja jak każda inna – odparł Rembert. – A od tych miałaś się trzymać z daleka.

– Trafiony zatopiony. Oby szło ci dzisiaj tak dalej, Oreście.

Langer przykucnęła obok ciała. Twarz zmarłego była obrzęknięta i jasnofioletowa, oczy wytrzeszczone, a usta zamknięte. To właśnie one zwróciły uwagę Lizy. Nachyliła się ku nim i skłoniła głowę. Jeszcze raz zerknęła na twarz mężczyzny.

– To chyba nie jest ten facet ze zdjęć... – stwierdziła. – Ma zupełnie inny kształt twarzy i ust. A skoro to nie jest nasz tatusiek, to właśnie on wskakuje chyba na szczyt listy podejrzanych. Przynajmniej z braku laku.

Rembert skinął głową. Również bacznie przyglądał się twarzy zmarłego.

– Tak, to z pewnością ktoś inny... – mruknął. – Gdybyś się zakładała, przegrałaś. Namówiłbym cię niczym najprzebieglejszy krupier.

– Więc ty również obstawiałeś, że to może nie być on?

– Nie miałem pojęcia, ale zdawałem się na przecucie.

Langer sarkastycznie parsknęła i skinieniem ręki przywołała technika.

– Masz skalpel? – zapytała, przekrzykując huk fal. – Szczyryk albo ostry nóż?

– Po co to pani?

– Muszę coś pilnie sprawdzić. I nie chcę dwukrotnie pytać o to samo, dlatego miło by było, gdybyś...

Kryminalistyk bez słowa podszedł do walizki z narzędziami, po czym wrócił, trzymając wielorazowy skalpel. Nieufnie podał go Lizie.

– Spoko loko. – Komisarz zdjęła zabezpieczenie przypominające skuwkę pióra i nachyliła się nad zwłokami. – Od tego momentu za wszystkie przypały ponoszę odpowiedzialność własną głową. Nie macie się czym martwić.

– Ale...

Technik wstrzymał powietrze, gdy Langer poprowadziła ostrożne cięcie pomiędzy wargami zmarłego. Momentalnie jego usta otworzyły się, a na wierzch wysunął obrzmiały, fioletowy język. Gdzieś w głębi coś błysnęło.

– Moneta... – skwitowała Langer. – Sprawca musiał zakleić mu usta, żeby morze jej nie wymyło. To dla niego niezmiennie ważny symbol. Opłata za przejście na drugą stronę czy kie lichu? Jak pan sądzisz, panie profiler?

Orest wzruszył ramionami i się wyprostował. Sądził, że tym razem to Langer będzie chciała wyciągnąć okolicznościówkę z ust zamordowanego. Nie czekając, aż to zrobi, sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki i wyjął z niej zmięty wydruk zeskanowanych stron zeszytu ze zdjęciami.

– Chyba powinniśmy coś sprawdzić na własną rękę – stwierdził ponuro. – Rzeczywiście w tej chwili zaktualizował się nasz ranking podejrzanych.

– Wczoraj, gdy o to zapytałem, powiedziano mi, że nie było szansy przesłuchać tych ćpunów. I właściwie nikt nawet się nie zamierzał za to zabrać. Nie mamy specjalistów, którzy potrafiliby wyciągnąć coś z tak zdegenerowanych umysłów...

Tym razem to Rembert prowadził nieoznakowane bmw, podczas gdy mercedesa zostawił na parkingu niedaleko plaży. Langer siedziała obok niego i bębniła palcami w bok fotela, jakby w ten sposób zamierzała nakłonić partnera do szybszej jazdy.

– Nie wiem, dlaczego nie można ich zabrać do jakiegoś ośrodka albo na wytrzeźwiałkę – ciągnął profiler. – Gdyby zmusić ich do odstawienia swoich ulubionych ciasteczek, mogliby zdradzić jakieś szczegóły...

– Szczegóły? Co ty pleciesz? Byłeś kiedyś na hajku po cracku albo innym świństwie?

– Nie, ale co to ma do rzeczy?

– To, że prędzej wymyślą piękną historyjkę, na której weryfikację stracimy mnóstwo czasu, niż przypomną sobie, co robili na fazie. Oni naprawdę nie muszą fantazjować o Chrystusie ukazującym się Marsjanom. Często myślą bardziej logicznie niż trzy czwarte społeczeństwa.

– Mówisz, jakbyś wiedziała o ćpaniu więcej, niż powinnaś.

Langer spojrzała na Remberta z ukosa i wymownie westchnęła. Poprawiła się w fotelu, pograżając się jednocześnie we własnych myślach. Kolejna ofiara wymagała identyfikacji. Bez tego nadal dreptali w miejscu, dopasowując modus operandi sprawcy jedynie do własnych wyobrażeń. Albo do pobożnych życzeń.

Tymczasem w tym przypadku zdawało się, że sposób działania mordercy wymyka się powszechnie utartym schematom znanym z opracowań naukowych. Z pewnością sprawca miał ogromną

cierpliwość. Mogły ją napędzać choroba psychiczna, popęd lub nawet głęboka uraza żywiona wobec ofiar. Jednak trudnym było pojęcie, że można bez mrugnięcia okiem przez dwa lub trzy kwadransy obserwować tonącego człowieka. Tym bardziej że w przypadku ostatniej ofiary do utonięcia dołączały wychłodzenie organizmu oraz zachłyśnięcie. Liza mogła sobie wyobrazić, co działo się z mężczyzną przed śmiercią.

Utraty świadomości przerywane torsjami i dławieniem się własnymi wymiocinami. Próby uchwycenia oddechu pomiędzy falami połączone z opijaniem się słoną wodą. Obrzęk płuc, otumanienie, walka z treścią żołądkową, która zatrzymywała się na kneblu. Jego ślady znaczyły kąciki ust zamordowanego. Langer od razu je dostrzegła i zrozumiała mechanizm działania sprawcy. Ten odczekał, aż ofiara utonie, wtedy wyjął knebel, włożył do ust trupa monetę, a potem zakleił je jakąś substancją. Zapewne w tamtym momencie woda wokół zwłok nie sięgała powyżej jego kolan. Można to było sprawdzić, lecz raczej nie przełożyłoby się to na żadne konkrety.

Delektowanie się cierpieniem ofiar stanowiło cechę najgorszych seryjnych morderców znanych ludzkości. Zazwyczaj stan podniecenia trwał jednak tylko kilkadziesiąt sekund lub co najwyżej kilka minut. Potem, gdy tylko ustępował, mordercy porzucali dogorywające ofiary lub je pośpiesznie dobijali. W tym przypadku sprawca spokojnie czekał, aż mężczyzna w okropnych mękach wyda ostatni dech. Pomiędzy nim a kimś takim jak Fritz, trzymający córkę w piwnicy przez całe lata, wcale nie było przepaści. Chodziło o motywacje. Rembert z pewnością wiedział na ten temat więcej, lecz Langer chwilowo wolała nie rozpraszać swoich myśli.

Kiedy tylko wsiedli do auta, postanowiła zweryfikować pewną tezę. Jej pomysł nie przyniósł jednak żadnego przełomu, gdyż Milena Dycka potwierdziła, że mężczyzna ze zdjęć uchodził za męża lub nieformalnego partnera zamordowanej kobiety. Odpowiednie urzędy miały jeszcze zweryfikować tożsamość tej pary. W kontaktach z opieką społeczną posługiwali się nazwiskiem Miler, lecz nie posiadali żadnych dokumentów tożsamości. Zbadanie meandrów przeszłości tych ludzi mogło pomóc

trafić na trop mężczyzny lub ułatwić zrozumienie motywacji mordercy – nawet jeżeli nie była to jedna osoba. Nie budziło jednak najmniejszych wątpliwości, że sprawa ma jakiś związek z tym squatem oraz tą konkretną parą.

– Jesteśmy na miejscu.

Głos Remberta wyrwał ją z zamyślenia. Otworzyła oczy i spojrzała na ponurą, chylącą się ku upadkowi kamienicę. Tkwiło w niej coś, co przyciągało jak magnes. Tym czymś było najczystsze zło. Choć ta myśl wydała się jej banalna, musieli dowiedzieć się o nim więcej. Jak najszybciej.

## 47

Potwór czekał. Był cierpliwy.

Czas płynął dla niego nieco inaczej niż dla większości ludzi. Rzadko kiedy spoglądał na zegary i niemal nie korzystał z telefonu komórkowego. Przynajmniej nie w sposób, w jaki robili to inni. Ukradziony aparat pozbawił karty SIM, a potem usiłował rozebrać na części. Zawsze pasjonowała go technika, lecz w tym przypadku okazał się bezradny. Nie dało się zajrzeć do wnętrza aparatu, nie uszkadzając całości. To we współczesnym świecie bardzo mu się nie podobało. Kiedyś, gdy na targowisku staroci zwędził zegarek kieszonkowy, udało mu się rozebrać go na najmniejsze części, a potem złożyć tak, że ten chodził. Takie zabawy przynosiły drobną satysfakcję. Bywały rozrywką, która pozwalała oderwać się od rzeczywistości.

Jego umysł potrzebował jednak danych. Choć w powszechnym rozumieniu zapewne wydawał się wypaczony, nieustannie kierował nim ogromny głód wiedzy. Dlatego szybko zrozumiał zasadę działania telefonów komórkowych oraz ich możliwości – tak inne od tych, do których zasadniczo zostały stworzone. Zainicjowanie wybuchu bomby

było jedną z nich. Telefon mógł zostać zastąpiony przez pilota telewizyjnego, konsolę komputerową lub dżojstik służący do obsługi elektrycznego samochodzika. Świat był pełen narzędzi zagłady, choć ludzie nigdy się nad tym nie zastanawiali. Mało kto patrzył na węgiel jak na substancję wybuchową. Nikt nie pamiętał, że z pestek wiśni lub czereśni można było pozyskać jedną z najgroźniejszych trucizn. Przy użyciu dezodorantów, nafty kuchennej oraz zapalniczki dałoby się skonstruować bombę o sile rażenia konwencjonalnego pocisku artyleryjskiego. Szybkowar mógł robić za naprawdę zaawansowany granat. Liczyła się tylko wyobraźnia oraz determinacja. Obie te umiejętności potwór wykształcił przez ostatnie lata swojego życia.

Teraz cierpliwie stał w bramie kamienicy, którą od ulicy dzieliła metalowa krata. Przed niespełna dekadą, w trakcie rewitalizacji, usunięto stare drewniane skrzydła, montując to ustrojstwo rodem z więzienia dla najgorszych przestępców. Jednak on nie zwracał na to uwagi. Ważne, że przy użyciu prostego wytrychu, kiedy tylko chciał, otwierał tę bramę i wchodził na podwórze. W najbliższej okolicy znał wszelkie zakamarki oraz sekretne przejścia. Wiedział, jak łączą się piwnice oraz podziemne korytarze, o których istnieniu zapomniano całe wieki temu.

Czas naprawdę był względny. Potwór potrafił całymi godzinami stać w miejscu i obserwować. Życie nauczyło go czuć się najlepiej z samym sobą oraz z własnymi myślami. Być może właśnie dlatego stał się tym, kim się stał. Być może zbyt długo kontemplował te same tematy oraz własną pokręconą przeszłość.

Nieważne. Oparł się plecami o zimny mur i złożył na piersi mocarne ręce. Oddychał bardzo powoli, wsłuchując się w pracę swojego serca. To również było rezultatem wieloletniego przyzwyczajenia. Niczym niektóre zwierzęta potrafił przejść w swoisty stan hibernacji albo czuwania, kiedy niemal nie czuł zimna ani gorąca, głodu ani bólu. Tak jakby jego dusza przebywała wtedy gdzieś zupełnie indziej. Gdzie? Nigdy się nad tym nie zastanawiał...

Z letargu ocknął się dopiero, gdy przed kamienicą po drugiej stronie ulicy zatrzymało się czarne bmw. Ostrożnie cofnął się w głąb bramy

i spode łba obserwował wysiadającą z niego parę.

Jasnowłosa, wysoki mężczyzna ubrany był w luźny beżowy płaszcz. Poruszał się giętko i szybko, jednocześnie uważnie rozglądając się dokoła. Jego twarz zdradzała serdeczną poczciwość oraz wręcz dziecięcą, przepastną niewinność. Towarzysząca mu kobieta stanowiła w znacznej mierze jego przeciwieństwo. Bardzo poważna, kontrolująca każdy ruch oraz pełna ogromnej determinacji. W jej spojrzeniu tkwiła pewność siebie, ale przede wszystkim ogromna nieustępliwość. Bez wątpienia była gotowa wydrapać oczy każdemu, kto wszedłby jej w drogę. Nie. Ona nie drapała. Ona na pewno biła pięścią prosto w twarz.

Potwór obserwował, jak mężczyzna z kobietą maszerują ku przeciwległej kamienicy. Gdy zniknęli na jej podwórzu, powoli ruszył za nimi.

- Czekalem na was... - wyszeptał. - Przybywacie w samą porę. Nareszcie.

## 48

Langer postanowiła nie uruchamiać latarki. Główny korytarz kamienicy oświetlany był przez światło dnia przedzierające się między deskami oraz kartonami. Panował w nim głęboki półmrok, lecz przynajmniej na razie dawało się dostrzec zarysy przedmiotów i ewentualnych osób. Jak dotąd latarka była zbędna. Chodziło też o to, aby nikogo nie spłoszyć. A także by nie zwracać na siebie zbędnej uwagi.

- Ten korytarz ma kształt obrysu kwadratu. - Liza nakreśliła w powietrzu palcem bliżej nieokreśloną figurę geometryczną. - Wolę, żeby nikt nie wyszedł drugą stroną, gdy będziemy szli przed siebie.

- Chcesz się rozdzielić? - zdziwił się Orest. - Nie wiem, czy to najlepszy pomysł.

– Będziemy w zasięgu swoich głosów. To ledwie kilkadziesiąt metrów, a dzięki temu nikt się nam nie wymknie.

– Tyle że nie mamy bladego pojęcia, na kogo zwracać uwagę.

Langer obróciła w dłoni telefon i go włączyła. Na ekranie pojawiło się jedno z ostatnich zdjęć zamieszczonych w albumie. Przybliżyła je na tyle, by cały kadr zajmowała twarz mężczyzny.

– Zrób to samo – nakazała. – Pokazuj jego twarz każdemu ćpunowi i każdemu bezdomnemu. Niech cię nie zwiedzie, że ktoś śpi. Część z nich może być znacznie bardziej czujna, niż się wydaje.

– Obstawiam, że właśnie na tym parę osób spędziło wczorajszy wieczór. I ponoć nie znaleziono żadnych świadków...

– Co nie przeszkadza, abyśmy spróbowali sami. Chyba nie masz cykora, Oreście?

– Ja?

Rembert jedynie nerwowo się zaśmiał i włączył telefon. Otworzył zdjęcie przesłane mu właśnie MMS-em przez Langer.

– Oczywiście, że nie mam cykora. W końcu będziemy w zasięgu głosu, jak słusznie zauważyłaś, i to ledwie parędziesiąt metrów.

– No to jazda. Aha, i nie mów, że jesteś z policji...

– Ale?

– Wymyśl coś.

– Ja nie jestem z policji.

Jak na dany znak odwrócili się do siebie plecami i powoli ruszyli naprzód. Langer już po kilkunastu krokach natknęła się na mężczyznę zawiniętego w gruby pled. Oddychał ciężko i nierówno, lekko rżąc przez nos. Mimo to Langer nie miała wątpliwości, że jedynie głęboko śni. W dłoni niczym największy skarb ścisnął opróżnioną paczkę papierosów.

Kolejny bezdomny siedział oparty o ścianę, dokładnie naprzeciw okna zasłoniętego grubą folią. Gdy Langer znalazła się obok niego, nawet się nie poruszył. W padającym na niego delikatnym świetle przypominał posąg pomalowany bladymi barwami i przez stulecia owiewany przez wiatr.



– Halo! – Liza pstryknęła mu przed oczami. – Szukam dojścia do towaru... Muszę go mieć. Rozumiesz pan?

Mężczyzna nie odpowiedział. Patrzył się w ten sam punkt, a żaden z mięśni jego twarzy nawet nie drgnął. Rozszerzone do granic możliwości źrenice zdradzały, co mogło w tej chwili dziać się w jego umyśle.

– Cholera...

Langer wyprostowała się i ruszyła dalej. Po kilkunastu krokach skrzyła w prawo. Za załosem muru w mroku majaczył zarys dwóch przytulonych do siebie postaci, które coś bełkotały. Zaraz za nimi znajdował się chyba ktoś jeszcze. W powietrzu unosił się aromat niedawno palonego skręta.

Liza ostrożnie podeszła w stronę cieni, lecz w tym miejscu korytarz stał się naprawdę mroczny. Nie było żadnego źródła bezpośredniego światła, przez co widziała jedynie zarysy przedmiotów. Musiała się domyślać, jak wiele osób rzeczywiście znajduje się koło niej. Słyszała szmery oraz cichy stukot.

Nagle jeden z cieni poderwał się i rzucił się w jej stronę. Kolejny momentalnie do niego dołączył.

– Ty demonie! – Ktoś krzyknął dzikim, charkotliwym głosem. – Zgiń!

Nie budziło wątpliwości, że te słowa odnoszą się bezpośrednio do Lizy.

## 49

Langer zamarła w bezruchu. Wszystko rozgrywało się jak w filmie puszczone w zwolnionym tempie. Widziała poruszający się cień, czyjeś uniesione ramię oraz błysk metalowego przedmiotu. Jej umysł niczym obrazek z puzzli złożył te elementy do siebie. Działo się to jednak z niezwykłym opóźnieniem, szatkującym rzeczywistość na kolejne filmowe klatki.

Strzykawka zakończona igłą. Brudna i zapewne wielokrotnie używana do wtłaczania w żyły najgorszego syfu. Z mnóstwem bakterii oraz świństw, o jakich Langer nie miała nawet pojęcia.

Napięła mięśnie, gotowa uskoczyć, ale wszystko rozgrywało się zbyt szybko. Korytarz był na tyle wąski, że jedyna droga ucieczki wiodła do tyłu. Poruszyła się, lecz jednocześnie zahaczyła o czyjś nogę. W półmroku nie potrafiła rozróżnić kształtów, a pod wpływem adrenaliny straciła orientację. Jej organizm ostrzegał ją o niebezpieczeństwie nadchodzącym z każdej ze stron. O zagrożeniu wypęłzającym spod jej stóp i znad głowy.

– Zgiń! – powtórzył głos. A może to już raz wypowiedziane hasło ożyło w jej umyśle zwielenionym echem.

Wyprostowała się i odzyskała równowagę. Odruchowo sięgnęła ku pasowi, ale tego ranka przez pośpiech nie wzięła ze sobą pistoletu. Jej palce przecięły powietrze.

Strzykawka w piorunującym tempie spadała prosto na nią. Obserwowała igłę oraz zarys palca naciskającego tłok. Poczula okropny smród, który po chwili szczelnie wypełnił jej płuca i trzewia. Wiedziała, że nie uda jej się wywinąć. Nie miała czym się zasłonić, a poza tym nie była dość szybka.

– Giń, demonie!

Teraz wyraźnie usłyszała ponownie wypowiedziany rozkaz. Strzykawka spadała prosto na nią i Liza zdążyła jedynie odruchowo zamknąć oczy.

Wtedy rozległ się huk, coś przetoczyło się po podłodze, a następnie usłyszała krótkie przekleństwo. Otworzyła oczy i jej umysł dopiero wtedy przekalkulował kierunek możliwej ucieczki. Odskoczyła ku ścianie, ponownie potykając się o czyjeś nogi. Jak długa runęła na ziemię. Tuż obok swojej głowy zobaczyła leżącą strzykawkę oraz zarys postaci narkomana. Wstrząsnął nim gwałtowny atak apopleksji.

– Jezu, co jest?!

Tuż obok niej pojawił się Rembert. Odwrócił się do ćpuna wijącego się w konwulsjach, a potem ponownie do Lizy.

– Co tu się dzieje? – syknął przestraszony. – Wzywam pogotowie!

Langer wyciągnęła ku niemu dłoń.

## 50

– Już mu przechodzi. To zwykła delirka, a jego życiu bardziej zagrozi pobyt w szpitalu i odstawienie niż kilka kolejnych dreszczy.

Wypowiedziane chłodnym, rzeczowym tonem słowa Langer nieco uspokoiły Oresta. Mimo to nadal bacznie rozglądał się, usiłując przeniknąć wzrokiem panujący wokół półmrok.

– Nic ci nie jest? – zapytał, dotykając ramienia Lizy. – Co się stało?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia... – Komisarz nadal była nieco zdezorientowana. Starła się uspokoić oddech oraz zebrać myśli. – Ten ćpun zamachnął się na mnie strzykawką, a potem dostał ataku. Gdyby mnie trafił, zapewne mogłabym się już oswajać z myślą, że mam HIV i tysiąc innych gówien w pakiecie.

– Co za fart...

– Nie dla niego. Wziął mnie za jakiegoś demona. Słyszałeś, co krzyczał?

– Słyszałem jakiś bełkot, a potem ktoś przebiegł koło mnie, jakby się go wystraszył.

– Do licha, Oreście, miałeś pilnować, aby nikt nam nie uciekł... To mógł być nasz podejrzany! Jak mogłeś!

– Wybacz, ale byłem zajęty pędzeniem ci na pomoc.

Rembert jęknął. Włączył latarkę i poświecił na leżącego obok, zwiniętego w kłębek, mężczyznę. Atak ustąpił i zdawało się, że ten spokojnie zasnął. W głębi korytarza całej scenie przyglądało się dwoje przytulonych do siebie, oderwanych od świata narkomanów. Kobieta nieustannie coś mamrotała, a mężczyzna kołysał się do przodu i tyłu. Nie budziło żadnych wątpliwości, że jakkolwiek kontakt z nimi jest niemożliwy. Nie nadawali się na świadków.

– Nawet jeśli to był on – odezwał się z naciskiem Orest – uwierz, że ważniejsze było dla mnie ratowanie ciebie...

– Sama sobie dałam radę.

– Raczej pomógł ci czysty fart. Miałaś na siebie uważać!

Langer obruszyła się, słysząc te słowa. Momentalnie otrzeźwiała, zamrugła i wyniośle spojrzała na Oresta.

– Nie matkuj mi – wycedziła. – Nigdy.

– Ja tylko...

– Nieważne co. Chodź, spadamy stąd. Nic tu po nas.

Rembert wskazał palcem na leżącego mężczyznę i znacząco chrząknął.

– Nie powinniśmy go aresztować? Przecież...

– Nie żartuj. – Langer ucięła jego myśl. – W maszynie systemu penitencjarnego stoczy się jeszcze bardziej, a słowo daję, że nic z niego nie wyciągniemy. Miał zwid, tak jak dziesiątki innych, którzy siedzą nawet w ławach sejmowych. To nic niezwykłego.

Liza ruszyła do wyjścia. Obeszła kolejne leżące osoby, a wreszcie, gdy znalazła się na dworze, głęboko zaczerpnęła powietrza. Od razu poczuła się lepiej. Przymknęła oczy i wystawiła twarz ku niebu, pozwalając, by wiatr rozwiewał jej włosy.

– Nie poopalasz się – sarknęła Rembert. – Jeśli nie zobaczyłaś, mamy kompletne zachmurzenie. Chyba że boisz się promieniowania UV.

– Aleś ty zabawny. Lepiej spójrz, co...

Langer była gotowa wdać się w utarczkę słowną, lecz przerwał jej dźwięk dzwonka telefonu. Wyjęła go z kieszeni i natychmiast odebrała. Z mikrofonu dobiegł służbowy ton jednego z posterunkowych.

– Mamy świadka, który twierdzi, że... – Policjant zawiesił głos. – Lepiej sama powinna go pani przesłuchać, pani komisarz. To jakiś obłąd...

– Mam powtórzyć wszystko od początku?

Mężczyzna w sportowym stroju, w elastycznej koszulce ciasno opiętej na piersi, z ogromnym zegarkiem do mierzenia wszelkich parametrów ciała oraz w wieku tak nieokreślonym, jak nieokreślony bywa tylko wiek gorliwych podstarzałych atletów, ciężko sapnął. Nerwowo pokręcił głową i przeczesał palcami włosy, jakby chciał z nich zebrać pot. Zdziwiony, że te są suche, spojrział na dłonie. Wreszcie otarł ją o udo i ponownie się wyprostował.

– Wszystko już powiedziałem...

– Nie nam – zripostowała Langer. – Rozmowa nie była nagrywana, a ja chcę usłyszeć wszystko od A do Z. Naprawdę wszystko.

– Nie dziwię się, że ludzie nie chcą mieć z wami nic wspólnego...

– Co takiego? Czy pan robi z siebie idiotę, czy naprawdę nie rozumie, w jakiej sprawie tu przyszedł?

Langer niemal poderwała się od stolika, lecz Orest znacząco szturchnął ją pod białym. Przybrał najbardziej sympatyczną pozę, jaką potrafił, i uśmiechnął się przepraszająco.

– Takie są procedury – bąknął tonem zbitego psa. – Nic na to nie poradzimy, choć wiemy, jakie to kłopotliwe. Mogę zaproponować panu kawę...

– Nie pijam kawy.

– W takim razie przejdźmy do rzeczy, a szybciej będziemy mieli to z głowy i napije się pan tego, co pija.

Mężczyzna ponownie sapnął, po czym oparł się łokciami o blat stolika. Wbił wzrok w ścianę, jakby jeszcze raz kalkulował wszelkie fakty.

– Przyjechałem tu, bo dowiedziałem się o zabójstwie na plaży – wycedził, przeniósłszy wzrok na Remberta. Ostentacyjnie nawet nie zerkał na Langer. – Właściwie to krótka historia, bo wszystko wydarzyło się w ciągu ledwie kilku sekund...

– Dlatego proszę opowiedzieć ją tak dokładnie, jak tylko jest pan w stanie.

Mężczyzna wzruszył ramionami.

– Przed północą jechałem w tamtej okolicy rowerem. Wracałem do domu po trzydziestokilometrowym treningu, który urządzam dwa razy w tygodniu, utrzymując stałą prędkość, i...

– Przepraszam, ale nie o takie szczegóły mi chodziło. – Orest uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Co pan zobaczył?

– Co, a nie „kogo”, to jest właściwe określenie. Zobaczyłem postać pokrzywioną, jakby była wynikiem jakiegoś nieudanego eksperymentu medycznego lub ofiarą szeregu wypadków, nieludzko zniekształconą, kulawą, garbatą – wyrzucił mężczyzna na jednym wydechu. – Dosłownie jak z filmu. Quasimodo i te sprawy.

Orest zerknął na Langer i zmarszczył czoło. Komisarz delikatnie skinęła głową, dając mu do zrozumienia, by sam prowadził przesłuchanie do końca. Jednocześnie znacząco się uśmiechnęła. Przy wielu głośnych sprawach pojawiali się świadkowie, którzy opowiadali kompletne farmazony. Niektórzy robili to w dobrej wierze, inni chcieli zabłysnąć lub dostać pochwałę od śledczych. Wielu marzyło o tym, by znaleźć się w blasku fleszy lub w obiektywach kamer. Na policyjnych szkoleniach uczono, w jaki sposób odróżnić mitomanów i bajkopisarzy od rzetelnych świadków. Czasem było to bardzo trudne i wprowadzało mnóstwo zamieszania, lecz bywały przypadki jawnych szaleńców. Jednak w tej sytuacji Langer wcale nie była tak sceptyczna, jak by się mogło wydawać na pierwszy rzut oka.

– Quasimodo, powiada pan – bąknął Rembert. – Czy widział pan również rysy jego twarzy? Czy zaproponowano już panu stworzenie portretu pamięciowego?

– Nie wierzy mi pan? – Sportowiec parsknął i splótł ręce na wydatnej piersi. Odchylił się w krześle, po czym spojrział w sufit. – Sam również bym nie uwierzył – wycedził. – Ale właśnie dlatego ten człowiek, czy cokolwiek to było, zwrócił moją uwagę. Wyglądał jak monstrum. Mówię wam, to było monstrum.

– Ten człowiek też chyba coś ćpał – parsknęła Langer. – Sprawiał wrażenie, jakby zobaczył ducha i jakby mówił o duchu. Albo o czymś znacznie gorszym.

– Nie wyglądał na ćpuna. Raczej na nadgorliwego sportowca, któremu nie straszny mróz, zamiecie i huragany.

– Może to kwestia dopalaczy albo sterydów?

– Nie, Lizo. Co byś o nim nie myślała, wypowiadał się w sposób konstruktywny i racjonalny, choć mówił o czymś potencjalnie nieracjonalnym.

– W takim razie o czym on mówił? Przecież to kompletne brednie...

Rembert wzruszył ramionami. Usiadł w fotelu w ich gabinecie i sięgnął ku kołysce Newtona. Odciągnął pierwszą kulkę, lecz widząc spojrzenie Lizy, natychmiast opuścił ją tak delikatnie, by nie wprawiła maszyny w ruch. Przełożył dłoń na stertę piętrzących się na biurku papierów. Przegładził ją i wystukał palcami jakiś żywiołowy rytm.

– A jeśli to była maska? – odezwał się nagle. – Wyobraź sobie kogoś, kto morduje przebrany za potwora rodem z horroru. Coś jak Leather Face albo jak Kuba Rozpruwacz. Wiedziałaś, że wielu świadków zbrodni Jacka Rippera widziało postać w skórzanym fartuchu rzeźnickim?

– Brzmi, jakbyś opowiadał fabułę Scooby Doo. Na koniec zdejmujemy mu kostium i okaże się, że to ktoś, kogo doskonale znamy.

– Oby tak było.

Langer westchnęła. Oparła się o parapet i spojrzała za okno. Lubiła tę panoramę Gdańska z biskupią górką, z kilkoma starymi kamienicami, a przede wszystkim rozległym horyzontem. Powoli wróciła na fotel i ciężko na nim usiadła.

– Nie jestem przekonana. Po co miałyby używać maski, mordując na kompletnym bezludziu i w samym środku nocy? Jedyne zwróciły na siebie uwagę kogoś takiego jak nasz rowerzysta...

– Maski to częsty fetysz. Psychologicznie może mieć kilka uzasadnień oraz uwarunkowań. – Rembert się wyprostował i złożył dłonie w piramidkę niczym terapeuta rozmawiający z pacjentem usadzonym na

kozetce. – Po pierwsze, może służyć zakryciu swojego prawdziwego „ja”. Morderca nie chce pokazać ofierze twarzy, ale także nie chce być rozpoznany. Po drugie, może chodzić o pragnienie wywołania strachu u kogoś, z kim styka się zbrodniarz. Jeżeli traktuje swoją twarz jako mało przerażającą, zbyt łagodną, albo nawet się jej wstydzi...

Langer przerwała mu machnięciem dłoni. Zatoczyła siedziskiem fotela koło i głośno cmoknęła.

– Dalej to wszystko po prostu nie trzyma się kupy. Poza tym ten rowerzysta nie potrafi powiedzieć nic konkretnego... „Pokrzywiony”, „monstrualny”, „zniekształcony”, to wszystko określenia, które niewiele mówią. A zaręcza, że nie jest w stanie powiedzieć nic więcej, aby pomóc stworzyć portret pamięciowy... Absurd.

– Wcale nie. To akurat dość sztapkowy mechanizm psychologiczny... Jeżeli zwracasz uwagę na coś niezwykłego, twój mózg skupia się na rejestrowaniu samej niezwykłości, lecz nie na jej szczegółach. Pomyśl o dziwnym pierścionku, który ostatnio widziałas, o niezwykłym plakacie filmowym albo o szalonym wzorze na ubraniu. Czy jesteś w stanie je opisać dokładniej, niż mówiąc, że były pokręcone?

– Popieprzone.

– Hę?

Langer wstała i w tej samej chwili dostrzegła, że na ekranie jej komputera pojawił się komunikat o nadejściu nowej wiadomości. Natychmiast rzuciła się ku klawiaturze, wstukała krótkie hasło i otworzyła mail.

– Mówiłeś, że tożsamość ofiar ma znaczenie? – bąknęła zadumana. – Właśnie zidentyfikowano osobę, którą zamordowało to wasze „monstrum”...



- Znowu mamy jako pierwsi rozmawiać z rodziną?

- Tyle że tym razem nie możemy się do tego nie przyznać. Ta kobieta już wie, co się stało z jej mężem, ale czeka na potwierdzenie z naszej strony. Podczas miłej pogadanki.

- Miłej jak cholera. - Rembert westchnął. Langer pozwoliła mu prowadzić służbowy samochód, choć zaklinał się, że musi wrócić po swojego mercedesa. - Lepiej powiedz, co tam wyczytałaś.

Odkąd wypadli z komendy, Langer niemal się nie odzywała. Potrząsała wydrukowanymi załącznikami do ostatniego maila, wzdychała i zagryzała wargę. To zapewne ze względu na natłok myśli okazała się tak wyrozumiała na przesadnie ostrożny styl jazdy Oresta. Nie komentowała go i w ogóle sprawiała wrażenie nieobecnej.

- To emerytowany nauczyciel licealny - oznajmiła zadumany tonem. - Człowiek, który od jakiegoś czasu działał na rzecz lokalnej społeczności, udzielał się w radzie gminy i w Monarze. Ponoć bardzo lubiany przez uczniów, z kontem w mediach społecznościowych, ale o ile widzę, bez szczególnych aktualizacji. W swojej karierze uczył biologii, chemii oraz wiedzy o środowisku, gdy był jeszcze taki kierunek...

- Przedmiot - sprecyzował Rembert. - I zdaje się, że dalej jest, tyle że w szkołach podstawowych. Choć może nazywają go przyrodą.

- Zwał jak zwał, trudno doszukać się czegokolwiek, co mogłoby go łączyć z gangami, zwyrodnialcami lub dewiantami...

- Monar. To zastanawiające.

- Owszem, ale zgodnie z tym, co widzę, to zaledwie mało istotny epizod sprzed lat. Chyba zresztą dość krótki.

- Ale dziwnie wpasowujący się w klimat tego, z czym mamy do czynienia.

Langer bez przekonania kiwnęła głową. Złożyła kartki w jeden plik i wsunęła je do schowka. Wyciągnęła przed siebie nogi, po czym zerknęła za szybę. Znajdowali się niedaleko Galerii Bałtyckiej i zgodnie z nawigacją od miejsca zamieszkania nauczyciela dzieliło ich niespełna osiemset metrów. Po chwili Orest powoli zjechał z obwodnicy, kierując się ku osiedlu sprzed niemal pół wieku. Trzy- i czteropiętowe bloki ciągnęły się

wśród zaskakująco zielonej okolicy, pełnej placów zabaw, skwerków oraz małych boisk. Po obu stronach dziurawej jezdni znajdowały się parkingi, które wybudowano kosztem bardzo wąskich chodników. Piesi niejednokrotnie musieli obchodzić auta od strony drogi, przez co Rembert jechał jeszcze ostrożniej.

– Poproś, aby przesłano akta na mojego maila – odezwał się, rozglądając się po numeracji bloków. – I niech ktoś porozmawia z jego byłymi uczniami. Zarówno tymi sprzed kilku, jak i kilkunastu lat.

– Niby o czym? – zdziwiła się Langer.

– Nie wiem. O charakterze, o wypracowanych relacjach, o podejściu do nauczania, skłonności do stawiania dwój albo pał...

– Mówisz, jakbyś sądził, że po latach jakiś uczeń przypomniał sobie o niesłusznej koscie ze sprawdzianu.

– A nawet jeśli...? – Rembert zwolnił niemal do zera i nagle spojrzął na Lizę. – Czy możemy to wykluczyć? Często przez całe lata mordercy mają przyhamowane instynkty. Te ożywają pod wpływem niespodziewanych bodźców lub zdarzeń, które dla każdego innego człowieka nie miałyby żadnego znaczenia. Może ten nauczyciel wystąpił w jakimś programie telewizyjnym? Może ktoś przeprowadził z nim wywiad?

– Z tego, co widziałam, nie sądzę, by był gwiazdą mediów. Nie prowadzi kanału „Mały Biolog” ani nic takiego...

– Kiedy odszedł na emeryturę?

– W zeszłym roku. Poza tym skorzystał z możliwości wcześniejszego odejścia... – Liza delikatnie się uśmiechnęła. – To też wydaje ci się podejrzanym?

Rembert zaparkował auto obok ogromnego dodge'a. Z podziwem zerknął na amerykański SUV, po czym wyłączył silnik.

– Może jego żona powie nam coś więcej... Choć jeszcze nie potwierdziła identyfikacji, więc musimy być bardzo delikatni.

– To nasza specjalność, prawda, Oreście?

– W twoim przypadku bardzo bym się tej specjalności obawiał.

Langer zerknęła na Remberta i cicho odchrząknęła. Orest nie zwrócił na nią żadnej uwagi, lecz musiał być tak samo zaskoczony sytuacją. Helena Fidler miała około sześćdziesięciu lat, pociągłą twarz, pofarbowane na ciemny blond włosy oraz delikatny makijaż. Ubrana była w luźną spódnicę w kwiatowy wzór oraz czarny top. Sprawiała wrażenie lekko zdenerwowanej, może również nawet zszokowanej, ale na pewno nie zdruzgotanej, informacją o śmierci męża. Kiedy jednak wypaliła, że ten się „w końcu doigrał”, Rembert nie wytrzymał.

– Co pani przez to rozumie? – zapytał natychmiast. – „Doigrał się”? To, pani wybaczy, ale bardzo charakterystyczne sformułowanie.

– Henryk jest... To znaczy był, opryskliwy i trudny we współżyciu. Miewał lepsze i gorsze momenty, ale ogólnie potrafił podpaść wszystkim, z kim się tylko spotkał.

– Chyba nie do końca rozumiem – wtrąciła Liza. – W jaki sposób może komuś podpaść sześćdziesięcioletni emeryt?

Fidler nerwowo zachichotała. Pokręciła głową, po czym ukradkiem otarła łzę, co mogło być tak samo pozorowane, jak rzeczywiście nieumyślne. Zachowywała się dziwnie.

– Musicie wiedzieć, że choć mieszkaliśmy pod jednym dachem, prowadziliśmy oddzielne życia – wyjaśniła. – Już dawno uznaliśmy, że nie ma sensu się rozwodzić ani robić sobie wzajemnie problemów. Uzgodniliśmy regulamin zachowania się i oboje, jako osoby z umysłami ścisłymi, dokładnie się go trzymaliśmy. Żadnych odstępstw, żadnych rozmów, żadnych przykrości. Spotykaliśmy się tylko przy kawie po śniadaniu, które, swoją drogą, również spożywaliśmy oddzielnie...

– Nie odpowiedziała pani na pytanie – zauważył Orest. – Pytaliśmy o...

– Tak, wiem, o jego charakter. Henryk jest kawałem drania, który potrafi pokłócić się o cokolwiek. Ma... Miał mnóstwo pasji, co przekładało

się na umiejętność zainteresowania uczniów, ale na lekcjach trzymał żelazną dyscyplinę.

– Znaleźliśmy jedynie pozytywne opinie o nim jako o pedagogu. Nie było ich wiele, ale tylko kilka zwracało uwagę właśnie na ten rygor.

– Nie zaprzeczę, że do dzieciaków miał wspaniałe podejście... Poza tym potrafił sobie podporządkować najgorszy element, a to klucz do podporządkowania całej reszty.

Langer i Rembert po raz kolejny spojrzeli po sobie. Nie do końca rozumieli, co miała na myśli pani Fidler, ale też nie uważali tego za najistotniejsze.

– Jednak pani mąż odszedł na wcześniejszą emeryturę – znacząco stwierdził Orest.

– Owszem. Właśnie o tym mówię, był kompletnie wypalony. Miał dość nauczania i aż dziwne, że to jego ktoś dorwał, a nie on kogoś... W ostatnich miesiącach bywał tak wściekły, że nie zdziwiłabym się, gdyby sam kogoś zamordował.

– Mówi to pani poważnie? Proszę sobie uświadomić, jak ważne jest dla nas racjonalne zdanie i...

Fidler opuściła rękę na stolik, przy którym siedzieli, tak mocno, że brzęknął stojący pośrodku kryształowy wazon.

– Oczywiście, że poważnie. Precyzja wypowiedzi jest dla mnie bardzo istotna. Nie wiem, dlaczego Henryk zdecydował się na wcześniejszą emeryturę, skoro zawsze najważniejsze były dla niego pieniądze... Chyba się wypalił i w końcu zadziałał jego mechanizm zachowawczy. Wolał odejść z roboty niż skończyć za kratami. Wtedy jeszcze bardziej zgorzkniał i zamknął się w sobie tak mocno, że niemal nie zamieniliśmy przez ostatnie miesiące słowa. Coś mu się odkleiło. Zaczął łązić do kościoła, słuchał katolickiego radia...

– Wcześniej nie był religijny?

– Raczej nie. Podejrzewacie chorobę psychiczną? Mógł wstąpić do jakiejś sekty i podpaść jej innym wyznawcom?

Helena Fidler zadała to pytanie tak poważnym i tak zaintrygowanym tonem, że Orest po raz trzeci zerknął na Lizę. Spodziewał się, że lada moment zapieje kur, lecz zamiast tego zabytkowy zegar wiszący w salonie wybił pełną godzinę. Rembert chciał czym prędzej wyjść z mieszkania, aby podzielić się z Langer swoimi wrażeniami.

## 55

– Chore układy! Jakim sposobem dorośli ludzie mogą być tak dziwni... To się w głowie nie mieści! Przeżyć kilkadziesiąt lat razem, a potem nagle się rozdzielić, będąc pod jednym dachem... Im potrzeba było terapeuty, a nie negocjacji co do sposobu korzystania z mieszkania.

– Masz słabą wyobraźnię, Oreście. – Langer uśmiechnęła się z politowaniem. – Poza tym oni mogli być takim białym małżeństwem nie od kilku, ale od kilkunastu lat. Znam takie przypadki.

– Dla mnie to niewiarygodne. Mów, co chcesz... – Nagle Rembert przerwał rozważania nad życiem prywatnym państwa Fidler i zmarszczył brwi. Spojrzał na szyld budynku, przed którym się zatrzymali. – Muzeum? Zabierasz mnie na wycieczkę do cholernego muzeum?

– A czemuż by nie? Mam tu paru znajomych.

– Ekspozyty? Mumie?

Wtem Orest pstryknął palcami i kiedy tylko Langer wyszła z auta, pośpiesznie za nią podążył. Kiwał głową, jakby przed chwilą pojął całą naturę wszechświata.

– Wystawa funeralna? – zagadnął, gdy weszli do przestronnego holu z przeszkłonymi kasami. – Rozumiem, rozumiem... Myślisz, że to może być dobry trop?

– A mamy jakieś inne?

Rembert westchnął. Niczym dziecko podążające za rodzicami, idąc tuż obok Langer, minął ochroniarza, po czym skierowali się w głąb bocznego

korytarza.

– Nie idziemy na sale wystawowe? Myślałem, że chodzi ci o rozmowę z kustoszem?

– Mam znajomości na zapleczu.

Langer puściła mu oko i uniosła dłonie z zaciśniętymi kciukami. Nie uśmiechała się. Podążała całkowicie poważnie, nadal czując dziwne zmieszanie po rozmowie z panią Fidler. W przeciwieństwie do Remberta nie zdziwiły jej ich relacje małżeńskie, lecz reakcja kobiety na wieść o śmierci męża. Niewiele brakowało, by ta autentycznie się z tego powodu ucieszyła. Liza miała nawet wrażenie, że wstrzymywała się z ostentacyjnym okazywaniem radości.

– Ta kobieta mówiła o katolickim radiu... – Orest najwyraźniej podążał za jej tokiem rozumowania. – To w pewien sposób gryzie się z koncepcją odwiedzenia muzeum z eksponatami z czasów sprzed Chrystusa...

– Chodzi o *idée fixe* – odparowała Langer. – Te są chyba ponadczasowe i uniwersalne dla świrów różnych epok.

– Nazywasz świrami starożytnych Greków, którzy kładli zmarłym na oczy obole.

– Akurat to chyba nie jest do końca zgodne z prawdą. Poza tym mam istotne wątpliwości, czy rzeczywiście chodziło o rytuał przejścia i jak był on przez nich postrzegany.

– A jak mógł być?

Langer nie odpowiedziała. Zatrzymała się przed białymi drzwiami i zerknęła na zawieszoną obok nich tabliczkę. Znajdowała się na niej adnotacja, że stoją przed pracownią konserwacji, której szefuje doktor Antonina Koch.

– Za moment wszystko może okazać się jasne – oznajmiła, naciskając klamkę. – Albo legnie moja ostatnia nadzieja na zrozumienie sprawcy. Swoją drogą, czy to nie ty zostałeś ściągnięty do mojego zespołu, aby pracować nad profilami zwyrodnialców?

Rembert nie dał po sobie poznać, jak mocno ubodły go te słowa. Zwiesił głowę i tuż za Langer wszedł do przestronnego pomieszczenia.

Doskonale wiedział, jaka jest jego rola w śledztwie. Wiedział też, że w tym przypadku o mały włos nie postawił już zbyt wielu pochopnych wniosków. Wydawało mu się, że zrozumienie motywacji sprawcy jest na wyciągnięcie ręki, lecz umyka, gdy tylko próbują się do niego zbliżyć. Każde słowo, każdy pomysł mogły przybliżyć go do uchwycenia sedna. I wierzył, że może to stać się właśnie tutaj. Teraz. Za moment.

W krainie poświęconej rytuałom przejścia – łączącej przeszłość z teraźniejszością. W krainie śmierci.

## 56

Antonina Koch miała około siedemdziesięciu lat, pomarszczoną, okrągłą twarz, małe oczka i żółtą cerę. Sama sprawiała wrażenie jednego z eksponatów muzealnych, co podkreślał dziwny strój przypominający połączenie japońskiego kimona z rzymską tuniką. Zapewne nosiła go ze względu na lekkość oraz swobodę ruchów. Gdy Langer weszła do środka, kobieta pracowała pędzelkiem nad ułożoną na metalowym stole drewnianą rzeźbą przedstawiającą diabła lub podobnego stwora. Na ich widok podniosła głowę.

– Prawie jak sekcja – bąknął Rembert.

– Prawie robi wielką różnicę – zripostowała mu Liza, po czym przedstawiła go pani doktor.

Po krótkich wyjaśnieniach, zapewnieniach o tajności śledztwa oraz istocie pomocy Antoniny Koch wreszcie mogli przejść do sedna. Konserwator zasłoniła rzeźbę płótnem, odłożyła pędzel i rozejrzała się, jakby chciała wskazać im cokolwiek, na czym mogliby usiąść. W pomieszczeniu nie było jednak niczego, co by się do tego nadawało. Wokół znajdowało się mnóstwo szpargałów, skrzyń oraz kaset z różnymi narzędziami, szafa pełna farb, klejów i innych niezbędnych przyborów, a także dwa metalowe stoły, rzeczywiście przypominające te

wykorzystywane do autopsji. Ponadto pod jedną ze ścian ustawiono duży zlew i długą metalową rynienkę. Skojarzenie było oczywiste.

Koch ciężkim krokiem podeszła do szafki i odłożyła pędzelek na jedną z półek. Odwróciła się do gości, po czym zaniósła się ciężkim, chorobliwym kaszlem. Wytarła usta chusteczką i wysmarkała nos. Brakowało tylko, by popłynęła z niego krew, a mieliby przed sobą wyborny okaz filmowego gruźlika z dziewiętnastego wieku.

– Interesuje was motyw monety... – mruknęła, sięgając do jednej z szuflad. W ostatniej chwili jednak zrezygnowała, opuściła dłoń i ponownie łypnęła to na Lizę, to na Oresta.

– Jak z greckiej mitologii – wtrącił Rembert głupkowato. – Obole, Charon i te sprawy...

– Wbrew temu, co często się mówi, monety jednoobolowe umieszczano nie na oczach, lecz właśnie w ustach zmarłych – oznajmiła Koch nauczycielskim tonem. – Była to opłata pobierana przez Charona za przewiezienie przez Styks. Jej umiejscowienie wbrew temu, co się przyjęło w powszechnym mniemaniu, miało swoje znaczenie. Nie należało zasłaniać oczu, gdyż zmarli musieli dobrze widzieć. W końcu Charon jedynie sterował łodzią, ale to umarli wiosłowali w odpowiednim tempie, najlepiej przy tym milcząc. Zresztą długo by o tym opowiadać, ale moim zdaniem to ślepa uliczka...

– To znaczy? A mamy jakąś inną?

– Sądzę, że tak – oznajmiła konserwator. – I to znacznie bardziej prawdopodobną... Choć, co ja się tam znam na psychologii i motywacjach działania jakichś dewiantów?

Langer i Rembert, mimo pokusy, nawet nie odwrócili się ku sobie. Uważnie przypatrywali się Koch, która splotła dłonie i cicho odkaszknęła.

– W Polsce również praktykowano wkładanie monet lub, precyzyjniej mówiąc, rozmaitych środków płatniczych, do ust zmarłych. Pieniądze wcale nie były głównym sposobem rozliczeń, choć w ustach truposzy w wielu miejscach pochówków archeolodzy znajdują boratynki oraz półtoraki, czyli monety z przełomu szesnastego i siedemnastego wieku. Mamy je również w naszych zbiorach, choć naprawdę nie są specjalną



rzadkością, a według rozmaitych źródeł można na nie trafić w przypadku od kilku do nawet dwudziestu procent pochówków.

– Zaraz, zaraz... – Langer nerwowo cmoknęła. – O ile mi wiadomo, w Polsce nie wierzą w Charona, w Hades ani w Styks.

– Oczywiście, że nie – zgodziła się Koch. – Nawet jeżeli tę tradycję przywieźli kupcy greccy lub Ormianie, została ona poparta przez duchowieństwo. Zadziałał prosty mechanizm związany z tym, że na dawnych monetach bitych w krajach chrześcijańskich zazwyczaj znajdował się krzyż lub podobny religijny motyw. Inna kultura, ale znaczenie takie samo... Moneta miała pomóc w zaświatach, choć z nieco innej perspektywy niż starożytnym Grekom.

Kobieta ponownie odkaslnęła, po czym odwróciła się i splunęła do zlewu. Otarła usta chustką.

– Przepraszam, to przez te cholerne środki chemiczne... Po czterdziestu latach organizm zaczyna niedomagać i upominać się o emeryturę.

– To zrozumiałe. Choć taka praca to z pewnością ogromna pasja – zauważył przymilnie Rembert. – Ale mówiła pani o jeszcze innej perspektywie...

– Tak, właśnie. W przeciwieństwie do Greków nasi przodkowie nie wkładali monet do ust zmarłych po to, by ci mieli czym opłacić Charona albo innych pośredników...

– W takim razie po co to robili?

Koch uśmiechnęła się drapieźnie. W jej oczach błysnął jakiś niezwykle blask fascynacji oraz świadomości, że właśnie wyciąga asa z rękawa swojej opowieści.

– Wierzą, że moneta włożona do ust ma moc zatrzymania truposza w grobie – powiedziała niemal szeptem. – To taki kołek osinowy przeciw temu, by zmarły nie wstał i nie nawiedził żyjących. Specyficzny środek przeciw wampirom oraz innym potworom.

Potwór był wściekły. Podobne napady dzikiej furii zdarzały się coraz częściej i coraz gorzej potrafił nad nimi panować. Jakby to wszystko, co wydarzyło się przez ostatnie tygodnie, stanowiło tylko pokarm dla jego szaleństwa. Tak, może właśnie w ten sposób zaspokajał apetyt, który narastał od wielu lat. Wewnętrzne ciśnienie w końcu przekroczyło wszelkie stany alarmowe i rozrywało go na strzępy.

Szybko, zwinnie niczym dzikie zwierzę wspiął się po karbowanym boku metalowego kontenera. Stanął na jego szczycie i dumnie rozejrzał się po okolicy. To było jego królestwo. Bezlik wielkich pojemników, puszek i kaset przypominających bunkry. Oblepiająca je rdza oraz wykwitły soli nawianej od morza. Wąskie przejścia, o których w większości już zapomniano. Ślepe uliczki, zaułki i składowiska gnijących palet, starych wózków widłowych oraz zepsutych podnośników hydraulicznych. Przynajmniej złom znany tylko grupce nielicznych, którzy zapuszczali się w głąb magazynów, stoczni lub portów.

A ponadto urzekająca panorama. Skrzące się w oddali morze, ciemniejące niebo oraz gnane wiatrem chmury. To wszystko poprzecinane słupami dźwigów i żurawi. Krajobraz zarówno dziki, jak i najbardziej podporządkowany człowiekowi. Skrojony na miarę współczesnej ludzkości. O duszącym zapachu gnijących ryb, ptasich odchodów oraz smaru. Jedyny i niepowtarzalny.

Potwór skulił się i przebiegł po sklepieniu kontenera. Jego kroki niesły się stłumionym brzękiem. Poruszał się zaskakująco sprawnie, choć jego postać wydawała się szkaradnie zdeformowana. Tkwiło w nim coś dzikiego i obrzydliwego. Coś, co sprawiało, że ludzie unikali patrzenia na niego, a zarazem coś, co upodabniało go do zwierząt, które przecież dopuszczały go do swego grona. Nawet ptaki nie uciekały przed nim tak jak przed innymi ludźmi. Raczej przyglądały się w ten sam sposób, w jaki obserwują inne, niezagrażające im zwierzęta.

Potwór przeskoczył na kolejny kontener i przykucnął. Spłoszonym wzrokiem rozejrzał się wokół, po czym wydał z siebie ciche ryknięcie. Miał ochotę niszczyć i mordować, ale instynkt go przed tym powstrzymywał. Potrafił zapanować nad swoimi emocjami oraz popędami. Przynajmniej teraz. Jeszcze.

Wyprostował się i ponownie rzucił pędem po dachach kontenerów. Przeskakiwał je, chwycił się metalowych wypustów oraz porozwieszanych tu i ówdzie lin. Rzeczywiście przypominał teraz postać wyrwaną z jakiejś opowieści o demonach lub średniowiecznych stworach przemykających po dachach kamienic. Charczał i chrząkał. Trudno było określić, czy to jego śmiech, czy też płacz. Pochylony, ukrywał twarz między szerokimi ramionami.

Zeskoczył na niewielki plac pełen kubłów oraz pustych baryłek po ropie. Odtrącił jedną z nich tak mocno, że wpadła na kolejne i je przewróciła. Metaliczny brzęk poniósł się echem po okolicy. Potwór jednak nie zwrócił na to żadnej uwagi. Przygarbiony pobiegł między dwoma ogrodzeniami z rdzewiejącej drucianej siatki, znalazł dziurę w jednej z nich i przez nią przeszedł. Bez chwili wytchnienia rzucił się biegiem ku podstawie żółtego starego dźwigu portowego. Było to jedno z urządzeń, z których od bardzo dawna nie korzystano. Stanowiło relikty poprzedniej epoki, poprzedniego systemu i poprzednich osiągnięć techniki. Łatwiej go było porzucić niż zezłomować.

Potwór chwycił rozpadającą się drabinkę i energicznie się podciągnął. Nie stanowiło to dla niego żadnego wysiłku. Gdy wspinał się coraz wyżej, nieustannie się rozglądał. Dopóki nie zaszło słońce, nie chciał się znaleźć w zasięgu niczyjego wzroku. Ukrywał się. Nie lubił, gdy na niego patrzono, choć ostatnio coraz częściej bywało to dla niego obojętne. Liczyło się tylko zaspokojenie pragnień oraz dawanie upustu wściekłości. Odkrył, że tylko dzięki temu potrafi czuć, że naprawdę żyje. Na przekór temu, co sądzili inni. Na przekór samemu Bogu.

– Czy to możliwe, że on chce w ten sposób trzymać swoje ofiary w symbolicznym grobie? – myślała głośno Langer. – W takim razie po co miałby je w ogóle zabijać?

– Bo za życia są straszniejsze. Całkowicie niebezpieczne.

– Naprawdę? Kobieta z opieki społecznej? Bezdomna menelka i emerytowany nauczyciel? To brzmi jak wyliczanie członków Klubu Sympatycznego Obywatela, ale nie jakiegoś cholernego gangu.

– Cały czas wracasz myślami do pierwszej ofiary i przez nią spoglądasz na całą sprawę. Tu na pewno nie ma mowy o żadnym gangu, mafii ani ojcach chrzestnych.

Rembert zagryzł usta i spojrzał na Langer. Znajdowali się na parkingu muzeum, starając się uporządkować najnowsze wiadomości. Sprawa kipiała im w myślach i nie pozwalała nabrać należytego dystansu. Czuli to i wiedzieli, że w takim stanie nigdy nie pojawiają się właściwe koncepcje. Obraz śledztwa był zaciemniony przez emocje. Właśnie dlatego Rembert wyciągnął ku Lizie dłoń i znacząco poruszył palcami.

– Czego ty chcesz? – zdziwiła się Langer. – Pożyczki? Czy zagrać w łapki?

– Daj mi papierosa.

– Papierosa? Nie mów, że dotąd paliłeś ukradkiem i teraz nie możesz wytrzymać...

– Nie. Po prostu chcę przełamać pewien schemat. Oderwać myśli i...

Liza przerwała ten wywód, wyjmując paczkę.

– Po prostu zapal i przestań gadać. Skoro tak to ma wyglądać, wyjaraj nawet całą paczkę, lecz błagam cię, nie filozofuj.

– Dziękuję.

Kiedy tylko Orest wsunął papieros do ust, Langer mu go odpaliła. Zaciągnął się, powstrzymał kaszel i spojrzał w niebo. Wypuścił dym, wydając z siebie głos podobny do mamrotania tybetańskich mnichów.

– Coś ci to pomogło? – zakpiła Liza. – Nie wyglądasz, jakby cię oświeciło.

– Często oświecenie nie przychodzi od razu. Wymaga lat praktyki, medytacji oraz rozwoju podświadomości. Poza tym muszę napić się yerby.

Rembert zaciągnął się jeszcze raz i pstryknął papieros w stronę śmietnika. W tym samym momencie Langer sięgnęła do kieszeni po telefon. Obróciła go w dłoni i stanęła jak wryta.

– Co jest? – zagadnął Orest. – Co się stało?

– Nie słyszałam telefonu. Dwukrotnie dzwoniło z komendy, aż w końcu dostałam ciekawą wiadomość... Może to jest nasze oświecenie, Oreście.

## 59

– Ćpuni mają swojego kapelana? – zdziwił się Rembert. – Nie uznałbym ich za przesadnie wierzących. No chyba że wizje po cracku można uznać za zwiastowania...

Ponownie siedział na fotelu pasażera, a Langer za kierownicą nieoznakowanego radiowozu. Pędzili ulicami Gdańska ku lokalizacji wyszukanej w nawigacji auta.

– Jesteś człowiekiem małej wiary. Chyba już ci o tym mówiłam.

– Raczej ja tobie...

Langer łypnęła na Oresta i zabębniła palcami w kierownicę. Sięgnęła ku dotykowemu wyświetlaczowi, po czym włączyła radio. Z głośników podniósł się jazgot jakiejś religijnej pieśni.

– Zwariowałaś?! Chcesz, żebyśmy ogłuchli?

– Robię nam background. Tak to się chyba teraz nazywa? Wdrażam nas w religijny klimat i w odpowiednią atmosferę.

– Skąd wiesz, że ten ksiądz w ogóle będzie na miejscu?

– Ponoć czeka na nas od samego rana. To on się zgłosił do komendy.

Orest westchnął. Najchętniej zasłoniłby uszy dłońmi, lecz w ten sposób uległby jedynie presji Langer. Często robiła mu na złość, testując jego wytrzymałość. Gdy starał się z nią walczyć, robiła się jeszcze bardziej uparta i drażniąca. Doskonale znał ten mechanizm i nie zamierzał go nakręcać. Dlatego rozparł się wygodniej w fotelu, jednocześnie przybierając minę całkowicie zrelaksowanego oraz przysypiającego. Wiedział, że Liza co rusz na niego zerka.

– Może ten ksiądz ich spowiada – odezwała się nagle zadumanym tonem. – Może zdradzają mu swoje sekrety oraz grzechy...

– Myślisz, że wyzna ci, że ktoś spowiadał mu się z morderstwa?

– Chyba musiałyby to zrobić?

– To kwestia problematyczna prawnie i moralnie. Tajemnica spowiedzi, lekarska, dziennikarska... – Rembert otworzył oczy i odwrócił się do Langer. – Dobrze o tym wiesz. Przerabialiśmy to wiele razy i szkoda strzępić języka po raz enty.

– Jasne, ale liczę na otwartość oraz zrozumienie. Czasy się zmieniają, kościoły otwierają archiwa...

– Zabójstwo to nie pedofilia.

Uwaga Oresta sprawiła, że Liza ciężko westchnęła. Owszem, doskonale rozumiała, co chciał przez to powiedzieć. Współczesne czasy potrafiły wypaczyć system wartości o sto osiemdziesiąt stopni. Kierując się szlachetnymi intencjami, zasypywało się jednym problemem sto innych. Tak kręcił się świat oraz ludzkie sumienia.

Kiedy po kilku minutach zatrzymali się przed niewielkim parafialnym kościołem, Orest był pełen wątpliwości. Nie wiedział, czego się spodziewać, choć dręczyło go piekielnie złe przeczucie. I nie dotyczyło ono tego, że ksiądz po prostu ich zbędzie. Raczej obawiał się, że usłyszą zbyt wiele. A na to mógł nie być gotowy.

Parafia Chrystusa Króla mieściła się przy ulicy Rogaczewskiego, w dość zacisznym położeniu, a jednocześnie nieopodal ścisłego śródmieścia. Kościół wraz z zakrystią został wzniesiony z cegły na samym początku lat trzydziestych zeszłego stulecia i stanowił niezwykle przykład architektury modernistycznej. Zgodnie z ówczesnymi planami rolę sakralną miał pełnić tylko tymczasowo, do czasu wzniesienia większego – oraz bardziej „kościelnego” – kościoła i wówczas zmienić przeznaczenie na bursę lub świetlicę. Do tego jednak nigdy nie doszło.

Ksiądz Zdanecki wyszedł im na powitanie, po czym niemal bez słowa poprowadził do tylnego wejścia. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, o zapadniętych policzkach i surowym spojrzeniu. Jednocześnie jego usta układały się w delikatny, sympatyczny uśmiech pobłażania dla świata oraz ludzkości.

– Kawy, herbaty? – zaproponował, gdy znaleźli się w niewielkim, ciemnym pomieszczeniu, które wręcz przenikał aromat kadzideł oraz palonych świec.

Liza i Orest odmówili, chcąc jak najszybciej przejść do rzeczy. Ksiądz okazał się jednak znacznie bardziej gadatliwy, niż zdradzałyby jego fizjonomia, i zaczął im opowiadać o swojej postudze, o zawitych motywacjach, które doprowadziły go do służby wśród narkomanów oraz bezdomnych, następnie zaczął odnosić się do wyrzutków społecznych znanych z kart Biblii. Wówczas Langer nie wytrzymała. Poruszyła się, wzbudzając jęk prostego drewnianego krzesła, i głośno odchrząknęła. Nie chciała urazić księdza, więc odezwała się nadzwyczaj łagodnym tonem.

– Zwrócił się ojciec na policję z jakąś konkretną obawą? – zagadnęła oględnie. – To, co się dzieje, może przyprawiać o rozmaite myśli...

Duchowny spojrzał na nią przyjaźnie i się uśmiechnął. Kiwnął głową.

– Przepraszam, rozgadałem się, nadwyrężając państwa czas. Wiem, że macie do załatwienia daleko poważniejsze sprawy... – Zacisnął usta i jednocześnie uśmiech zniknął z jego twarzy. – Tak, chciałem nadmienić o czymś, o czym moi podopieczni wzmiankowali mi od pewnego czasu.

– Chwileczkę... – Langer uniosła palec. – Zanim zapytam o konkrety, proszę sprecyzować także pojęcie „pewnego czasu”... Może mieć dla nas

istotne znaczenie.

– Chodzi o ostatni tydzień lub dziesięć dni. Wtedy po raz pierwszy zetknąłem się z obawami wiernych. Szczerze mówiąc, początkowo myślałem, że to może być kwestia jakiegoś *delirium tremens*, zbiorowego widzenia, halucynacji albo nawet zażywanych wspólnie środków odurzających...

– Chyba nie do końca rozumiem, co ksiądz ma na myśli – wtrącił Rembert. – Najlepiej, gdybyśmy usłyszeli wszystko po kolei.

Ojciec Zdanecki machnął ręką, jakby przeproszał za własne roztargnienie. Pochylił się w krzesło, oparł ręce o podłokietniki i zniżył głos.

– Zaczęto mi mówić o demonie... – szepnął. – O jakimś potworze jakby wprost wyrwanym z najgorszych zakamarków piekła. Proszono mnie nawet o rozważenie egzorcyzmów, gdyby tylko udało się im go ująć, ale potraktowałem ich bez jakiegokolwiek wiary. Nie uwierzyłem im! Dopiero potem... Gdy pojawiły się wzmianki o morderstwach, a wśród nich zrobiło się jeszcze większe poruszenie...

– Teraz im ksiądz wierzy? – Langer zerknęła na Oresta, który wbił ponure spojrzenie w podłogę. – Wierzy ksiądz, że po Gdańsku grasuje potwór wyrwany z kart Biblii?

– Nie mam pojęcia, co to jest. – Duchowny sięgnął ku zawieszonemu na szyi krzyżkowi. – Nie wiem, czy to demon, szatan, czy po prostu człowiek. Ale wiem, że coś tu się dzieje. I że ci ludzie, choć czasem wyglądają na nieobecnych i totalnie oderwanych od świata, wiedzą więcej, niż się wydaje. Trzeba tylko im zaufać... Trzeba się wsłuchać w ich głos, bo czasem najgorsze wizje okazują się rzeczywistością.



– Ten ojczulek jest oderwany od rzeczywistości, jak ci wszyscy jego podopieczni – stwierdził Rembert. – Nie zdziwiłbym się, gdyby sam czasem próbował tego lub owego.

– Co masz na myśli?

– Dobrze wiesz. Muszę tylko wszystko przemyśleć i uporządkować ostatnie wydarzenia... Dużo tego było, a ja nie mam pojęcia, w co włożyć ręce.

– W takim razie wsiadaj.

– Słucham?

Langer zatrzymała samochód i skinęła głową w stronę drzwi pasażera.

– Spadaj. Podwiozłam cię sto metrów od miejsca, gdzie stoi twój merc. Teraz grzecznie wyjdź i daj mi również poskładać myśli.

– Ale...

– Mam cię znowu wyrzucić na siłę?

Rembert bez słowa wyszedł z radiowozu i trzasnął drzwiami. Po raz pierwszy od dawna nie pożegnał się z Langer, lecz zostawiał ją ostentacyjnie rozgniewaną. Mimo to Liza nie zdawała się choćby odrobinę przejęta.

– Jeśli kocha, to wróci – szepnęła za nim z uśmiechem, po czym wrzuciła bieg i dodała gazu. Ruszyła z piskiem opon.

W pierwszej chwili chciała pojechać w miejsce, gdzie odnaleziono ostatnią ofiarę, lecz zdała sobie sprawę, że czeka na nią jeszcze nieco roboty. Musiała odstawić bmw, po czym dopiero będzie mogła wrócić do domu. Gdyby spojrzeć na mapę Gdańska, wydawało się, że kolejne punkty nijak nie układały się w spójną trasę, więc zdecydowała się zaniechać wizyty w miejscu odkrycia którychkolwiek zwłok. Tym bardziej że zebrano już wszystkie dowody, ciała były w kostnicy zakładu medycyny i osobiste oględziny nie mogły nic zmienić.

„Poza uporządkowaniem chaosu wniosków...” – dodała w myślach. „A to już coś”.

Mimo to pojechała do komendy, zdała auto, po czym przesiadła się do ukochanego peugeota. „Zielone szkaradztwo”, jak nazywał go Rembert,

miało całkiem przyjemny design wnętrza oraz doskonałą ergonomię. Poza tym Liza nie potrzebowała niczego więcej. Teraz przydały się jej jedynie wysuwana popielniczka oraz zapalniczka, które to stanowiły coraz rzadszy element wyposażenia aut. Zapaliła i jadąc ostrożniej niż zwykle, kierowała się ku polu kempingowemu. Jak na nią jechała zaskakująco wolno, często zbaczając z najszybszej trasy.

Z pewnością nie wierzyła w duchy ani w demony. Ksiądz niejako z urzędu musiał mieć szersze spojrzenie na te sprawy, ale ona – wręcz przeciwnie. Opierała się na żelaznej logice i przekonaniu, że najgorszym, co może na ziemi spotkać człowieka, był drugi człowiek. Przekonała się o tym wielokrotnie i nie potrzebowała kolejnych dowodów.

A jednak ci wszyscy ludzie wspominali o czymś wyrwanym nie z tego świata. O potworze lub monstrum, które mogło być jedynie wytworem umysłów przeżartych działaniem narkotyków. Tyle że zbiorowe halucynacje stanowiły efekt tak rzadki, że mieszczący się w błędzie statystycznym... Znany w trakcie wspólnych rytuałów, ale ci ludzie nie mieli ze sobą wiele wspólnego.

Gdy wreszcie zatrzymała peugeota na parkingu, wyłączyła silnik, lecz nie wysiadła z pojazdu. Przez dwie lub trzy minuty zadumana wpatrywała się w ciemność. Nagle poderwała się, otworzyła drzwi i ruszyła ku morzu. Kiedy mijała swoją przyczepę, zwolniła kroku. Przyjrzała się tej małej puszce, do której sprowadzał się jej prywatny świat. I tak wymieniła przecież za niego przestronne mieszkanie, w międzyczasie pozbywając się wszystkiego i wszystkich, ale...

Poczuła, że nadchodzi ją natłok wspomnień. Kipiel myśli oraz refleksji przeszłości przyprawiał ją o zawrót głowy. Deszczowy pies zaskowyczał gdzieś za jej plecami, ale w tym samym momencie coś zwróciło jej uwagę. Jakiś cień przemknął tuż obok jej stóp.

A skoro latarnia znajdowała się za jej plecami, znaczyło to, że...

Nim wysnuła ostatni wniosek, coś silnie chwyciło ją za ramię – to czyjaś dłoń. Choć była wyjątkowo wysportowana, w tym starciu nie miała żadnych szans. Została brutalnie rzucona na ziemię. Tuż obok niej pojawił się potwór.

Rembert z całych sił powstrzymywał się przed odwróceniem i spojrzeniem w stronę radiowozu. Gdy wreszcie usłyszał, że Langer odjechała, zatrzymał się. Był na siebie zły. Mógł rozegrać to lepiej, choć nie wiedział, czego się w sumie spodziewał. Tego, że Liza wybiegnie za nim z auta i będzie go błagała, by do niej wrócił? Takie wyobrażenia mógł snuć dwunastolatek, ale nie dorosły facet, do tego zajmujący się opracowywaniem profili.

No tak. Profile. W każdym razie starający się je opracowywać i wierzący w ich moc. W końcu wielu policjantów, a nawet psychologów do tej pory kwestionowało ich sens, a profilerów przyrównywało do szarlatanów, traktując ich na równi z chiromantami lub jasnowidzami. Zmieniali zdanie jedynie pod wpływem namacalnych dowodów oraz kolejnych sukcesów śledztw opartych na portretach psychologicznych. Jednak te nie zdarzały się tak często jak w filmach. Profile mogły dawać przełom, lecz potrzeba było odpowiedniego układu zdarzeń. Mimo to konsultacja psychologiczna przydawała się nawet, gdy tożsamość sprawcy była znana od samego początku. Przy jej pomocy można było wytypować jego potencjalne kryjówki lub sposób działania po popełnieniu przestępstwa. W tych przypadkach owoce pracy profilerów były jednak mniej spektakularne. Zdecydowanie lepiej było zyskiwać zwolenników w trakcie śledztw dotyczących rozmaitych niezidentyfikowanych monstrów. To była prawdziwa gratka.

Te przemyślenia uświadomiły Orestowi, że najnowsze informacje powinien jak najszybciej nanieść do sporządzonych wczoraj notatek. Lubił systematykę i prowadził bardzo uporządkowane archiwum, lecz w znacznej mierze pracował również w głowie. Nie potrzebował wszystkiego zapisywać, choć bez wątplenia, gdy tworzył mapy myśli oraz obrazki skojarzeń, bywał bardziej innowacyjny.

Ludzie z pewnością mieli skłonność do wyolbrzymiania. Kiedy w jakiejś okolicy dochodziło do seryjnych mordów, natychmiast pojawiały się rozmaite legendy oraz przesady. Przypominano sobie wydarzenia, które nigdy nie miały miejsca, i historie zasłyszane od osób, które ich nigdy nie opowiedziały.

Skorpion, Zodiak, Unabomber – wszyscy przeniknęli do zbiorowej świadomości, i to nie tylko państw, a całego świata. Kuba Rozpruwacz miał dziesiątki twarzy i setki przypisywanych ofiar. Ed Gein stał się legendą kryminalistyki. Wizerunek Teda Bundy’ego znał chyba niemal każdy mieszkaniec kuli ziemskiej. Jednych morderców idealizowano, innych potępiano, lecz wszyscy trafiali na świecznik. Austriak Jack Unterweger stał się nawet celebrytą, który zorganizował skuteczną kampanię na rzecz swojego przedwczesnego zwolnienia z odbywania kary. Kuriozum.

Potwory, monstra, upiory. To były określenia tak samo precyzyjne jak rzeźnicy, kaci i bestie. Mówiły wiele i nic zarazem. Pozwalały tworzyć rzucające się w oczy nagłówki gazet, a przede wszystkim stanowiły wygodny przedmiot rozmów i plotek. Niosła się w nich odpowiednia energia oraz siła. Wystarczyło, by jedna osoba nadała zbrodniarzowi taki pseudonim, a inni za chwilę go powtarzali. Wystarczyło, że ktoś widział monstrum, i okazywało się, że widziało je mnóstwo innych osób. Nieważne, że nikt nie potrafił go dobrze opisać ani zdradzić żadnych szczegółów. Teraz miał tego najlepszy przykład.

Tyle że w tym wypadku jedni świadkowie nie mogli słyszeć relacji innych. Motyw potwora nie przedarł się również do mediów. Choć tego ostatniego Rembert nie mógł być zupełnie pewny. Ostatni dziennik oglądał przed dwoma dniami, a relacji radiowych słuchał nieregularnie i na wrywki. Ostatnim razem, gdy miał po temu okazję, Langer włączyła audycję katolicką. Na wspomnienie wręcz dziecinnej przyjemności z podobnych scenek, jaką czerpała komisarz, Orest delikatnie się uśmiechnął. Jego myśli znowu zatoczyły krąg i gładko przeszły do najmilszego tematu, jakim oczywiście była Liza.

Nie mógł dłużej tkwić w miejscu, przynajmniej w tej kwestii. Jego życie stanowiło szereg krótkotrwałych zrywów, przedzielanych ciągnącymi się jak makaron okresami stagnacji. Ta ostatnia trwała zbyt długo, a poza tym Orest czuł, że jest gotowy na kolejny krok. Być może jasne określenie swoich pragnień wpłynęłoby na Langer. Może niepotrzebnie przesłaniał wszystko woalką niedojrzałego dowcipu. Liza czasem go zdeprymowała, lecz w głębi duszy czuł, że rozumie ją jak nikt na świecie.

I że ona jego rozumie równie dobrze. Choć oczywiście nigdy by się do tego nie przyznała.

– Nie możesz być łajzą – szepnął do siebie.

Nie była to mowa mobilizująca godna Pattona albo Eisenhowera, lecz Rembert i tak obrócił się na pięcie, po czym niemal biegiem ruszył ku zaparkowanemu w pobliżu mercedesowi.

## 63

Liza straciła dech. Starła się podnieść, lecz miała wrażenie, że jest kompletnie sparaliżowana. Po przetyku pełzł jej nieprzyjemny dreszcz, a płuca paliły. Odrętwienie zaczęło jednak powoli ustępować. Gdzieś z tyłu jej głowy przetoczył się głuchy pomruk. Od strony morza wiatr przywiewał kojący dźwięk szumu fal obmywających plażę. A może był to chlup krwi tryskającej z którejś z jej tętnic?

Zamrugnęła, usiłując się uspokoić. Wokół panował niemal całkowity mrok. Pojedyncza latarnia nie rzucała dość światła, by mogła cokolwiek dostrzec. Poza tym budowla znajdowała się za jej przyczepą, więc Langer z tej perspektywy z trudem rozpoznawała jedynie zarys postaci, która się nad nią pochylała. Nie widziała jej twarzy, skrytej pod luźnym, dużym kapturem. Wydawało się jej, że dostrzega błysk oczu, lecz mogło to być tylko złudzenie. Pod wpływem adrenaliny wyobraźnia płatała rozmaite figle.

Langer starała się obrócić na bok, ale cień momentalnie przesunął się bliżej. Stał butem na jej prawej dłoni tak mocno, że poczuła ból paznokci oraz paliczków. Gdyby zrobił to jedynie nieco bardziej stanowczo, zdruzgotałby jej wszystkie kości. Delektował się jednak jej strachem oraz cierpieniem. Pochylał się, to zwiększając, to połużniając nacisk. Cicho dyszał.

Langer zacisnęła zęby. Przez głowę pędziły jej dziesiątki myśli i pomysłów, co powinna zrobić. Wszystkie jednak wydawały się chybione. Gdyby miała do czynienia z kimś lżejszym i słabszym, mogłaby chwycić za jego kostkę, usiłując zrobić dźwignię. Nie miała jednak wątpliwości, że w tym przypadku zakończyłoby się to połamaniem jej palców.

Nagły zryw i próba uderzenia napastnika w krocze również wydawały się niemożliwe. Gdyby tylko drgnęła, zapewne została kopnięta prosto w twarz. A kątem oka widziała, że oprawca nie ma zwykłych adidasów, lecz ciężkie, solidne trapery. W najlepszym razie straciłaby tylko kilka zębów, a w najgorszym – potężnym kopniakiem skreśliłby jej kark.

Czas płynął w zwolnionym tempie. Langer obserwowała, jak napastnik ciężko nabiera powietrze i powoli się ku niej nachyla. Nie miała pojęcia, czy to jakiś sarkastyczny ukłon, czy jego naturalna pozycja. Nie rozumiała, na ile jego zachowanie oraz ruchy są wyuczoną grą, a na ile odpowiadają rzeczywistym możliwościom. Przez głowę przemknął jej obraz akrobatów starających się utrzymać równowagę na cienkiej linie rozwieszanej ponad szczytami wieżowców. A potem wizerunek jakiejś pokraccznej postaci z dawnych, czarno-białych horrorów. Umysł w chwilach paniki naprawdę potrafił płatać figle.

Wtem monstrum zbliżyło twarz niemal do jej twarzy. Poczowała charakterystyczny zapach, ale nie potrafiła go zaklasyfikować. Zresztą nawet się na tym nie skupiła.

– Dlaczego nie odpuściłaś? – Charkot przypominał słowa wypowiedane przez syntezator. – Dlaczego jesteś taka uparta? Powinnaś wiedzieć, że to nie prowadzi do niczego dobrego, ale mimo to brnęłaś dalej...

Chciała odpowiedzieć, lecz dłoń potwora zacisnęła się na jej gardle. Palce wzięły się w skórę i pozbawiły ją tchu. Miała wrażenie, że krew

dosłownie rozsadza jej czaszkę. Pulsowała w jej skroniach oraz dudniła w głębi uszu. Przed oczami pojawiły się jej mroczki. W głowie się zakręciło, a serce uderzyło ze zdwojoną siłą.

Wtedy z ust napastnika dobył się jęk. Pociągnął nosem i sapnął, choć to wszystko były odgłosy nienaturalne, rodem z jakiegoś świata horrorów i mitów. Odgłosy dobiegające wprost z cuchnących trzewi potwora. A może to tylko pozbawiony tlenu mózg płatał jej figle? Może ona również właśnie uległa wrażeniu pod wpływem sugestywnych opowieści innych osób? Może, może, może...

Traciła przytomność. Jasny punkt przed jej oczami rozszerzał się i zwężał. Nikł, ograniczając się do wielkości główki szpilki kierowanej prosto w jej źrenicę. Takie rozmiary miał cały wszechświat. Taki był rozmiar jej życia oraz nadchodzącej śmierci... Taka była śmierć.

## 64

Rembert dostrzegł dziwny cień pochylający się nad zwiniętą w kłębek sylwetką. Było to nieruszające się, bezwładne ciało. Zwłoki... To jedno słowo przebiegło mu przez myśl i jednocześnie aż zdrętwiał. Nie, to nie mogło się zdarzyć.

- Lizo! - krzyknął, po czym rzucił się w stronę przyczepy kempingowej. - Lizo!

Pędził co sił w nogach, zaciskając zęby i pięści. Dyszał, a na czoło wystąpiły mu krople potu. Serce podeszło mu do gardła, a mózg rozsadzały sygnały alarmowe.

Cień nagle się poderwał i wyprostował. Obrócił się w jego stronę, lecz po chwilowym wahaniu rzucił się do ucieczki. Minął przyczepę Langer, po czym pomknął między kolejnymi z nich. Gdzieś zapaliło się światło, a gdzieś indziej trzasnęły metalowe drzwi. Być może to stróż nocny zbudził się i wyszedł na zewnątrz, ściskając w dłoni latarkę. Jednak

Rembert nawet tego nie zauważał. Wszystko rozgrywało się gdzieś daleko poza nim.

Pokonał kilkanaście metrów za oddalającą się postacią, lecz ta była zaskakująco szybka i zwinna. Pościg nie miał żadnego sensu. Tym bardziej że nie miał przy sobie broni. Poza tym...

Nie. Nie chciał wyciągać jednoznacznych wniosków, a jednocześnie strach powstrzymywał go przed zawróceniem do przyczepy Lizy. Ogromnym wysiłkiem woli przemógł go i truchtem podbiegł do nieruchomego ciała. Z nerwów dusił się i cały drżał. Jednak kiedy tylko się nachylił, Langer odkaszlęła, po czym poruszyła nogami.

– W ostatniej chwili – wyszeptał. – Nic ci nie jest? Możesz wstać?

Liza zamruwała i nieco oszołomiona kiwnęła głową. Wyciągnęła dłoń, a kiedy Rembert podał jej rękę, podpierając się o nią, uniosła się na kolana. Ponownie zaniósła się kaszlem. Spróbowała stanąć, lecz zakręciło się jej w głowie i musiała się podeprzeć o ścianę przyczepy. Orest chwycił ją pod ramię.

– Łapy trzymaj lepiej przy sobie – mruknęła skołowanym tonem.

– I tyle? Żadnego dzięki ani nic takiego? – Rembert ciężko sapnął. Wierzchem dłoni otarł pot z czoła i wypuścił powietrze przez usta. – Co to, kurde, było? Co tu się stało?

– Nie wiem. Nie mam pojęcia, na ile mogę teraz ufać swoim zmysłom.

– Musimy tu ściągnąć kryminalistów, może...

– Nie. – Langer ostro weszła profilerowi w zdanie. – Nie zostawił żadnych śladów, a mnie nic nie jest. Straciłabym cały wieczór na zeznawanie i nic z tego by nie wyniknęło.

– Ale...

– Bardziej się przydam wypoczęta niż zmarnowana. Uwierz mi.

Liza jeszcze raz odkaszlęła i powoli się wyprostowała. Odsunęła się od przyczepy, zadowolona, że jest w stanie ustać na nogach. Rembert, choć ją asekurował, wreszcie również z ulgą odsapnął.

– Poza tym nie jestem przekonana, czy ten ktoś chciał mnie zabić... – odezwała się nagle Langer. – Raczej dostałam ostatnie ostrzeżenie.



- Twoim zdaniem tak wyglądają ostrzeżenia?

- Gdyby chciał skrócić mi kark, mógł to bez problemu zrobić. Jest piekielnie silny.

- Więc to nie był zabójca? To nie jego ścigamy?

Langer ruszyła ku drzwiom przyczepy i wyciągnęła klucz. Wsunęła go do zamka, po czym odwróciła się do Remberta.

- Nie wiem. Może to niewiarygodne, ale nie przedstawił mi się.

- Właśnie dlatego powinniśmy wezwać tu techników... Na pewno nie potrzebujesz pomocy lekarza?

Liza zerknęła na stróża, który przyglądał się im z odległości. Staruszek pojawił się tu dopiero teraz. Westchnęła i wciąż na lekko niepewnych nogach weszła do przyczepy. Zamknęła drzwi prosto przed nosem Oresta.

- Wracaj do domu i odpocznij! - krzyknęła, choć bolało ją gardło. Musiała jak najszybciej się czegoś napić. Miała wrażenie, że ma zmiażdżoną szyję. - I uważaj na siebie... - dodała tak cicho, że na pewno jej nie usłyszał.

Była jednak przekonana, że Orest podąży tropem potwora. Nie mogła temu zaradzić. Nie miała dość sił...

## 65

# NOC

Liza opuściła łóżko, które na co dzień stanowiło bok regału lub fragment stołu. Ze względu na ograniczoną przestrzeń w przyczepie istniało mnóstwo innowacyjnych rozwiązań. Kilka mebli było podwieszanych do sufitu i opuszczanych jedynie w razie potrzeby. Stołki zsuwano pod blat jednego ze stolików tak, że całość tworzyła zwarty kubik. Klimatyzator mieścił się w dachu, a grzejniki oraz głośniki stereo w ścianach pojazdu. Intrygujące rozwiązania dotyczyły sposobu zainstalowania lamp, wywietrzników oraz niewielkiego telewizora, który został dopasowany do wnęki w zabudowie. Najbardziej skomplikowane systemy mieściły się w pomieszczeniu sanitarnym.

Langer niemal nie odnotowała tego, jak wzięła prysznic, lecz niczym lunatyk z mokrymi włosami powlokła się spać. Zwaliła się na łóżko i właśnie wtedy ze zdwojoną siłą odezwał się ból gardła. Paliło ją, jakby kompletnie opuchło podczas najgorszej anginy. Marzyła o jakiejś pastylce lub choćby kropli wody, lecz nie miała siły, by się podnieść. Nagle wszelkie emocje rozplynęły się po jej ciele, szarpiąc mięśnie delikatnymi skurczami. Ból głowy rozsadał jej czaszkę, a oczy – choć zamknięte – wydawały się pulsować. Do tego czuła okropną suchość w ustach.

Z trudem obróciła się na bok. Chciała zmusić się, by wstać, lecz jednocześnie zmęczenie wzięło górę. Przyjemna fala rozluźnienia niemal pozbawiła ją przytomności. W każdym razie przytłumiła ból gardła oraz mięśni. Ululała ją do snu niczym kołdra, w którą matka szczelnie otula swoje ukochane dziecko.

Przed oczami zaczęły się jej przewijać rozmaite obrazy. Zarys dziwnej, pokrzywionej postaci, kulący się cień, światło na przemian rozbłyskujące

i gasnące. Gdzieś w oddali wyl deszczowy pies. Jego skowyt nie był jednak posępny, lecz jakby ją przed czymś przestrzegał. Tak samo jak wtedy, gdy zbliżała się do przyczepy, a napastnik ją zaskoczył.

Deszczowy pies bywał jej przyjacielem. Oswoiła go i wiedziała, że będzie jej towarzyszył do samego końca. To jego pisk lub ujadanie będzie ostatnim, co usłyszy w swym życiu. Nie bała się go. Kiedyś wydawało się, że deszczowy pies chce doprowadzić ją do upadku, ale tak wcale nie było. Zrozumienie i ucieleśnienie depresji pozwalało zrozumieć, że choć ta jest jej przymusowym towarzyszem, może być również pożyteczna. Dzięki szarościom podbijane są przecież inne kolory.

Skowyt rozlegał się raz po raz, jakby deszczowy pies chciał zwrócić jej uwagę. Bywał irytujący, lecz Langer przekonywała się, że robi to po to, by zmusić ją do wstania. Jeżeli podniosła się z łóżka i była na tyle wściekła, by cisnąć w niego butem, znaczyło to, że chce żyć. Że chce się jej poruszyć i że ma dość siły, by trwać. A dla osoby z depresją już samo to było ogromnym sukcesem.

Skowyt... Cholerny skowyt.

Rozbrzmiewał w jej mózgu i wyrywał ze snu. Nie wiedziała, o czym śniła, a co wydarzyło się naprawdę. Czy gardło w ogóle ją bolało? Czy napaść nie przyśniła się jej i czy aby snem nie było również to pochrzanię śledztwo?

Skowyt zyskał konkretny dźwięk. Urealnił się tuż obok niej i wznął się daleko głębiej niż zwykle. Langer otworzyła oczy, po czym dostrzegła lekką poświatę.

Telefon. Ktoś dzwonił do niej w środku nocy, a to nigdy nie wiązało się z niczym dobrym.

Langer było zimno. Może winę za to ponosiła pogoda oraz wyjątkowo przenikliwy północny wiatr, a może pobudzone do granic szaleństwa nerwy. Okazało się, że nie przespała więcej niż czterech godzin. Dopiero zbliżał się świt, lecz informacja o zwłokach odkrytych w pobliżu Małego Błędnika natychmiast ją rozbudziła. Odegnęła jednocześnie dotychczasowe skłębione myśli i nastawiła ją w gotowości do działania.

W ciągu kilku minut od telefonu była już w aucie. Lokalizacja zwłok wskazywała, że mogą mieć związek z działaniami seryjnego mordercy. Choć Liza nie wiedziała niczego więcej. Zanim powiedziano jej, czego powinna się spodziewać, rozłączyła się i sprawdziła, czy ma naładowaną baterię telefonu. Zresztą i tak nic nie mogła zaradzić na jej stan.

Zastanawiała się, czy zadzwonić do Remberta. Z jednej strony sądziła, że ktoś go powiadomił, a z drugiej miała nadzieję, że mu odpuszczono. Nie było sensu, żeby marnował kolejną noc. Choć z drugiej strony... A jeśli rzucił się w pogoń za potworem? Nie powinien tego robić, ale...

Ucięła ten potok skojarzeń. Myślała matczynymi kategoriami. Zdawała sobie sprawę, że jego zmysł psychologiczny oraz instynkt w połączeniu z oględzinami miejsc zbrodni potrafią zdziałać cuda. Potrzebował tylko inspiracji oraz właściwego bodźca. Nagle, niczym geniusz pod wpływem objawienia, rozgryzał psychikę mordercy, jakby od lat prowadził jego terapię. Wielokrotnie widziała, jak wyglądał ten proces.

Jej wątpliwości zostały niebawem rozwiane. Gdy tylko zatrzymała się na poboczu i wyszła z auta, jej wzrok spotkał się z poważnym spojrzeniem Oresta. Rembert był ubrany tak samo jak zeszłego wieczora, więc sądziła, że w ogóle nie wrócił do domu. Miał zmęczone, przekrwione oczy oraz stężałą twarz. Z trudem zdobył się na wymowny uśmiech, po czym pomachał do niej. Zawsze zaskakiwało ją, jak krótko i słabo potrafi się na nią złościć.

Podeszła w jego stronę, mijając dwa radiowozy z włączonymi stroboskopami. Nigdzie nie dostrzegła karetki ani techników. Najwidoczniej na miejsce przybyła jako jedna z pierwszych.

– Tam... – Rembert skinął głową w stronę metalowej barierki.

Znajdowali się przy Wałach Jagiellońskich, a zwłoki najwyraźniej leżały w obniżeniu terenu obok balustrady. Przykrywało je trochę ziemi oraz gałęzie, w stronę których dwóch funkcjonariuszy kierowało światło latarek. Na górze, niedaleko ulicy, znajdowały się przystanek tramwajowy oraz niewielka wiata. Gdy Langer odnotowała te wszystkie szczegóły, poczuła nieprzyjemny, drażniący nozdrza odór. Ohydny zapach, jakiego nie można pomylić z żadnym innym. Zerknęła na Oresta, a potem na stojącego obok niego policjanta. Ten zasłonił nos wierzchem dłoni.

– Nie powiedziano ci, jak wygląda sytuacja? – zagadnął Orest. – Lepiej się przygotuj.

– Na co?

– Zwłoki nie są zbyt świeże. Śmieciarze myśleli, że to jakaś zwierzęca padlina, a tych nie mogą zabierać. Dlatego postanowili wezwać sanepid. Odór był tak duży, że uznali, że zagnał się tu jakiś dzik albo coś w tym stylu. Dopiero gdy zeszli tam na dół... Domyślasz się chyba, co zobaczyli?

Langer nie zamierzała się domyślać. Włączyła latarkę w telefonie i zwinnie przeszła przez barierkę. Gardło zaczynało ją boleć jeszcze mocniej niż wtedy, gdy kładła się spać. Sądziła, że to kwestia osiadającego na jego ściankach fetoru. Powstrzymała się przed odchrząknięciem i skierowała światło latarki na zwłoki. Skrzywiła się z obrzydzeniem.

## 67

– O ile nie mamy do czynienia z bliźniętami, obstawiam, że tym razem trafiliśmy na faceta z naszego rodzinnego albumu. Można rozpoznać charakterystyczny zarost oraz fryzurę. Po bokach krótko, na górze długo, tak strzygły się kiedyś gwiazdy disco polo, ale dziś to raczej rzadki widok. Zapewne mógł utrzymać higienę jedynie przy użyciu nożyczek.

Rembert stanął obok Langer i założył ręce za plecy. Zachowywał się, jakby z wszystkich sił chciał pokazać, że ohydne, nabrzmiałe zwłoki

w ogóle go nie ruszają. Ciało było po części nagie, do tego w dość daleko posuniętym stadium rozkładu. Przybrało kolor fioletooczarny, brzuch urósł do rozmiarów sporego balona, a jedną stopę nadgryzło jakieś zwierzę tak głęboko, że spod gnijącego mięsa odsłonięta została kość.

– Kiepska sprawa, co?

– To równie dobrze mogłaby być ofiara wypadku – zauważyła Langer. – Znajdujemy się przy ruchliwej drodze, ktoś mógł wbiec pod samochód, a siła uderzenia przerzuciła ciało nad barierką ochronną. Łatwo doszukujemy się znajomych cech wśród ofiar. Tym bardziej z twarzą, z której niewiele można wyczytać...

– Starasz się zacząć ten dzień od pozytywnego myślenia?

– Nie, po prostu zdaję się na zdrowy rozsądek.

Rembert uśmiechnął się ponuro i stanął naprzeciw Langer. Zwiesił głowę, po czym cicho odchrząknął. Smród mimo wszystko dawał mu się we znaki i przyprawiał o mdłości.

– Lizo, ja już tam zszedłem – oznajmił grobowym tonem. – Włożyłem mu palec do ust i nie mam wątpliwości, że tkwi w nich coś metalowego. Nawet przy założeniu zbieżnej fizjonomii raczej mało osób chodzi obok tej ulicy z monetą w ustach...

– Raczej mało – przyznała Langer.

– A gdy weźmie się pod uwagę stan zwłok, jest to pierwsza znana nam ofiara zabójcy. – Rembert zacisnął usta i zmarszczył czoło. Przez chwilę nad czymś się zastanawiał, wreszcie dodał nieco łagodniejszym głosem: – W takim razie mamy do czynienia z jego prawdopodobnym pierwszym krokiem, a te najlepiej obrazują motywacje seryjnych morderców. Ciekawe jest to, że starał się ukryć zwłoki...

– Trudno o to w tym miejscu.

– Ale przynajmniej nie działał tak ostentacyjnie jak w kolejnych przypadkach. A to już coś znaczy, prawda?

Liza nie odpowiedziała. Odwróciła się, słysząc głosy dobiegające od strony ulicy.

– Są technicy. – Rembert pomachał w stronę kobiety zakładającej właśnie ochronny kaptur. – Przybyła kawaleria...

Langer nie zareagowała na próbę rozluźnienia atmosfery. Jeszcze raz zerknęła na zwłoki, po czym wyłączyła latarkę. Wyprostowała się i zagryzła usta.

– Niech się pośpieszą. Ciało musi jak najszybciej trafić do identyfikacji oraz badań w zakładzie medycyny. – Gwałtownie odwróciła się do Remberta, po czym dodała: – Nie wiem dlaczego, ale ja również mam wrażenie, że tym razem możemy się dowiedzieć czegoś istotnego. Coś mi tu się nie zgadza...

– Pierwsze razy bywają pełne błędów – skwitował Orest. – Jeśli zabójca miał je popełniać, to właśnie w tym przypadku. To nasza największa szansa.

– Chyba jesteśmy przesadnymi optymistami, mój drogi. Ale czy pozostało nam cokolwiek innego niż wrodzony optymizm?

Langer, mówiąc to, nawet się nie uśmiechnęła.

## 68

Po kilku godzinach niecierpliwego czekania, wypiciu paru kaw przez Lizę oraz wlaniu w siebie kilku litrów yerby przez Remberta nadeszła wiadomość, że autopsja odnalezionego ciała wreszcie dobiegła końca. Właśnie w tamtym momencie Langer i Orest przeglądali w peugeocie ostatnie raporty oraz notatki ze śledztwa. Niemal nie rozmawiali. Byli pogrążeni w zadumie, własnych myślach oraz ciągach mniej lub bardziej przekonujących analiz. Telefon wprowadził ich w głupawe pobudzenie.

– Mówię ci, sprawca zaszył mu coś w brzuchu – bąknęła Liza.

– Własną dłoń z odciskami palców – zripostował Rembert. – Ot, błędy początkujących seryjniaków, którzy chcą być charakterystyczni.

- To by było stanowczo zbyt łatwe. Wystarczyłoby, żeby wpadł mu tam jego dowód osobisty.

- Albo żeby zostawił list, najlepiej napisany własnoręcznie.

- Taaa i podpisany. Unabomber.

- Unabombera nie szukano przesadnie długo.

- Ale Zodiaka już tak. Zdaje się, że w ogóle nigdy go nie znaleziono.

Langer chciała zripostować, lecz w tym momencie weszli na korytarz zakładu medycyny. Przemierzali go po raz kolejny w ciągu trzech dni i Rembert mógł się założyć, że znał prawidłową liczbę kroków dzielącą wejście od gabinetu doktor Wiger. Pani patolog nie zastali jednak w środku, a karteczka przyczepiona do drzwi informowała, że za chwilę wraca.

- Przerwa obiadowa? - zdziwił się Orest.

- Albo odprawa... Tu również mogą mieć procedury tak skostniałe jak policyjne.

- „Skostniałe”. Podoba mi się ten dowcip. Poza tym...

Rembert odwrócił się i dostrzegł w głębi korytarza doktor Wiger. Patolog machała, by poszli za nią. Uczynili to, choć tym razem podążyli inną drogą, nieprowadzącą najwyraźniej do chłodni. Kiedy po kilku minutach weszli do dużego pomieszczenia, od razu rzuciły się im w oczy rozmaite wirówki, maszyny dozujące oraz specjalistyczne komputery przypominające szpitalne tuby do wykonywania tomografii.

- Mamy niektóre wyniki - oznajmiła Wiger. - Nie wszystko musi iść do laboratorium, więc udało mi się zaoszczędzić nam nieco czasu.

- Mianowicie? - zapytała Langer. - Na czym polega ta nadzwyczajna oszczędność?

- Przede wszystkim znamy przyczynę zgonu denata. Ten mężczyzna zginął od ciosu zadanego nożem w klatkę piersiową. A raczej blisko czterdziestu takich ciosów...

Rembert cicho gwizdnął. Langer jednak nie okazała żadnych emocji.

- To akurat pani robota, niewymagająca specjalistycznego sprzętu - skwitowała. - Dlatego sądzę, że sprowadziła nas tu pani w innym celu.



– Owszem. Mamy na przykład to...

Wiger podała Lizie wydruk leżący dotąd na dużej drukarce. Komisarz po chwili wahania sięgnęła po niego i dokładnie zaczęła go lustrować. Kolumny obliczeń oraz wykresy nie były jej najmocniejszą stroną.

– Chodzi o to, że zidentyfikowano trupa, tak? To mąż kobiety ze zdjęć? Ten, którego znamy z albumu?

– Dokładnie. DNA nie pozostawia żadnych wątpliwości. Choć to wstępny, ogólny test...

– W takim razie to wygląda na zbrodnię rodzinną – parsknął Rembert.  
– Może powinniśmy zrobić test DNA temu nauczycielowi, a okazałoby się, że mamy do czynienia z jakimś spaceniem genów. Wyżynają się wzajemnie albo jednocześnie podpadli jakiemuś świrowi...

– Pierwsza ofiara nie miała z nimi nic wspólnego – zauważyła Langer. – I tym ciekawsze to się wydaje...

– Ale jest coś jeszcze ciekawszego – oznajmiła Wiger, wyciągnawszy z drukarki następny wydruk. – Pewnych rzeczy nie lubię pokazywać bezpośrednio na zwłokach, a ta jest jedną z nich. Dlatego spójrzcie na to zdjęcie. Rozumiecie, co tu się stało?

## 69

– Zaraz, zaraz. Zrobmy krótkie *résumé*. – Langer skubnęła dolną wargę i jeszcze raz zerknęła na wydruk fotografii. Była czarno-biała, lecz za to bardzo ostra. – Twierdzi pani, że tego człowieka kilkadziesiąt razy dźgnięto w klatkę piersiową, a potem wykastrowano? W sensie obcięto mu ptaszek?

– Oraz jądra – sprecyzowała Wiger. – Poza tym nie twierdzę, że tak jest, tylko... tak jest. Moje zdanie tu nie ma nic do rzeczy, analiza sytuacji nie pozostawia żadnych wątpliwości.

– Po co ktoś miałby to robić?

– Czy to nie wy powinniście to ustalić? Mogę wam wymienić tysiąc powodów, dla których ludzie kastrują koty, ale nie sądzę, żeby wam pomogły.

– Człowiek to nie kot.

Langer wymownie zerknęła na Remberta, który ukradkiem przewrócił oczami. Owszem, miał co najmniej kilka koncepcji dotyczących podobnego zachowania sprawcy i skinieniem głowy dał znać, by wyszli na zewnątrz. Gdy kilka minut później znaleźli się na dworze, niezwłocznie się nimi podzielił z Lizą.

– Kastracja najczęściej uchodzi za formę upokorzenia ofiary płci męskiej – stwierdził stanowczo. Nawet się nie zająknął na temat motywacji kastracji kotów. – Ma podłoże całkowicie przeciwne względem podobnego działania na ciałach kobiet. Mordercy sięgają do organów żeńskich po to, by czerpać seksualną podniecie, a w przypadku jąder podobne motywacje są niemal nienotowane.

– Ale dopuszczalne?

– Dopuszczalne jest wszystko, co tylko zdołasz sobie wyobrazić. Jednak w życiu najczęściej sprawdza się przede wszystkim statystyka... Choć wyobraźnia czasem również.

Langer zapaliła papierosa i głęboko się zaciągnęła. Z dziką rozkoszą przytrzymała dym w płucach, po czym wypuściła go prosto w twarz Oresta.

– Okej, niech będzie. Jakie są jeszcze inne przyczyny takich zachowań sprawców? Co mówią twoje mądre podręczniki do statystyki?

– Podręczniki są do psychologii, ale każda nauka bazuje na pewnych próbach i na...

– Daj spokój. Mam cię uwędzić w tym dymie?

Rembert westchnął. Wykonał w powietrzu gest mający naśladować pchnięcie w ruch kołyski Newtona, po czym zerknął Langer prosto w oczy.

– Ta pierwsza motywacja dotyczy blisko siedemdziesięciu procent zabójstw. Mogę się mylić o pięć procent, ale nie więcej.

– Zostaje nam w takim razie blisko jedna trzecia przypadków.

– Owszem, ale trudno mówić o konkretnej grupie dominującej. – Orest przybrał ton wykładowcy akademickiego. Mrużył oczy i spoglądając w niebo, marszczył czoło. – Właściwie wiele zależy również od lokalizacji... Możemy pominąć dywagacje co do motywacji kastrowania ofiar przez sprawców z Oceanii albo Amazonii.

– Brawo, to również podpowiada statystyka?

– Tak, ale nasze europejskie nie odbiegają od nich pod względem obłądu. Mianowicie poza aspektem upokorzenia za mordami najczęściej stoi jeden motyw... Zazdrość.

– Stoi to, że nie stoi? – parsknęła Liza. – Faceci...

– Może chodzić również o zemstę za upokorzenie na tle seksualnym, za odbicie partnerki i tak dalej, chyba że...

Rembert nagle zamilkł. W kieszeni poczuł wibrację telefonu. Wyciągnął go i natychmiast odebrał.

– Mamy bardzo ciekawe, nowe wieści – oznajmił sierżant z grupy dochodzeniowo-śledczej. – Ten informatyk z Lublina, którego poprosił pan o konsultację, Ariel czy jak mu tam...

– ViSir – poprawił go Rembert. – Co z nim?

– Odkrył coś. Powiedział, że to „paskudna wiadomość”, użył dokładnie tych słów. A potem dodał, że chce rozmawiać konkretnie z panem i to na bezpiecznym łączu...

– Informatycy... – Orest sparafrazował Lizę, po czym podążył za nią ku peugeotowi. – No co? – zapytał, otwierając drzwi. – Przyjechałem tu taksówką...

## 70

– Coś ty wymyślił, Oreście? Niby co takiego mógł znaleźć ten informatyk?

– Zaraz się przekonamy, podsunąłem mu kilka ciekawych tropów.

– Nie było żadnych specjalistów w Gdańsku?

– Byli. Ale ViSir kiedyś nam bardzo pomógł, a ja wierzę, że szczęście trzyma się pewnych ludzi. A wtedy i ja się ich trzymam. To znowu kwestia statystyki.

Langer z dezaprobatą pokręciła głową i pchnęła drzwi do sali konferencyjnej. Pomieszczenie posiadało rozmaite systemy bezpieczeństwa, a zawieszony na ścianie ogromny ekran służył jednocześnie za telewizor, monitor oraz system łączności. Najnowszy gadżet został zakupiony za pieniądze podatników niespełna przed rokiem i stanowił chlubę naczelnika wydziału zaopatrzenia. Używano go ledwie kilkukrotnie, w tym przede wszystkim do konferencji testowych. Nic dziwnego, że ViSir chciał skorzystać z połączenia dekodowanego właśnie na tym urządzeniu. Informatycy mieli rozmaite zboczenia oraz upodobania. A także niezaspokojoną ciekawość.

– Jak to się włącza? – Langer sięgnęła po pilota i obróciła go w dłoni. Nie dostrzegła na nim żadnych przycisków. – To jakiś badziew...

– Ma dotykowy touchpad.

Rembert wziął urządzenie z jej dłoni i delikatnie przeciągnął opuszką palca po jego bocznej krawędzi. Natychmiast rozbłysnął ciekłokrystaliczny ekran. Przy jego pomocy profiler włączył ekran, na którym pojawił się symbol klepsydry.

– I co teraz?

– Zaczekaj. Czy ty nigdy nie potrafisz być cierpliwa?

– To stan skupienia znany tylko takim rozmemłancom jak ty.

Orest westchnął i zerknął na telefon. W wiadomości tekstowej otrzymał specjalny kod, którym miał się posłużyć przy nawiązywaniu połączenia. Kiedy tylko klepsydra zniknęła, wpisał go i ekran niemal natychmiast wyświetlił wnętrze pomieszczenia pełnego rozmaitych elektronicznych sprzętów. Nie upłynęło pięć sekund, gdy w głębokim fotelu zasiadł gruby, potargany mężczyzna w bluzie z napisem „2tea2room22”.

– Two tea to room two two – odczytał Rembert. Uśmiechnął się i wyrecytował w innym tempie: – Tutitutumtutu... Zabawne.

- I stare - skwitowała Langer.

Po chwili cała trójka pokrótce się przywitała, po czym ViSir, widząc nagłące gesty Lizy, przeszedł do sedna. Odchrząknął i wyświetlił na ekranie skomplikowany, kilkukolorowy wykres.

- Jeżeli to wyniki czyjegoś DNA, to pasują - mruknęła Langer. - Mówcie do mnie prostymi słowami.

- To rozpisana analiza plików graficznych, w jakich pierwotnie zostały zapisane zdjęcia, które trafiły do albumu - wyjaśnił ViSir. - A właściwie nie plików, lecz obrazów, bo całość z pewnością nie podlegała wtórnemu przetworzeniu przy użyciu systemów informatycznych...

Langer spojrzała na Remberta i się skrzywiła.

- Co on bełkocze? Rozumiesz coś z tego?

- Tsss... Zaraz powinien to wytłumaczyć.

- Już tłumaczę - oznajmił ViSir. - Wasz mikrofon zbiera nawet szepty, więc możecie mówić głośno.

Rembert i Langer zerknęli na siebie nieco zmieszani. Liza swoim zwyczajem oparła się o blat stolika, po czym splotła ręce na piersi.

- Czekamy na te wyjaśnienia - pośpieszyła. - Może to nietypowe, ale jestem kobietą uwielbiającą konkrety.

Na ekranie ponownie wyświetlił się ViSir. Przynajmniej się bliżej kamery tak, że niemal cały kadr wypełniała jego pyzata, spocona twarz.

- Aparat, którego użyto do zrobienia przynajmniej późniejszej części zdjęć, nie mógł posiadać samowyzwalacza - stwierdził, z trudem hamując euforię. - O ile nie użyto jakiegoś wymyślnego systemu zwalniania migawki, w co szczerze wątpię, musiał być ktoś, kto go obsługiwał. Rodzinka najwyraźniej nam się powiększa.

Po tym, jak ViSir zniknął z ekranu, w pomieszczeniu konferencyjnym zapanowała kompletna cisza. Langer i Orest niemal jednocześnie zwalili się na krzesła, po czym ponuro zwiesili głowy. Z twarzy profilera zniknął zwykły, niemal nieodstępujący go wyraz pełnego energii entuzjazmu. Wszystkie koncepcje, nad którymi pracował w ostatnim czasie, brały w łeb. Z całych sił starał się dopasować motywację zabójcy do nowego odkrycia, lecz nie potrafił wymyślić niczego sensownego. Miał wrażenie, że coś istotnego umyka mu sprzed nosa, choć jest oczywiste. Podniósł wzrok i zerknął na Lizę.

Langer odchyliła się w krześle i założyła nogę na nogę. Gdyby nie znała się jej charakteru, można by pomyśleć, że medytuje. Tymczasem cicho mruczała coś do siebie i delikatnie potrząsała głową. Kręciła palcami młynek, co stanowiło dowód jej największego skupienia. Nagle drgnęła i z gniewną miną pchnęła stopą stojące obok krzesło. To zabujało się i z hukiem upadło na podłogę.

– Jezu, uspokój się – mruknął Rembert. Podeszedł do krzesła i postawił je w bezpiecznej odległości od Lizy. – To nic nie da. Poza tym...

– Poza tym co? Na co się tak gapisz, Oreście?

– Nie pogadaliśmy o wczorajszym incydencie. Mam wrażenie, że cały czas tkwi ci w głowie, prawda?

Langer kpiąco wyduła usta. Przewróciła oczami i podniosła się z miejsca.

– Nie chodzi o sam atak ani o to, że się przestraszyłam. A tym bardziej o to, że spłoszyłeś tego kogoś – dodała znacząco. – Po prostu coś zwróciło moją uwagę. Zastanawiam się nad tym i nie potrafię przetrwać myśli...

– Wyraż je, daj im upust, a może się uda – zachęcił ją Rembert. – Ludzie często za to płacą, a ty możesz to zrobić za darmo.

– Żartowniś się znalazł od siedmiu boleści. – Langer zerknęła na niego, ale w jej spojrzeniu nie kryła się hardość sprzed chwili. Można w nim było dostrzec raczej zadumanie i chęć zrozumienia jakiegoś głębszego problemu. – Rzecz w tym, że nie wiem, czy zwróciłam uwagę na to, co jest istotne.

– Chyba musisz mówić dalej, bo nie do końca rozumiem.

– Pamiętasz moment, gdy w tamtej piwnicy zaatakował mnie narkoman? Gdy kogoś spłoszyłeś, choć wtedy nie wzięliśmy na poważnie wersji, że mógł to być człowiek, którego szukamy?

Rembert skinął głową. Zaintrygowany uważnie przyjrzał się Lizie. Komisarz przeniosła wzrok na ścianę, a następnie przymknęła oczy.

– Wtedy po raz pierwszy poczułam charakterystyczny zapach – wyjaśniła. – Coś, jakby słodycz potu zmieszana z wonią smaru lub czegoś takiego. Trudno to opisać.

– Okej, rozumiem. A kiedy był ten drugi raz? Czy...

– Tak. Właśnie wtedy, gdy wczoraj zostałam zaatakowana. Nie mam wątpliwości, że w obu przypadkach mieliśmy do czynienia z tą samą osobą.

Rembert głośno jęknął. Wygrał palcami nerwową melodię na blacie stołu, po czym skinął głową.

– Uważasz, że po raz pierwszy chciał cię zaatakować w piwnicy, ale mu się nie udało? Wczoraj ponowił atak, choć przy użyciu całkowicie odmiennych środków, jeśli przyrównywać pięści do strzykawki...

– Właśnie w tym rzecz. To całkowicie niespójne, prawda?

Langer zsunęła się ze stołu i przeszła kilka kroków po pomieszczeniu. Nagle się zatrzymała, po czym ponownie wbiła wzrok w Remberta.

– A jeśli on mnie chroni?

Jej pytanie przecięło powietrze jak nóż. Zaintrygowany Orest nerwowo obliznął wargi i wyciągnął trzymany w kieszeni notatnik. W głowie zakotłowały mu się rozmaite koncepcje, jakby otworzono drzwi do nowej galaktyki.

Orest działał jak opętany. Mamrotał do siebie, spoglądał to w strop, to w podłogę, wreszcie Liza zrozumiała, że prosi, by poszła z nim do ich

gabinetu. Wystrzelił na korytarz i jak oparzony pognał do wind. W ostatniej chwili rozmyślił się, po czym ruszył ku schodom, wszedł piętro wyżej, a następnie ponownie przywołał kabinę.

– Oszalałeś? – Langer spojrzała na niego spode łba, gdy znaleźli się w środku. Pokonywali kolejne piętra, ale Rembert niezmiennie tkwił w swoim świecie. Na przemian uśmiechał się i zrezygnowany wzdychał. Zerkał przy tym do notatnika, czyniąc w nim długopisem krótkie wpisy. – Halo? Oreście Rembercie? Złotousty?

– Tss....

– Mój kochanku?

– Taa... – Rembert kiwnął głową, spoglądając na nią nieco przytomniejszym głosem. W tej samej chwili drzwi kabiny się rozsunęły i przepuścił ją w progu na korytarz. – Zastanawiają mnie kolejne ofiary – oznajmił, gdy ruszyli w stronę gabinetu. – Być może ty miałaś być jedynie przynętą. Obstawiam, że mogłaś nigdy nie stanowić bezpośredniego celu. Zamordowawszy swoją pierwszą ofiarę, sprawca nie popełnił żadnego błędu. Popełnił go później, i to wcale nie jeden...

– Co ty pleciesz?

– Czy myślisz, że moneta to jego znak rozpoznawczy?

– Odpowiadając pytaniem na pytanie, nie dojdziemy do żadnych konkretów. Ale tak, moneta to jego znak rozpoznawczy. Chyba nie powiesz mi, że jest inaczej?

Orest pstryknął palcami i tym razem, nie bacząc na kurtuazję, jako pierwszy wszedł do gabinetu. Natychmiast skierował się do biurka. Włączył komputer i odruchowo pchnął kołyskę Newtona. Langer nie zwróciła na to uwagi. Kulki zaczęły wystukiwać regularny, metaliczny takt.

– Kolejność ofiar jest bardzo istotna. – Orest zasiadł przy biurku i zaczął pośpiesznie kreślić coś na kartce. Nagle ją odwrócił, po czym pokazał Lizie. – Facet ze zdjęcia, Kruk, kobieta ze zdjęcia, nauczyciel. Pierwsze i trzecie zabójstwo mamy ze sobą połączone na sto procent jak bum-cyk-cyk. Drugie ze sprawą łączy ośrodek pomocy społecznej, a przede wszystkim fakt, że ofiara zastępowała Milenę Dycką, którą



znowuż z ofiarami łączy nie tylko praca w ośrodku, ale i album zdjęciowy...

– Nadal to brzmi cholernie skomplikowanie. I wszystko to wiem, więc nie masz powodu, by się tak podniecać.

– Wykreślmy Kruka.

– Co takiego?

– Wykreślmy go z równania, jako zmienną wątpliwą, tak to się chyba nazywa w szyfrologii.

Orest kilkakrotnie przekreślił długopisem nazwisko zamordowanego. Następnie zastukał palcem w miejscu, gdzie wcześniej zanotował dane Henryka Fidlera. Zerknął na Langer i włączył na komputerze skrzynkę pocztową.

– ViSir nie tylko pracował nad fotografiami oraz ich zapisem. Poprosiłem go o coś jeszcze...

Liza zerknęła nad ramieniem Remberta na ekran. Przeczytała nagłówek maila oraz listę załączników, które kolejno otwierał profiler.

– Akta osobowe? Rejestry elektronicznych dzienników oraz zapisy obiegowe notatek gdańskiego kuratorium oświaty?

– Nie wszystkie sprawy trafiają przed sąd, prawda? Poza tym osoba Fidlera w dziwny sposób stanowi spoinę dla całej sprawy. Znamienne jest również to, jak ginęły kolejne ofiary. Kiedy powiedziałaś o tym, że może wcale nie miałaś skończyć z igłą wbity w kark, ale zostałaś uratowana...

– To? Znowu mówisz półsłówkami, Oreście.

Rembert zastygł w bezruchu. Na ekranie otwarty był jeden z załączników przesłanych przez ViSira. Usta profilerki powoli wydymały się w uśmiechu zaintrygowania, tryumfu oraz kompletnego pomieszania. Żaden aktor nie byłby w stanie odtworzyć tej gamy emocji.

– Tak jak przypuszczałem... – odezwał się nagle. – Mało kto odchodzi na wcześniejszą emeryturę bez istotnego powodu... I w tym kontekście przemiana duchowa oraz katolickie nawrócenie również nabierają nowego znaczenia, prawda?

Liza z ociąganiem skinęła głową. To odkrycie było nadzwyczaj intrygujące i pozwalało spojrzeć na sprawę z zupełnie nowej perspektywy.

## NIECO WCZEŚNIEJ

Wystarczył sprzęt alpinistyczny. Zresztą było to i tak określenie użyte znacznie na wyrost. Chodziło o grubą linę, hak oraz dobrze dobrane buty z rakami. Wszystko można było zrobić samemu lub wykorzystać elementy znalezione wokół magazynów portowych. Wymagało to nieco inwencji i pomysłowości, lecz przecież nie stanowiło nadmiernego wyzwania. Wściekłość pobudzała kreatywność. Swoją drogą przez wiele lat można wpaść na naprawdę wiele ciekawych pomysłów.

Powoli, jakby z ociąganiem, nadchodził świt. Niebo od wschodu nieco się przejaśniło, choć wokół panował jeszcze zimny mrok. Nadal paliły się latarnie, jednak ta od strony podwórza od wczoraj się nie świeciła. Zapewne ci, którzy to spostrzegli, podejrzewali spaloną żarówkę, lecz w rzeczywistości doszło do drobnego zwarcia. O to również nie było trudno. W magazynach portowych istniało wiele materiałów dotyczących elektryki.

Potwór nie musiał się martwić, że będzie zauważony. Zresztą ostatnio coraz częściej działał pod wpływem impulsów, nie myśląc o konsekwencjach ani o przyszłości. Jego misja dobiegała końca. Jego życie dopełniało się i nabierało sensu. A w chwili spełnienia jeszcze bardziej istotne od trwania stało się przemijanie. To była jedna z najważniejszych refleksji, nad którymi medytował w ostatnich dniach.

Podciągnął się na linie i upewnił, że ta trzyma się wystarczająco mocno. Przez dwa dni szukał właściwego tropu, a potem całą dobę obserwował budynek. Nie pomylił się. Wystarczyło śledzić policjantów wyjeżdżających z komisariatu i zmieniające się grafiki. Wymagało to nieco zawracania głowy, a przede wszystkim odebrało mu sen, ale potwór

wiedział, że poza pilnymi wyjazdami dyżury nocne pełnią tylko najpotrzebniejsi gliniarze. W tym ci, którzy mieli kogoś chronić.

Właśnie dlatego odciągnął część sił, umożliwiając im odkrycie zwłok. Wygrzebał je spod gałęzi, naprowadzając tym samym na trop śmieciarzy. Teraz nie miał żadnych wątpliwości. Zarys postaci, którą widział poprzedniego dnia, musiał należeć do tej osoby, której szukał. Nie mógł niestety wejść do hotelu, aby się upewnić, lecz rzucił martwego gołębia w okno, aby sprowokowana kobieta wyszła na balkon. W wieczornym świetle nie mógł się mylić.

Sprzyjało mu szczęście. Gdyby jej pokój znajdował się od strony morza, ryzykowałby znacznie więcej. Bulwarem mimo późnej pory nieustannie poruszali się pojedynczy spacerowicze lub rowerzyści. Nigdy nie było wiadomo, co do głowy przyjdzie ludziom, którzy nie mogą zasnąć. Sam stanowił tego najlepszy przykład.

Podciągnął się i stanął na parapecie. Ciężko odsapnął. Wycięcie szyby nie stanowiło żadnego problemu, szczególnie gdy miało się właściwy sprzęt. Robił to cicho i sprawnie. Musiał tylko uważać, by wykrojona tafla nie spadła na ziemię i nie narobiła hałasu. Kiedy wreszcie mu się udało, przeszedł przez niewielki otwór w drzwiach balkonowych. To wymagało trochę sprawności, lecz mimo pokracznego ciała zrobił to nadzwyczaj sprytnie.

W momencie, gdy stanął nad łóżkiem, w którym spała Milena Dycka, przebiegł go dreszcz radości. Wreszcie mu się udało! Miał ochotę krzyknąć i wyc z szczęścia. Z trudem opanował emocje, po czym pochylił się tuż nad nią. Zasłonił jej usta i jednocześnie wbił w jej ramię strzykawkę. Nacisnął tłoczek, spoglądając w szeroko rozwarte oczy kobiety gwałtownie wyrwanej ze snu.

– Mam cię – wyszeptał. – Dzień dobry.

Jej wzrok momentalnie zaszedł mgłą.

„Nauczyciel chemii oskarżony o produkcję narkotyków”.

Langer z niedowierzaniem dwukrotnie przeczytała nagłówek zeskanowanej gazety, po czym zerknęła na inicjały owego nauczyciela. Henryk F. To wystarczyło, by rozwiały się wszelkie wątpliwości. Rembert wraz z lubelskim informatykiem dokonali właśnie – zdawałoby się – przełomowego odkrycia. Fidler wcale nie odszedł na wcześniejszą emeryturę dlatego, że znudziła mu się praca w szkole. Choć udało mu się uniknąć rozprawy sądowej, musiał pożegnać się z pracą. Część jego akt została utajniona i nawet dokumentacja z prowadzonego śledztwa nie trafiła w ręce policjantów.

– Dziwne... – bąknął Orest. – Akurat do tego powinniśmy mieć łatwy dostęp. O co chodzi? Przecież mamy rejestry wspólne z prokuraturą, a wszystkie bazy danych zostały zelektronizowane już lata temu...

– Niekoniecznie.

Langer uśmiechnęła się i pstryknęła palcami. Odwróciła twarz od ekranu, po czym zerknęła na Remberta.

– Jest jedna możliwość, która odpowiada na wszelkie pytania. Koniec kariery, brak dokumentów, specyficzny status życia z żoną, teoretyczna odnowa religijna...

– Chyba nie kumam – skwitował Rembert. – Może mnie oświecisz?

Liza położyła mu dłoń na ramieniu i przysunęła twarz ku jego twarzy. Ich nosy dzieliło zaledwie kilka centymetrów. Wtedy tryumfalnie wyszeptwała:

– Program ochrony świadków. Rozumiesz? Kapiszi?

Rembert zmrużył oczy, przez chwilę coś kalkulował, wreszcie szeroko się uśmiechnął. Podekscytowany, z entuzjazmem kiwnął głową. O tak, to wyjaśniałoby więcej, niż mogłoby się wydawać. Wykreślone wszelkie adnotacje dyscyplinarne z akt osobowych, umorzona sprawa i zamiecione pod dywan dowody. Zakaz rozwodu, który wywierało się rozmaitymi środkami nacisku. Jednocześnie powstrzymywało się osoby najbliższe przed mówieniem zbyt wiele. Najwyraźniej już nie istniała obawa o to, że ktoś będzie chciał się mścić na Fidlerze, więc nie zmieniono jego tożsamości i nie zmuszono go do wyprowadzki z Gdańska.

– Przeszłość łączyła go z ludźmi ze zdjęcia – ciągnęła Langer. – Może to on zaopatrywał ich w narkotyki, a może zaopatrzył kogoś innego, kto był z nimi powiązany. W każdym razie wszystko zaczyna do siebie pasować. Świat śledztwa ogranicza się do jednej kamienicy i jednej grupy meneli.

– Właśnie. I dlatego mógł chcieć cię chronić. Ty nie byłaś w kręgu zagrożenia...

– Tak jak mafia, która niegdyś nie zabijała osób postronnych? Chyba obaliliśmy to porównanie...

– Możesz to sobie wytłumaczyć, jak ci się żywnie podoba, ale widzę to właśnie w taki sposób. Nasz seryjny morderca kieruje się jakimiś zasadami i z pewnością można dostrzec w jego działalności logikę. A przynajmniej racjonalną konsekwencję, która świadczy o zorganizowanym charakterze osobowości. Wyłamuje się z tego tylko jedno...

Orest i Langer zerknęli po sobie i jednocześnie wypowiedzieli to samo słowo.

– Moneta.

Liza momentalnie wyciągnęła telefon, by wybrać czyjś numer, a Rembert zasiadł przy komputerze. Jak oparzony wpisywał kolejne komendy i przeszukiwał wyniki graficzne.

– To nie jest sygnatura mordercy, to coś całkowicie nadprogramowego, co miało wprowadzić zamieszanie... – bełkotał. – Ale jednocześnie sprawca nie przypuszczał, że może naprowadzić na jego trop. Być może od samego początku kierował się zbytnią pewnością siebie. A ta potrafi zgubić najlepszych...

## 75

– Mamy raport co do tożsamości tych monet – oznajmił Rembert. – To znaczy ktoś postarał się, by je odpowiednio sklasyfikować w materiale

dowodowym. Nie wiem, czy tożsamość to właściwe słowo.

– Coś ciekawego?

Liza zakończyła właśnie rozmowę z człowiekiem, który znał kogoś, kto znał kogoś, kto znowuż znał jednego z najsłynniejszych polskich numizmatyków. Ta cała siatka powiązań była trudna do rozgryzienia, lecz wreszcie mogła mówić o sukcesie. Skopiowała wysłany SMS-em numer, po czym udostępniła mu szereg zdjęć monet wyciągniętych z ust ofiar. Oczywiście w żaden sposób nie wspominała, skąd je ma ani jaka jest ich historia.

– To zwykle okolicznościówki – oznajmił Orest. – Wybito ich kilkanaście tysięcy i sprzedawano na pocztach oraz w wielu bankach. Zresztą cośkolwiek sprawdziłem na ich temat już po pierwszym mordzie i dlatego uznałem, że brniemy w ślepią uliczkę.

– Ja też chciałam się upewnić, że to nic niezwykłego – przyznała Langer. – Jednak zrobiliśmy to szybko i niestarannie. Wzięliśmy za pewnik, a faktycznie tylko te monety wyłamują się poza schemat.

– O ile rzeczywiście ten schemat istnieje, a nie jest jedynie wytworem naszej wyobraźni, jak twarz Chrystusa na drzewie albo kształty chmur nawiązujące do zarysów zwierząt lub roślin.

– To normalna skłonność umysłu do porządkowania elementów otoczenia. Śledztwo wygłąda nieco inaczej i doskonale o tym wiesz.

Po tych słowach Langer energicznie ruszyła do wyjścia. Szybko wypadła na korytarz i skierowała się ku windom.

– A ty dokąd? – Rembert dogonił ją w chwili, gdy weszła do kabiny. – Gdzieś idziemy?

– Nie mogę wytrzymać w tym cholernym gabinecie. Łepetyna mi zaraz wybuchnie, oczy wypadną z orbit, a język stanie kołkiem. Muszę coś zrobić.

– Więc masz jakiś plan?

– Obecnie kompletnie żaden. – Langer wzruszyła ramionami i wyszła z kabiny na parter. – Może świeże powietrze przyniesie mi jakieś pomysły. Poranne ćwierkanie ptaków bywa inspirujące.

– Raczej ćwierkają na deszcz – skwitował Orest. – Spójrz.

Niebo pokryte było ciemnymi, sunącymi na tle wczesnej szarówki chmurami. Dął silny wiatr, który niósł kłęby kurzu oraz ciskał z brzękiem metalowymi puszkami leżącymi obok kosza na śmieci. Zapowiadało się na poranną nawałnicę.

Langer zdała sobie sprawę, że dopiero dochodzi siódma rano i w związku z tym wszystkie osoby, z którymi rozmawiała, zostały wyrwane ze snu. Aż dziwne, że nikt nie miał wyciszonego telefonu, a na hasło, że dzwoni „ktoś z policji”, byli tak bardzo chętni rozmawiać. W momencie, gdy o tym myślała, dostała zwrotne połączenie spod numeru, na który wysłała zdjęcia.

– Bingo – szepnęła.

Pośpiesznie odebrała i przez niemal trzy minuty uważnie słuchała rozmówcy. Kiedy się rozłączyła, przeniosła wzrok na Oresta. Trwało to tylko ułamek sekundy, gdyż w te pędy rzuciła się ku parkingowi. Rembert, chcąc nie chcąc, pobiegł za nią. Nie tylko pogoda zapowiadała nawałnicę.

## 76

– Rynek monet to nie taka prosta i nudna sprawa, jak mogłoby się wydawać. – Langer wsiadła do peugeota i natychmiast uruchomiła silnik.  
– Dokumentnie spartoliliśmy ten temat, Oreście. Należało zacząć właśnie od tego.

– Nie rozumiem, o czym mówisz? Dokąd jedziemy?

– Rzeczywiście, monet takich jak te umieszczane w ustach ofiar wybito łącznie kilkanaście tysięcy, ale w kilku rzutach. Nasze pochodzą ze specjalnej limitowanej serii.

Ta wiadomość nie zrobiła na Rembercie większego wrażenia. Zapiął pas i wyciągnął nogi do przodu. Starał się przybrać w fotelu możliwie bezpieczną pozycję. Jak wiele osób nie lubiących jeździć jako pasażer,



w trakcie wariackich rajdów hamował stopami o dywanik. To dawało złudne poczucie komfortu.

– Większość monet okolicznościowych z tamtego czasu była limitowana i znaczyło to tylko tyle, że nie bito ich w takiej ilości, ile dusza zapagnie. Jako dziecko kolekcjonowałem...

– Stop. – Langer weszła mu w zdanie. – Twoje zapędy kolekcjonerskie nie mają teraz żadnego znaczenia. Rzecz w tym, że pierwsze monety z tej serii nieco różniły się od pozostałych. Chodzi o położenie żurawi, głębokość tłoczenia oraz rysunek statku.

– Nadal nie jest to dla mnie wieść, która byłaby przełomowa, a tym bardziej odpowiadała na pytanie, dokąd się wybieramy. I dlaczego chcesz nas zabić...

Liza weszła w mocny zakręt i dodała gazu. Silnik peugeota zawył. Po dłuższej chwili auto rozpędziło się do ponad setki, a gdzieś spod podwozia dobiegł metaliczny brzęk. Langer nie zwracała jednak na to żadnej uwagi. Wciskała pedał gazu do oporu i co rusz zerkała na uruchomioną w telefonie mapę.

– Rzecz w tym, że egzemplarze z tej pierwszej serii znalazły konkretne przeznaczenie – oznajmiła, gdy kolejne skrzyżowanie przecięli na późnym pomarańczowym. – Już nie wytrzeszczaj tak tych swoich gał, Oreście. I tak wyglądasz jak żaba.

– Nie wytrzeszczam ich ze względu na twoje umiejętności rajdowe, ale w oczekiwaniu na te rewelacje, które dozujesz mi słabiej niż pazerna pielęgniarka kroplówkę.

Langer uśmiechnęła się i teatralnie odkaszlnęła.

– Te monety służą za kapsułę czasu – wyrzuciła jednym tchem. – Miały przenosić potencjalnych odkrywców albo całe przyszłe pokolenia do epoki swojej emisji. Miały być pięknym powrotem do złotych czasów PRL.

– Twierdzisz, że...

Rembert oblizał usta i jeszcze mocniej wybałuszył oczy. Przeczesał palcami jasną czuprynę, po czym ciężko sapnął.

- Tak właśnie. - Langer ponownie zerknęła na ekran telefonu i gwałtownie zmieniła pas. Resory samochodu jęknęły. - Zgodnie z informacjami, które uzyskałam od jakiegoś sumiennego numizmatyka, te monety zostały umieszczone tylko w jednym miejscu. Razem z gazetą oraz kilkoma innymi duperelami z tamtego czasu.

- Czekasz, żebym zaczął obstawiać, co to za miejsce? Chcesz się założyć, że trafię, czy przewidujesz jakieś nagrody za słuszny strzał?

Langer zjechała na wąską, zakurzoną drogę prowadzącą pomiędzy rzędami metalowych plotów, kontenerów oraz opuszczonych magazynów. Wokół auta wzbił się tuman pyłu, tymczasem niebo na horyzoncie przecięła błyskawica. Nawałnica nadciągała z pełną siłą.

- Jesteśmy prawie na miejscu. - Langer schowała telefon do kieszeni i zatrzymała auto przed zamkniętą bramą. W jednym z jej skrzydeł była spora dziura. - Monety umieszczono w specjalnej skrzynce na jednym z portowych dźwigów. W dniu zamykania kapsuły czasu dźwig został wycofany z eksploatacji i stał się przedmiotem muzealnym.

- Który to dźwig?

- Musimy go poszukać. Nie mamy zresztą specjalnego wyboru...

Rembert zerknął w stronę zarysów metalowych potworów piętrzących się nad tą częścią portu. Rzeczywiście nie było ich wiele, ale każdy oddzielnie napawał go dziwnym niepokojem. Jego obawy potwierdził telefon, który otrzymała Langer.

## 77

- Jakim cudem mógł porwać Dycką prosto sprzed oczu policjantów? Przecież to popisowe danie dupy!

- Danie dupy? Takie słowa rzucane przez Złotoustego to chyba najgorsze przekleństwo, jakie słyszałam.

Langer rozglądała się w tę i we w tę, starając się znaleźć drogę między starymi magazynami, kontenerami oraz ogromnymi hałdami śmieci. Wydawało się, jakby ta część portu stanowiła wysypisko odpadów oraz magazyn części, o których dawno zapomniano. Co rusz trafiali w ślepy zaułek i choć wysoki dźwig zdawał się wznosić bezpośrednio za nim, nie byli w stanie wspiąć się po blisko trzymetrowych lub wyższych murach. Zawracali, by trafić w kolejną ślepą uliczkę.

– Ponoć włamał się jak Arsen Lupin do salonu jubilerskiego. Ostrze do cięcia szkła, wyjęta szyba i lina... – ciągnęła Liza. – Brzmi niczym scena z filmu sensacyjnego, ale w sumie to nic nadzwyczajnego. W tym przypadku filmy czerpały inspirację z rzeczywistości, a nie na odwrót.

– Biorąc pod uwagę, że ten ktoś skonstruował domowej roboty bombę, to mnie nie dziwi. – Rembert po raz kolejny cicho zaklął, zrozumiałwszy, że stanęli na końcu kolejnej ślepej uliczki. – Tracimy tu czas! Powinniśmy mieć jakiś plan.

– Nie sądzę, by coś takiego w tej sytuacji w ogóle istniało. A co do bomby, gdyby nie instalacja gazowa, być może obyłoby się bez ofiary śmiertelnej, lecz jedynie skończyło się na poparzeniach...

– Mimo wszystko wolałbym nie spotkać tego świra sam, bez broni, w którymś z tych cholernych zaułków.

– Nie wierzysz w siłę swojej perswazji? – Langer parsknęła. – Poza tym nie mam pojęcia, co zamierzam tu znaleźć. Kapsuła czasu, monety... Z czym to się łączy? Jego wcale nie musi tu być, nie sądzisz?

Rembert nie odpowiedział. Pośpiesznym krokiem ominęli kolejny rząd kontenerów i weszli do ciemnego magazynu z pełnej dziur blachy falistej. Śmierdziało w nim ropą oraz smarem. Mimo to hala była niemal całkowicie pusta. Po przeciwnej stronie przez prostokątny otwór wpadało do niej rozproszone światło. Najwyraźniej drzwi zostały usunięte, dzięki czemu w środku swobodnie hulał wiatr. Gdy znaleźli się mniej więcej w połowie magazynu, o dach zaczęły bębnić krople deszczu. Ich dźwięk niósł się nieprzyjemnym echem.

– Tylko tego nam brakowało – wymamrotał Rembert. – Nie wiemy, czego tu szukamy, a do tego będziemy łączyć po zlewie.

– Gdybyś był przezorny i dbał o mnie, wziąłbyś ze sobą parasol. Miałbyś się też czym bronić.

Langer uśmiechnęła się ponuro, poprawiła kucyk i nie zatrzymując się, wyszła na dwór. Powiew zimnego wiatru niemal ją przewrócił, a gdzieś w pobliżu rozległ się huk. Wydawało się, że magazyn lada moment się zawali.

– Lepiej stąd spływajmy. Chodź...

– Dokąd? – Rembert naciągnął na głowę marynarkę, ale deszcz zaczynał padać tak mocno, że niemal natychmiast uznał to za bezsens. Zerknął na Langer, która zdawała się nie robić sobie z ulewy żadnej sprawy.

W tym samym momencie horyzont przecięło kilka błyskawic. Chwilę później rozległ się głuchy pomruk grzmotów, po których niemal od razu ponownie rozbłysły błyskawice. Gdy na moment zniknęły, mimo że już na dobre powinien wstać dzień, zrobiło się ciemniej niż przed godziną. Porywy wiatru jęczały między budynkami i niosły tumany śmieci.

Wtem błyskawica zamajaczyła na niebie, jakby bijąc w coś tuż za portem. Zastygła w bezruchu przez dwie długie sekundy. W chwili, gdy trzasnęła grzmot, Langer uniosła dłoń. Wskazała w stronę dźwigu po ich lewej.

– Patrz!

Na stalowej konstrukcji majaczył pokraczny zarys dwóch jakby zespolonych ze sobą ludzi.

Potwór dyszał z zadowolenia zmieszanego z niezmiennie towarzyszącą mu wściekłością. Wreszcie jego najgłębsze emocje mogły znaleźć jednocześnie ujście. Wszystko dobiegało do takiego końca, o jakim mógł sobie kiedyś tylko zamarzyć. Prawdę powiedziawszy, nigdy nie

przypuszczał, że uda mu się zrealizować cały plan. Snuł fantastyczne wizje, śnił o tym, ale pozostawało to w sferze bardzo odległych, pobożnych życzeń.

Teraz, choć był cały przemoknięty do ostatniej nitki, czuł tak słabo mu znaną radość. Serce dudniło mu w piersi, zaropiałe oczy otworzyły się szerzej niż zwykle, a powyginane palce dziarsko chwytały kolejne szczeble metalowej drabiny. Wspiął się na dźwig szybko i nadzwyczaj sprawnie, niczym jakieś zwierzę pędzące po pniu drzewa.

Nie asekurował się liną. Choć niektóre szczebelki były niemal całkowicie przeżarte rdzą, nie zwracał na to uwagi. Wierzył w swoje szczęście i uczciwość losu. Przeznaczenie nie mogło doprowadzić go aż tutaj tylko po to, aby nie dokończył swojego dzieła. Uśmiechał się ufny w siebie, w Boga i w fatum. A jednocześnie przeklinał to wszystko, zrzucając na Boga i los wszystkie swoje nieszczęścia. Śmiał się i płakał, staczając coraz szybciej w otchłań czystego szaleństwa.

Przez ramię miał przerzuconą Milenę Dycką. Przywiązał ją do siebie grubym sznurem, który wżynał się w tułów oraz uda kobiety. Ta nadal była nieprzytomna, choć krople deszczu sprawiły, że czasem cicho jęczała, jakby miała się za moment wybudzić.

Monstrum było bardzo silne, a jednak wspinaczka stanowiła duże wyzwanie dla mięśni. Poza tym mokre od deszczu szczebelki ślizgały się w dłoniach oraz pod stopami.

Nagle potwór poślizgnął się i stracił oparcie. Zachwiał się, mając pod sobą kilkunastometrową otchłań. Walcząc o utrzymanie równowagi, starał się balansować ciałem, lecz ciężar wleczonej kobiety przeważał. Instynktownie machnął ręką, przecinając ją powietrze. Z jego piersi dobył się pozbawiony nadziei charkot. A więc jednak los z niego zakpił. Wyszczrzył zęby w żalonym uśmiechu i przymknął oczy.

W tym momencie jego palce otarły się o metal. Jakimś cudem zdołał go uchwycić samymi opuszkami i przyciągnąć się ponownie do drabinki. Zamarł w bezruchu, ciężko dysząc. Nie chciał umierać. Bał się śmierci tak samo jak każdy inny. Wiedział, że śmierć zawsze jest jakimś niezrozumiałym końcem i właśnie dlatego zabijał. Istota, która nie czuje

powagi oraz grozy śmierci, nie byłyby zdolna do okrucieństwa. Nie rozumiałyby istoty okrutnego, rozmyślnego mordowania. Nie czerpałyby z niego tak czystej i głębokiej satysfakcji.

Ale on grozę śmierci pojmował aż nader dobrze. Śmierć była kresem, choć mogła być również początkiem. Czasem wydawała się przede wszystkim stanowić wygodne rozwiązanie, szczególnie gdy jej przeciwieństwo – życie – traciło na wartości. A jakąż wartość miało coś, co trwało tylko po to, by trwać? Coś, co upływa z dnia na dzień, bez żadnego kolejnego celu oraz wyraźnego sensu? Właśnie takie było kiedyś jego życie, ale takie też mogło stać się już niebawem. Sens bywał chwilowy i on doskonale o tym wiedział. Uśmiechnął się, choć jednocześnie po policzku wraz z deszczem spłynęły mu kolejne łzy. Płakał jak dziecko.

Pociągnąwszy nosem, napiął mięśnie i zaczął wspinać się wyżej. Od kabiny dźwigu dzieliły ich ledwie trzy lub cztery metry. Siepiący w twarz deszcz utrudniał rozróżnienie kształtów oraz uchwycenie odległości. Wszystko musiał robić na wycucie. Do tego światło błyskawic oślepiało go i przyprawiało o zawroty głowy. Nie lubił jasności. Jednak to właśnie jeden z rozbłysków pozwolił mu wypatrzeć ludzi, którzy chcieli go uchwycić. Ludzi, których powinien zniszczyć. Teraz.

Już.

Jak najszybciej. Wraz z ofiarą, którą trzymał na własnych plecach niczym krzyż.

## 79

– To naprawdę jakieś cholerne monstrum – wycedziła Langer. – Mój Boże...

Przystanąła przy jednym z kontenerów, aby zaczerpnąć tchu. Deszcz spływał jej z włosów i całkowicie przylepił ubranie do ciała. Nie czuła jednak zimna. Pobudzona adrenaliną miała wypieki na policzkach, a jej

oczy błyszcząły. Spoglądała ku oddalonemu o kilkadziesiąt metrów dźwigowi. Znajdowali się w kolejnej ślepej uliczce, lecz pozostała im ostatnia możliwość. Jedyna ścieżka, którą nie próbowali dotąd przebić się w stronę metalowej konstrukcji.

– Tak, jest chyba nieco zniekształcony – przyznał Rembert. – To zapewne skutek jakiejś wady genetycznej. Przy rozszczepieniu kręgosłupa można być zaskakująco sprawnym, a dołączyłbym do tego deformację kończyn i głowy. Zapewne jego organy wewnętrzne przypominają podroby wrzucone do zawiązanego worka. W przeciwieństwie do jego starszego, ślicznego braciszka...

– Co takiego? – Langer zdębiała. – Co ty pleciesz?

Orest w ostatnich minutach wyraźnie nabrał wigoru. Mimo zmęczenia jako pierwszy rzucił się błotnistą ścieżką prowadzącą przy zwale metalowych elementów. Ślizgał się, ale ani na chwilę nie zwalniał. Langer, licząc na wyjaśnienia, dziarsko dotrzymywała mu tempa.

– Ci rodzice, menele, skupiali się na jego braciszku, który jednak umarł. Nie mogli go odżałować, szczególnie wtedy, gdy na świat przyszło im drugie, ale cholernie pokraczne dziecko. Choć przypuszczam, że mogło to mieć miejsce w tym samym czasie. Pierwsze zdjęcia wykonywano innym sprzętem i tak jak zauważył ViSir, być może używano do nich samowyzwalacza.

– Twierdzisz, że ta pokraka mści się za nieudane dzieciństwo?

– A czy coś w tym ci nie pasuje? Wiekowo wszystko się zgadza, teraz musi mieć około dwudziestu lat i zapewne tak właśnie jest. – Rembert otarł mokrym rękawem czoło oraz oczy. – Zastanawiałem się nad powodem, dla którego można robić zdjęcia martwemu dziecku... Od setek lat podobne wizerunki sporządzano dlatego, że nie potrafiono poradzić sobie ze śmiercią. A traumy bardzo łatwo przenoszą się na rodzeństwo. To również jedna ze sztandarowych zasad towarzyszących terapii rodzin po stracie jednego z kilkorga dzieci...

Langer jako pierwsza wypadła zza załomu muru. Z ulgą dostrzegła, że w końcu znaleźli się na otwartym terenie. Kilkanaście metrów dalej wznosił się dźwig, na którym jeszcze przed chwilą widzieli zarys

pokrzywionej postaci wlokącej na plecach bezwładne ciało. Monstrum znikło zapewne we wnętrzu niewielkiej kabiny, umieszczonej na wysokości mniej więcej siódmego piętra.

– Narkotyki... – sapnęła Liza. – Ten nauczyciel mógł być dostawcą albo wytwórcą narkotyków, przez które pierwsze dziecko zapadło na jakąś chorobę, a drugie urodziło się zdeformowane. Albo przynajmniej takie wytłumaczenie mógł przyjąć morderca.

– Dopuszczałem dokładnie taki scenariusz. Odpowiada na wszystkie pytania.

– A Dycka? Ściga ją, bo rąbnęła album z jego zdjęciami? Przecież potworowi to byłoby tylko na rękę.

Rembert nie odpowiedział, lecz rzucił się w stronę dźwigu. Gdy znalazł się tuż przy nim, spojrzał w górę i przebiegł go dreszcz. Aby cokolwiek dostrzec, musiał osłonić dłonią oczy. Wydawało mu się, że w świetle błyskawic widzi dwie szamoczące się w kabinie postacie.

– On chce ją zabić – wyszeptał. – W taki sposób, by wszyscy z jak największej odległości widzieli jej śmierć. Pragnie to zrobić tak ostentacyjnie, jak bardzo starannie ona ukrywała jego istnienie.

Znaczenie tych słów powoli docierało do Lizy. Wszystko składało się w jedną, oczywistą całość, choć jeszcze przed paroma godzinami odnosiła wrażenie, że mają do czynienia z mnóstwem niepasujących do siebie klocków. Tak, ta kobieta mogła wiedzieć o istnieniu dziecka pary z kamienicy. Nawet jeżeli nie podejrzewała, że jego brat został starannie zakonserwowany i spoczywa w niewielkiej wnęce obok sypialni rodziców. Wszystkie morderstwa popełniono w sposób nawiązujący do odpowiedzialności ofiar za los zdeformowanego mężczyzny.

– Idę tam!

Langer chwyciła się drabinki i pośpiesznie zaczęła po niej wchodzić. Jej stopy ślizgały się na szczebelkach, lecz zacisnąwszy zęby, starała się nie patrzeć w dół. Przez myśl przeszła jej wizja gromu uderzającego w dźwig. Starła się ją jak najszybciej odegnąć.

Choć przez strugi deszczu niewiele widziała, podświadomie wyczuwała obecność monstrum niedaleko nad swoją głową. Tym bardziej,



gdy w pewnym momencie drzwi kabiny otworzyły się, a ze środka ktoś wyrzucił linę zakończoną pętlą. Tak jak przypuszczał Orest, szaleniec chciał dokonać ostatniego mordu w bardzo widowiskowy sposób. Miał na to aż nader dobry pomysł.

## 80

– Zostawcie mnie! Idźcie precz!

Przerażający krzyk szaleńca wybił się ponad odgłosy nawałnicy. Przygarbiony mężczyzna wychylił z kabiny dźwigu wielką, niekształtną głowę. Spojrzał na wspinających się Remberta oraz Lizę, po czym splunął. Odwrócił się i energicznie naciągnął długi sznur.

Langer zamarła w pół ruchu. Ostrożnie sięgnęła ku kaburze, lecz właśnie wtedy potwór pokazał się w kabinie z Mileną Dycką. Kobieta była ledwie przytomna, ślaniała się na nogach, ale groza sytuacji najwyraźniej coraz szybciej ją wybudzała. Killkukrotnie mrugnęła, po czym z jej ust wydobył się rozpaczliwy pisk. Usiłowała się wyszarpnąć, lecz żelazny uścisk mordercy nie pozwolił jej na jakąkolwiek swobodę ruchów.

– Nie krzywdź jej! Przestań!

Langer podciągnęła się o kolejny szczebel. Monstrum było ledwie dwa metry nad nią. Po jej prawej z ramienia dźwigu zwieszały się stalowe łańcuchy oraz haki. Rembert wspinał się po drugiej stronie konstrukcji, lecz jeśli liczył na zaskoczenie mordercy, pomylił się. Ten go dostrzegł i wymownie przesunął dłoń ku szyi Dyckiej. Dopiero wtedy Liza zdała sobie sprawę, że zarzucił już na nią pętlę.

– Ona jest niewinna. – Rembert starał się przekrzyknąć jęk wiatru. Miał twarz tak mokrą, jakby właśnie wynurzył się z basenu. – Co da ci zemsta? Ulgę? Nie sądzę... Nie wróci też twojego dzieciństwa ani straconego życia...

Morderca parsknął i krzywo się uśmiechnął. Pokręcił głową. Jego pokraczna dłoń wciąż tkwiła na szyi Dyckiej, która zanosila się spazmatycznym płaczem.

– Nie macie pojęcia, co oni mi zrobili... Byłem rozrywką świata narkomanów i ćpunów, rozumiecie? A ona doskonale o tym wiedziała. Od wielu lat...

Orest kiwnął głową, jakby nagle wszystko zrozumiał.

– I wtedy nasza cię ochota na zemstę? – zapytał, robiąc kolejny krok w górę.

Potwór cicho się zaśmiał i po raz kolejny splunął. Wiatr rozwiewał jego mokre, kręcone włosy.

– Udało mi się uciec. Przez długi czas te magazyny były moim domem.

– Zemsta niczego nie zmieni. Zginęło już zbyt wiele osób.

– Tylko te, które były winne.

Podczas gdy Orest starał się zagadać szaleńca, Langer wspierała się o kolejne trzy stopnie i od jego stóp dzieliło ją mniej niż metr. Gdyby napięła mięśnie i poderwała się z odpowiednią siłą, być może udałoby się jej chwycić go za kostkę. Z tej perspektywy miała jednak ograniczone pole widzenia, a do tego bezpośrednio nad nią stała Milena Dycka. Ewentualna próba użycia broni mogłaby się zakończyć tragicznie.

– Ten album nie został znaleziony przypadkiem – ciągnął Orest. – Podłożyłeś go, prawda? Zawsze był schowany, ale nie tamtym razem...

– To miała być jej ostatnia szansa! – wrzasnął szaleniec i jednocześnie potrząsnął Dycką jak szmaccianą lalką. – Nie jestem okrutny! To świat i ci, którzy mnie znali, byli zawsze okrutni wobec mnie. A ona... Liczyłem, że gdy znajdzie album, wreszcie przestanie milczeć i zawiadomi władze, policję, kogo tam trzeba... Ale zamiast tego wołała się schować. Rozczarowała mnie... Mimo to miała mieć lekką śmierć w wybuchu, lecz ostatnio zmieniłem koncepcję. Los jej nie sprzyjał.

– To przestraszona, niewinna kobieta! – krzyknął Rembert. – Spójrz na nią? Nie wstyd ci być takim jak ci, co cię krzywdzili? Nie różnisz się od nich.

Dycka drżała jak w febrze, a po policzkach wraz z kroplami deszczu ściekały jej łzy. W świetle błyskawic jej twarz wydawała się upiornie biała. Nagle monstrum z pogardą się uśmiechnęło i napięło pętlę opinającą jej szyję.

– To koniec. Potem nadejdzie spokój... Dla mnie i dla niej.

Szaleniec zrobił ruch, by wypchnąć Dycką z kabiny dźwigu, lecz w tym samym momencie Langer rzuciła się ku górze. Rozległ się trzask, a jej dłoń przecięła pustkę. Trzymała w niej przerdzewiały metalowy szczebelek, który oderwał się od konstrukcji. Straciła równowagę i runęła w dół.

## 81

Upadek z wysokości blisko dwudziestu metrów na twarde podłoże mógł zakończyć się tylko w jeden sposób. Langer już miała przed oczami swoje roztrzaskane, zdeformowane ciało, którego kawałki odpowiednie służby usiłują dosłownie zdrapywać z betonu. Zapewne pomocny byłby deszcz, który nawilżywszy podłoże, zapobiegłby wsiąkaniu w nie krwi. A może wcale nie? Może wręcz przeciwnie, lepsza byłaby całkowita susza? Szkoda, że właśnie szalała nawałnica...

Ten absurdalny ciąg myśli przemknął jej przez głowę niespełna w ułamku sekundy. Dokładnie wtedy, gdy zorientowała się, że nie utrzyma równowagi. Machnęła ręką i wypuściła kawałek szczebelka. Wnętrznosci podeszły jej do gardła, a świat zamknął się w wąskim wycinku tuż przed jej oczami. Pomyślała, że już spadła i tym właśnie jest śmierć... Lecz wtedy pod palcami wyczuła metalowe koluszka. Odruchowo zacisnęła dłoń, a jej ciało naprężyło się i szarpnęło.

– Liza!

Krzyk Oresta przywołał ją do rzeczywistości. Potworny ból sparaliżował jej ramię, lecz ze wszystkich sił uchwyciła się łańcucha

zwisającego z ramienia dźwigu. Próbując go złapać, wyrwała paznokieć, który stanął jej niemal na sztorc. Próbowwała się podciągnąć, ale ponad nią rozciągała się jedynie pustka nieba. Nie miała się od czego odbić, niemożliwe było więc również rozbijanie łańcucha, który, co gorsza, był niesamowicie gruby. Powiewy wiatru wprawiały go ledwie w delikatne drżenie.

– Szlag!

Nagle Langer wydało się, że ponownie spada. Jednak tym razem była to kwestia ogniw luzujących się kilka metrów nad jej głową. Po kilkudziesięciu latach nieużywania oraz z braku konserwacji łańcuch skorodował i podobnie jak cała konstrukcja nadawał się jedynie na złom. Nie był w stanie utrzymać nawet pięćdziesięciokilogramowego ciała kobiety. Liza wyraźnie widziała, jak jedno z ogniw się rozgina. Jej nieuchronny upadek był kwestią zaledwie kilku sekund. W zasięgu ręki nie miała już nic, czego mogłaby się uchwycić.

– Skacz! – krzyknął Rembert. Nagle Dycka oraz szalenciec stali się dla niego nieobecni. Całą uwagę skupił na Lizie. – Skacz na dźwig!

– Nie dam rady! Nie mam od czego się odbić.

– Boże...

Orest wiedział, że to prawda. Choć od dźwigu i barierki Lizę dzieliło niespełna półtora metra, wybicie się z pustki powietrza było niewykonalne. Poza tym łańcuch znajdował się zbyt daleko, by sam mógł do niego czymś sięgnąć. Spojrzał w dół w nadziei, że chociaż tam dostrzeże coś, czym mógłby jej pomóc. Drut, pręt lub cokolwiek podobnego... Nic.

W tym momencie koluszko rozgięło się jeszcze bardziej i Langer opadła kilkadziesiąt centymetrów. Cicho pisnęła. Miała wytrzeszczone oczy, rozwichrzone włosy, a jej usta drżały.

– To koniec... – wyszeptała ledwie słyszalnie, choć Orest dokładnie wyczytał te słowa z jej ust.

Zerknął w górę i dostrzegł, że ogniwo już niemal całkowicie się rozgięło. Brakowało kilku sekund, by pękło. Trzech.

Może dwóch.

A może ledwie sekundy...

Wtem wydarzyło się coś niespodziewanego. Potwór pchnął Milenę Dycką do wnętrza kabiny dźwigu i wyszedł na niewielką platformę. Rozejrzał się, po czym wydał z siebie żałosny krzyk. Naprężywszy mięśnie, wyskoczył prosto ku łańcuchowi.

„Chce, żeby się zerwał, chce, żeby zginęli razem” – przemknęło przez myśl Rembertowi. Momentalnie jednak pojął, że intencja szaleńca jest zupełnie inna.

Potwór chwycił łańcuch, jednocześnie swoim impetem wprawiając go w ruch i odginając ku dźwigowi. W tym samym momencie ogniwo rozgięło się całkowicie.

Langer czubkami palców chwyciła się skraju metalowej konstrukcji, ale jakimś cudem udało się jej ją przyciągnąć. Ciężko dysząc, przywarła do niej, tuląc się do metalu. Kątem oka dostrzegła spadający łańcuch oraz kurczowo trzymającego się go potwora. Wydało się jej, że do ostatniej chwili – póki nie uderzył w bruk – patrzył jej prosto w oczy.

## TRZY DNI PÓŹNIEJ

– Spodziewałaś się takiego tłumu? W końcu to morderca, który zabił co najmniej cztery osoby...

– A zarazem ofiara i okrutnie skrzywdzony człowiek. Przez ludzi oraz przez system. Przez los, Boga... Nazywaj to, jak chcesz. Mnie jest go szkoda.

Langer zapaliła papierosa i odwróciła się w stronę kościoła. Na parking ze środka wylał się tłum ludzi, a trumnę ze zwłokami monstrum właśnie załadowano do karawanu. Wokół kręcili się reporterzy oraz ekipy stacji telewizyjnych i radiowych. Wszędzie widać było mikrofony oraz specjalne pałki z nagłośnieniem. Panował gwar niczym na festynie.

Morderca miał zostać pochowany jako człowiek bez tożsamości. Anonim. Choć jego rodzice posługiwali się nazwiskiem Miler, udało się im wymknąć maszynie biurokratycznej i nie tylko nie potwierdzono ich danych, ale również nie odnotowano urodzenia żadnych potomków. We współczesnym świecie wydawało się to nieprawdopodobne, a jednak najwyraźniej istniała szara strefa wyrzutków społecznych.

– Od wczoraj na światło dzienne wychodzą kolejne rewelacje – bąknął Rembert. – Ci zwyrodnialcy mogli na nim zarabiać przez wiele lat... Zwędzili skądś kamerę, jakiś sutener zapewnił odpowiednie kontakty oraz wrzucał wszystko do sieci, mieli odbiorców gotowych im płacić...

– Za co? – Liza nie potrafiła w to uwierzyć. Wypuściła dym i pokręciła głową.

– Co za co?

– Co za to dostawali? Przecież to gorsze od handlu dziećmi. To gorsze od niewolnictwa!

– Narkotyki, alkohol... Choć tego już zapewne na sto procent nigdy nie ustalimy. – Rembert wzruszył ramionami. – Ale człowiekowi przecież wystarczy zwykła obietnica. Może ktoś łudził ich nadzieją zmartwychwstania?

– Co ty pierniczysz?

– Ano, zwłoki ich pierwszego dziecka zostały zakonserwowane amatorsko, ale jednak lepiej, niż mogło się wydawać na pierwszy rzut oka... Może ktoś wmówił im, że niczym Walt Disney ich syn w końcu się obudzi? Gdy tylko zarobią dla niego odpowiednią sumkę?

Langer wyrzuciła niedopałek i ruszyła przed siebie poboczem ulicy. Włożyła dłonie do kieszeni, a wiatr delikatnie rozwiewał jej włosy. Deszczowy pies od wielu godzin całkowicie milczał.

– To z Waltem Disneyem i ciekłym azotem to bujda na resorach, naiwniaku – odezwała się wreszcie. – A w twoim równaniu pojawia się ktoś trzeci, kto łączyłby się ze sprawą. Jakiś szef teatryku marionetek, który z całego biznesu czerpałby największe profity.

– Owszem, uważam, że ktoś taki rzeczywiście powinien zostać uwzględniony.

– I potwór by go nie dorwał? Jeśli tak, to zajmij się papierami, bo będziemy musieli go znaleźć... Albo zamilknij na wieki. Słyszałeś o brzytwie Ockhama, która kosi zbędne byty? Powinniśmy ją teraz zastosować.

Orest ponuro się uśmiechnął i zrównał się krokiem z Langer. Szli wzdłuż szeregu ceglanych kamienic, a po ich lewej przemykały auta. Po dwudniowej ulewie wreszcie przestało padać, lecz na chodniku skrzyły się kałuże. Wyszło słońce i na niebie pozostały jedynie pojedyncze białe obłoczki. Zapowiadał się całkiem ładny dzień.

– Dobra, pokaż mi to nagranie – rzuciła nagle Langer. – Wiem, że ViSir ci je przesłał, a ja nie znoszę jakichkolwiek niedomówień. Wolę znać całą prawdę niż ją sobie wyobrażać. Wtedy przychodzą mi do głowy najgorsze wizje...

– Na pewno?

– Tak, dawaj to.

– Ale tego się nie da „odzobaczyć”, naprawdę lepiej, żeby...

– Oreście!

Rembert wyciągnął telefon i po chwili otworzył plik przesłany mu poprzedniego dnia przez lubelskiego informatyka. Był to materiał wideo, który na szczęście nie dotarł jeszcze do mediów. Jeden z kilkudziesięciu, jakie zostały zamieszczone w internecie i pokazywały, co wyczyniano z kilkuletnim zdeformowanym chłopcem.

Langer wzięła telefon od Oresta i zatrzymała się pośrodku chodnika. Przez kilka minut oglądała nagranie, a z jej oczu ciekły łzy. Raz po raz pociągała nosem. Widziała teraz jedynie niewinną ofiarę, a nie przyszłego mordercę. Mamrotała ciche przekleństwa.

– A jednak masz uczucia. – Orest delikatnie wyciągnął z jej dłoni telefon i wyłączył materiał wideo. – Nie ma sensu się katować. Ludzie są okrutni i wzajemnie napędzają swoje szaleństwa...

– Jak ty i ja?

Rembert nie odpowiedział. Nie chciał jej przyznać racji i nie chciał też skłamać.

## 83

Liza i Orest ostatnie kilkaset metrów pokonali w całkowitym milczeniu. Byli pochłonięci własnymi myślami, które w przypadku każdego z nich orbitowały wokół ohydneho nagrania najgorszych tortur oraz perwersji zgotowanych dziecku, które po kilku latach zemściło się, na kim mogło. Jego psychika najwyraźniej nie dopuszczała postronnych ofiar, a śmierć Mirosława Kruka została odkupiona uratowaniem życia Langer. O ile swoją śmiercią można cokolwiek odkupić... W każdym razie statystyka wyszła na zero.

Nagle Rembert wyprzedził Lizę o kilka kroków i podbiegł do przodu. Zerkał na nią niczym dziecko chcące ponaglić mamę. Langer zmarszczyła



brwi, lecz nic nie powiedziała. Nie zmieniając tempa, bacznie przyglądała się Orestowi. Ten ponownie zwolnił, jednak cały wydawał się kłębkim nerwów. To wkładał dłonie do kieszeni, to je wyjmował. Wreszcie, gdy zbliżyli się do końca uliczki, ponownie wysforował się naprzód.

– Spójrz na to – odezwał się podekscytowany. – No, co na to powiesz?

Wyszli zza załomu muru i wówczas Langer momentalnie przystanął. Niespełna sto pięćdziesiąt metrów przed nimi, po drugiej stronie ruchliwej ulicy, rozciągał się kwartał zgliszcz. W miejscu, gdzie stała kamienica, w której mieszkali Milerowie oraz inni dzicy lokatorzy, piętrzyły się sterty gruzu oraz osmolone szczątki budynku. W powietrzu wciąż unosił się swąd spalenizny. Teren został otoczony taśmami i znakami o zakazie poruszania się tamtą stroną ulicy. Dla ruchu kołowego zorganizowano specjalne przewężenie oraz objazd.

– O cholera... – Langer odruchowo wyciągnęła paczkę papierosów i zagryzła usta. – Nikt mi o tym nie powiedział!

Rembert stanął tuż obok niej, jakby swoją bliskością chciał dodać jej otuchy lub zapewnić, że nad nią czuwa. Liza odruchowo zrobiła krok w tył, lecz on ponownie się do niej przysunął. Tym razem już się nie poruszyła.

– Pożar wybuchł nad ranem, tej samej nocy, gdy została uprowadzona Dycka – wyjaśnił Orest.

– Czyli przedwczoraj... Przez te dwa dni byłam kompletnie wyłączona i niczego nie rejestrowałam.

– Wiem. Właśnie dlatego cię tu przyprowadziłem.

Liza nagle ponownie się od niego odsunęła i spojrzała na niego spode łba.

– Zrobiłeś to po to, żeby mnie wreszcie otrząsnąć po tym, co się wydarzyło? – parsknęła głośno. – To zbędne, Orestie. Naprawdę zaczynam już działać na właściwych falach i nie potrzebuję niańki. Chwilowy, lekki szok to już przeszłość. Nie pamiętasz o moim obniżonym progu emocjonalnym?

Rembert ostentacyjnie westchnął. Ponownie zerknął na Langer i wskazał palcem w stronę zgliszcz.

– Na miejscu znaleziono trzy szkielety. Dwie osoby to bez wątpienia ci sami bezdomni, których widzieliśmy przytulonych do siebie w narkotycznym zwidzie. Nie mam wątpliwości, że jako mieszkańcy tego squatu od lat mogli mieć świadomość, co działo się tuż za ścianą...

– Zemsta?

– Tak sądzę. To wydaje się oczywiste.

– A trzeci?

– To mężczyzna, który jeszcze nie został zidentyfikowany. – Orest złożył ręce na piersi i mlasnął. – Ale miał na rękę zegarek za kilkadziesiąt tysięcy złotych, a na szyi złoty łańcuch wart drugie tyle. Znamienne, prawda?

Langer natychmiast pojęła jego tok rozumowania. Schowała paczkę papierosów do kieszeni i delikatnie się uśmiechnęła.

– Czyli nie będzie dalszej papierologii i śledztwa – oznajmiła. – To dlatego wyciągnąłeś wniosek, że w sprawę zamieszany był ktoś jeszcze? Ktoś bogaty, kto jak zwykle pociągał w takich sytuacjach za wszystkie sznurki...

Orest skinął głową.

– Chodźmy stąd.

Wyciągnął dłoń, chcąc chwycić Langer za rękę, lecz ta się uchyliła. Z uśmieszkiem pogroziła mu palcem.

– Nie przesadzaj, Złotousty. Na to trzeba jeszcze bardziej zasłużyć. Może kiedyś ci się uda...

– Miło jest żyć przynajmniej nadzieją.

– Na zmartwychwstanie? – Liza zadziornie uniosła głowę. – Dopiero kpiłeś z rodziców żywiących nadzieję na ożycie zabalsamowanych zwłok. Jesteś tak samo naiwny jak oni.

– Ale żywy. A to już coś.

—= FADE TO BLACK =—

## POSŁOWIE

Na spotkaniu w trakcie Targów Książki w Poznaniu wspomniałem, że czasem obawiam się podejmowania cykli, gdyż nader mocno przejmują mnie losy bohaterów. Zapewne poza kilkoma osobami czytającymi mi w myślach (nie mam wątpliwości, że są takie) nikt nie przypuszczał, że mówiłem konkretnie o Lizie oraz Oreście.

Po dramatycznym końcu *Mordu* byłem przekonany, że oboje zostali solidnie poturbowani. Historia musiała odleżeć swoje, abym siadł do ciągu dalszego. Ba! W trakcie kreślenia pierwszych zdań niniejszej książki byłem całkowicie przekonany, że przynajmniej jedno z nich rozpocznie nową przygodę w szpitalu, na wózku inwalidzkim lub... w grobie. Nie chciałem się niczego spodziewać ani zapeszać. Uznałem, że wezmę los takim, jakim jest. Trudno. Lepiej spędzić kilka chwil z umierającym niż go już nigdy nie zobaczyć. Przynajmniej w tym przypadku wyszedłem z takiego założenia.

Jakaż była moja radość, gdy na scenie obok Remberta pojawiła się Langer. W pierwszej chwili naprawdę nie dowierzałem. Zastanawiałem się nawet, czy to aby na pewno nie jest przesadna *licentia poetica*, ale czytelnicy wiedzą, że jeśli to konieczne, nie oszczędzam bohaterów. A raczej nie oszczędza ich los (vel Fatum). Sięgnąłem po ostatnie stronicie *Mordu* i okazało się, że moje wszelkie przypuszczenia i wyobrażenia rzeczywiście mogły być przesadzone. Tym bardziej zdaje mi się, że los tych postaci jest gdzieś zapisany, jakby był osadzony w jakiejś alternatywnej, odległej rzeczywistości. W końcu dlaczegoż owoce naszej wyobraźni miałyby nie być równie żywe jak każde z nas? Może sami jesteśmy jedynie wyobrażeniem kogoś innego albo jakiegoś bóstwa? To znane konstrukty religijne i filozoficzne.

Dość. Za takie dywagacje Langer zapewne ostro by mnie zrugła. Cieszę się, że tym razem obawy o dalsze losy tej dwójki nie opierają się na wiszącym nad nimi śmiertelnym niebezpieczeństwie. Choć kto to wie? Czy po słowach: „Ale żywy. A to już coś” – nie wyobrażacie sobie przypisu:

„Wtedy tuż za plecami Oresta pojawiło się monstrum. Zdeformowany, odrażający potwór chwycił go za kark”.

Już rozumiecie, dlaczego postawiłem kropkę tu, gdzie ją widzieliście. Czas na „Fade to black” nadszedł właśnie w tym, zdawałoby się, komfortowym momencie. Jedno nieopatrznie wypowiedziane słowo więcej, a...

Nie rozważajmy. Ta historia na pewno będzie miała swój dalszy ciąg. Tymczasem, cytując Oresta, to już coś, prawda? Ciągów dalszych życzę nam wszystkim. Do tego niezmiennie pełnych wyłącznie pozytywnych zaskoczeń.

Ukłony

Max Czornyj

Copyright © by Max Czornyj, 2023  
Copyright © by Grupa Wydawnicza FILIA, 2023

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2023

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marta Akuszevska

Korekta: Agnieszka Luberadzka, Jarosław Lipski

Skład i łamanie: Dariusz Nowacki

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:

„DARKHART”

Dariusz Nowacki

darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8280-920-6

# FILIA

Grupa Wydawnicza Filia sp. z o.o.

ul. Kleeberga 2

61-615 Poznań

wydawnictwofilia.pl

kontakt@wydawnictwofilia.pl

Seria: FILIA Mroczna Strona

mrocznastrona.pl

Wszelkie podobieństwo do prawdziwych postaci i zdarzeń jest przypadkowe.

Komisarz Liza Langer  
i profiler Orest Rembert nie mają sobie równych



Żadnym czasem nie brakuje szaleńców

**FILIA** MROczNA  
STRONA